

Bernhard Schlink

Letnie kłamstwa

Przełożyła Karolina Kuszyk

Po sezonie

1

Przed kontrolą bagaży musieli się pożegnać. Ale lotnisko było niewielkie, wszystkie okienka i punkty kontrolne mieściły się w jednej hali, mógł więc odprowadzać ją wzrokiem, patrzył, jak kładzie torbę na taśmę, przechodzi przez bramkę, pokazuje kontrolerowi kartę pokładową i jak personel kieruje ją w stronę samolotu stojącego na pasie startowym tuż za szklanymi drzwiami hali.

Co chwila spoglądała ku niemu i machała. Na schodkach odwróciła się po raz ostatni, śmiejąc się i płacząc, i położyła rękę na sercu. Gdy zniknęła w środku, machał do małych okienek, lecz nie wiedział, czy go widzi. Potem warknęły silniki, śmigła zaczęły się obracać, samolot ruszył, nabrał prędkości i oderwał się od ziemi.

On miał lot dopiero za godzinę. Kupił kawę i gazetę i usiadł na ławce. Od chwili, w której się poznali, nie przeczytał ani jednej gazety i ani razu nie siedział samotnie nad filiżanką kawy. Gdy po upływie kwadransa nadal nie zdołał przeczytać nawet linijki i nie wypił nawet łyka kawy, pomyślał: Zapomniałem, jak to jest być samemu. To była przyjemna myśl.

2

Przyleciał przed trzynastoma dniami. Skończył się sezon, a z nim ładna pogoda. Padało, spędził więc popołudnie nad książką na zadaszonej werandzie swojego pensjonatu.

Spotkał ją następnego dnia, gdy nie zważając na brzydką pogodę, wybrał się na spacer i szedł w deszczu brzegiem morza. Minęli się, raz w drodze do latami morskiej, drugi raz w drodze powrotnej. Uśmiechnęli się do siebie, za pierwszym razem z ciekawością, za drugim już z pewną dozą poufałości. Byli jak okiem sięgnąć jedynymi spacerowiczami, a zarazem towarzyszami doli i niedoli, oboje woleliby czyste, błękitne niebo, ale potrafili cieszyć się też drobnym deszczem.

Wieczorem zobaczył ją na dużym tarasie popularnej restauracji rybnej, który w oczekiwaniu jesieni osłonięto plastikowym namiotem. Na jej stoliku stał pełen kieliszek. Była sama i czytała książkę – znak, że jeszcze nic nie jadła i że raczej nie czeka na męża ani chłopaka. Stał niezdecydowany w drzwiach, a wtedy ona podniosła wzrok i uśmiechnęła się do niego przyjaźnie. W nagłym przypływie odwagi podszedł i spytał, czy może się przysiąść.

– Proszę – powiedziała i odłożyła książkę.

Usiadł. Już złożyła zamówienie, więc mogła mu doradzić w wyborze dania. Zamówił dorsza, tak jak ona.

Nie bardzo wiedzieli, jak dalej poprowadzić rozmowę. Książka na nic się zdała – leżała tak, że nie widział tytułu. Wreszcie zagaił:

- Taki późny urlop na Cape Cod ma swój urok.
- Dlatego że pogoda dopisuje? – roześmiała się.

Chyba nie stroiła sobie z niego żartów? Przyjrzał się jej. Niezbyt ładna buzia, za małe oczy, zbyt mocny podbródek, wyraz twarzy nie tyle kpiący, ile pogodny, może lekko niepewny.

– Człowiek ma dla siebie całą plażę. Po sezonie zawsze można znaleźć stolik w restauracji. A gdy ludzi jest mało, samotność doskwiera mniej niż w tłumie.

– Zawsze przyjeżdża pan po sezonie?

– Jestem tu po raz pierwszy. Właściwie powinienem pracować. Ale palec mi jeszcze nie pozwala, a ćwiczyć mogę równie dobrze tu, jak w Nowym Jorku. – Poruszał małym palcem lewej ręki, na przemian zginając go i rozprostowując.

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Co to za ćwiczenia?

– Gram na flecie. W orkiestrze. A pani?

– Uczyłam się gry na pianinie, ale teraz grywam z rzadka. – Zaczerwieniła się. – Ale nie o to pan pyta. W dzieciństwie często przyjeżdżaliśmy tu z rodzicami i czasami odwiedzam to miejsce z tęsknoty. Po sezonie Cape Cod ma swój urok, jak sam pan powiedział. Nie ma ludzi, jest większy spokój – lubię to.

Nie powiedział jej, że nie stać go na urlop w sezonie.

Uznał, że i ona jest w podobnej sytuacji. Miała na sobie sportowe buty, dzinsy i bluzę. Przez oparcie krzesła przewieszony był wypłowiały sztormiak. Gdy studiowali kartę win, zaproponowała butelkę taniego samdgnon blanc. Opowiadała o Los Angeles, o swojej pracy w fundacji finansującej projekty teatralne, w których biorą udział dzieci z najbiedniejszych dzielnic, o tym, jak wygląda życie bez zimy, o potędze Pacyfiku, o ruchu ulicznym. On opowiedział jej o tym, że złamał palec, gdy potknął się o źle położony kabel, i o tym, jak w wieku dziewięciu lat skoczył z okna i złamał rękę, jak w wieku trzynastu lat złamał na nartach nogę.

Najpierw byli na tarasie sami, potem dosiedli się inni goście, a gdy zamówili drugą butelkę, taras znów opustoszał. Morze i plaża za oknem pogrążyły się w całkowitej ciemności. Deszcz bębnił o dach.

– Co pani robi jutro?

– Wiem, że śniadania jada pan w pensjonacie. Ale co by pan powiedział na śniadanie u mnie?

Odprowadził ją do domu, Gdy szli w milczeniu pod parasolem, wzięła go pod rękę. Jej mały domek stał przy tej samej ulicy, przy której, o milę dalej, mieścił się jego pensjonat. Przed wejściem automatycznie włączył się reflektor i zobaczyli się w zbyt nagłym, zbyt jaskrawym świetle. Objęła go i delikatnie pocałowała w policzek. Nim zamknęła za sobą drzwi, powiedział:

– Nazywam się Richard. A jak...

– Mam na imię Susan.

3

Richard obudził się wcześnie, skrzyżował ręce pod głową i leżał, słuchając, jak deszcz szumi w koronach drzew i bębni o żwir alei. Lubił ten jednostajny, uspokajający szum, mimo że nie był najlepszą wróżbą dla budzącego się dnia. Zastanawiał się, czy po śniadaniu pójdą z Susan na spacer po plaży. Albo po lesie, wokół jeziora. A może pojeżdżą na rowerach? Nie wynajął samochodu i przypuszczał, że ona też nie. Mieli więc raczej ograniczone możliwości spędzania wolnego czasu.

Na przemian zginał i rozprostowywał mały palec, żeby oszczędzić sobie ćwiczeń w ciągu dnia. Trochę się bał. Jeśli po śniadaniu rzeczywiście spędzą razem dzień, pójdą do restauracji albo nawet coś ugotują – to co potem? Czy będzie musiał się z nią przespać? Udowodnić jej, że jest godna pożądania, że jej pragnie? Bo w przeciwnym razie uchybiłby jej, a siebie skompromitował? Przez całe lata nie spał z żadną kobietą. Nie uważał się za osobę szczególnie namiętną i zeszłego wieczora też jej jakoś specjalnie nie pożądał. Dużo mówiła, zadawała wiele pytań, słuchała z uwagą, była pełna życia i dowcipna. Ta króciutka chwila wahania, nim otwierała usta, by coś powiedzieć, i mrużenie oczu, gdy się koncentrowała – to miało swój urok. Zainteresowała go. Ale czy jej pragnął?

W salonie czekało na niego śniadanie: sok ze świeżo

wyciśniętych pomarańczy, jajecznica i naleśniki. Nie chciał rozczarować swoich gospodarzy, starszego małżeństwa, usiadł więc przy stole i zaczął jeść. Kobieta co kilka minut zaglądała do niego z kuchni, pytając, czy chciałby jeszcze trochę kawy, masła, inny dżem, owoce, jogurt. Wreszcie dotarło do niego, że gospodyni ma ochotę porozmawiać. Spytał, jak długo już tu mieszkają, a ona odstawiła dzbanek z kawą i przystanęła obok stołu. Czterdzieści lat temu mąż dostał niewielki spadek, za który kupili dom na Cape Cod. On chciał pisać, ona malować. Lecz ani z pisania, ani z malowania nic nie wyszło i gdy spadek się skończył, przerobili dom na pensjonat. – O wszystko, co chciałby pan wiedzieć na temat Cape Cod – gdzie jest najładniej, gdzie można najlepiej zjeść – proszę pytać mnie. I jeśli będzie pan dziś wychodził, niech pan pamięta, plaża i w deszczu jest plażą, a las jest tylko mokry.

Między drzewami wisiała mgła. Spowiała też zabudowania stojące opodal drogi. Mały dom, w którym mieszkała Susan, był dawnym domkiem portiera. Obok niego znajdował się podjazd prowadzący do dużej, tonącej we mgle, tajemniczej rezydencji. Nie znalazłszy dzwonka, zapukał.

– Chwileczkę – zawołała Susan, jakby gdzieś z głębin domu. Słyszał, jak wbiega po schodach, zatrząskuje za sobą jakieś drzwi i biegnie przez korytarz. Wreszcie otworzyła. Była zdyszana i trzymała w ręku butelkę szampana. – Byłam w piwnicy.

Szampan go przestraszył. Wyobraził sobie, jak siedzą z Susan na kanapie przed kominkiem z kieliszkami w dłoniach. Podeszła bliżej. A więc to już.

– Co tak stoisz? Wejdz!

Zobaczył, że w dużym pokoju przylegającym do kuchni rzeczywiście jest kominek, obok niego stos drewna, a naprzeciw kanapa. Susan nakryła w kuchni do śniadania i Richard znowu pił sok pomarańczowy i jadł jajecznicę, a potem sałatkę owocową z orzechami.

– Było pyszne. Ale teraz muszę pospacerować po dworze, pojechać na rowerze albo popływać.

Gdy spojrzała sceptycznie na deszcz za oknem, opowiedział jej o swoim podwójnym śniadaniu.

– Nie chciałeś rozczarować Johna i Lindy? Kochany jesteś! – Spojrzała na niego z mieszaniną rozbawienia i podziwu. – Tak, chodźmy popływać! Nie masz kąpielówek? Chcesz... – Popatrzyła na niego, jakby nie do końca przekonana, ale zaraz machnęła ręką i zapakowała do dużej torby ręczniki, parasol, szampana i dwa kieliszki. – Pójdziemy przez posesję, tak będzie przyjemniej i szybciej.

4

Dom, który mijali, miał wysokie kolumny i pozamykane okiennice i nawet z bliska sprawiał wrażenie tajemniczego. Weszli na taras po szerokich stopniach,

postali chwilę między kolumnami, okrążyli willę i wspięli się po schodach prowadzących na zadaszoną werandę na piętrze. Roztaczał się z niej widok na zasnutę mgłą wydmy, plażę i szare morze.

– Jest bardzo spokojne – wyszeptała.

Czyżby widziała lub słyszała to z takiej odległości? Przestało padać. W ciszy, która zapadła po deszczu, i on miał ochotę mówić tylko szeptem.

– A gdzie mewy?

– Tam, nad falami. Gdy przestaje padać, z ziemi wychodzą robaki, a ryby podpływają pod powierzchnię wody.

– Nie wierzę.

Roześmiała się.

– Ale przecież chcieliśmy popływać! – Puściła się biegiem tak szybko, tak pewna drogi, że on, objuczony dużą torbą, nie miał szans, by dotrzymać jej kroku. Na wydmach stracił ją z oczu. Gdy dotarł do plaży, właśnie zdejmowała drugą skarpetkę. Kiedy wchodził do wody, zdążyła wypłynąć już daleko w morze.

Było rzeczywiście bardzo spokojne i dopóki nie zaczął pływać, czuł tylko zimno, lecz wkrótce woda przyjaźnie objęła jego nagie ciało. Wypłynął daleko, odwrócił się na plecy i dał unosić falom. Susan pływała kraulem w pewnej odległości od niego. Gdy znów zaczęło padać, cieszył się kroplami deszczu na swojej twarzy.

Deszcz się nasilił i nigdzie nie było widać Susan. Zawołał ją. Popłynął w jej kierunku, a raczej tam, gdzie,

jak mu się zdawało, widział ją po raz ostatni, i znów zawołał. Gdy już prawie stracił z oczu ląd, zawrócił. Nie był dobrym pływakiem, wyęczał siły, lecz odległość dzielącą go od brzegu pokonywał powoli i to powolne tempo sprawiło, że ogarniający go strach przemienił się w panikę. Jak długo Susan wytrzyma? Czy przed wyjściem włożył do kieszeni komórkę? Czy na plaży jest zasięg? Gdzie stoi najbliższy dom? Siły zaczęły go opuszczać, płynął coraz wolniej, a panika z każdą chwilą rosła.

Nagle zobaczył, jak z morza wyłania się i zatrzymuje na plaży biała postać. Gniew dodał mu sił. Jak mogła napędzić mu tyle strachu! Gdy pomachała do niego, nie zareagował. Podszedł do niej, nie kryjąc wściekłości. Uśmiechała się.

– Co się stało?

– Co się stało? O mało nie oszalałem ze strachu, gdy straciłem cię z oczu. Dlaczego nie podpłynęłaś do mnie, gdy wracałaś do brzegu?

– Nie widziałam cię.

– Nie widziałaś?

– Jestem krótkowidzem.

W jednej chwili cały jego gniew wydał mu się śmieszny. Stali naprzeciw siebie, ociekając wodą, krople deszczu spływały im po twarzach, mieli gęsią skórę i dygotali z zimna. By się ogrzać, skrzyżowali ręce na piersiach. Posłała mu zranione, niepewne spojrzenie, które, teraz już wiedział, nie było spojrzeniem osoby niepewnej, lecz po prostu krótkowzrocznej. Patrzył na

niebieskie żyłki przebijające przez jej cienką białą skórę, jej włosy łonowe, rude, chociaż była jasną blondynką, płaski brzuch i wąskie biodra, mocne ramiona i nogi. Zawstydział się swego ciała i wciągnął brzuch.

– Przykro mi, że byłem taki grubiański.

– Rozumiem przecież. Przestraszyłeś się. – Znów się uśmiechnęła.

Czuł się zakłopotany. By to ukryć, wskazał głową miejsce, gdzie leżały ich rzeczy, zawołał: „Start!” i puścił się biegiem w ich kierunku. Była szybsza od niego i bez wysiłku mogła go wyprzedzić. Lecz ona wolała biec obok, a jemu przypomniało się dzieciństwo i radość, która przepełniała go za każdym razem, gdy biegł z przyjaciółmi i siostrami do wspólnego celu. Patrzył na jej małe piersi, które zasłaniała rękami, gdy stali naprzeciw siebie, i na jej małą pupę.

5

Ich ubrania były przemoczone, lecz w torbie mieli suche ręczniki. Owinęli się nimi, usiedli pod parasolem i otworzyli szampana.

Susan oparła się o niego.

– Opowiedz mi o sobie. Od początku, od mamy, taty, rodzeństwa, aż do teraz. Urodziłeś się w Ameryce?

– W Berlinie. Moi rodzice uczyli muzyki, ojciec gry na pianinie, a mama na skrzypcach i altówce. W domu

było nas czworo i to ja poszedłem do konserwatorium, choć moje siostry były o wiele lepsze ode mnie. Ojciec tak chciał. Nie mógł znieść myśli, że mógłbym być takim nieudacznikiem jak on. To dla niego poszedłem do konserwatorium, dla niego zostałem drugim flecistą w New York Philharmonic Orchestra i pewnego dnia zostanę dla niego pierwszym flecistą w innej dobrej orkiestrze.

– Czy twoi rodzice jeszcze żyją?

– Ojciec zmarł siedem lat temu, matka w zeszłym roku.

Zamyśliła się. Po chwili spytała:

– Gdybyś nie został flecistą dla swojego ojca, lecz robił to, na co masz ochotę, kim byś teraz był?

– Tylko się ze mnie nie śmiej. Gdy zmarł ojciec, a potem matka, myślałem, że nareszcie jestem wolny i mogę robić, co mi się podoba. Ale oni dalej siedzą w mojej głowie i przemawiają mi do rozsądku. Musiałbym wziąć sobie rok wolnego, od orkiestry, od fletu, chodzić na spacer, pływać, myśleć, a potem może zabrać się do pisania o tym, jak czułem się w domu z rodzicami i siostrami. Tak, żebym pod koniec tego roku wiedział, czego chcę. I może okazałoby się, że tym, co chcę robić najbardziej, jest rzeczywiście gra na flecie.

– Czasami bardzo chciałam, żeby ktoś przemówił mi do rozsądku. Moi rodzice zginęli w wypadku, gdy miałam dwanaście lat. Ciotka, która mnie przygarnęła, nie lubiła dzieci. Nie wiem nawet, czy lubił mnie mój własny ojciec.

Czasami mawiał, że nie może się doczekać, kiedy dorosnę i zacznę się do czegoś nadawać – niezbyt przyjemne.

– Przykro mi. A jaka była twoja matka?

– Piękna. Chciała, żebym była taka piękna jak ona. Miałam równie wykwintną garderobę jak ona, i gdy mama pomagała mi przy ubieraniu, zawsze była cudowna, kochana, czuła. Na pewno nauczyłaby mnie, jak obchodzić się z wrednymi przyjaciółkami i bezczelnymi przyjaciółmi. A tak – wszystkiego musiałam uczyć się sama.

Siedzieli pod parasolem, każde zatopione w swoich wspomnieniach.

Jak dwoje dzieci, które zgubiły drogę do domu, pomyślał. Przypomniały mu się ulubione książki z dzieciństwa – o dzieciach, które się zgubiły i spały w jaskiniach i chatach albo zostały napadnięte przez zbójców i wzięte do niewoli, o dzieciach, które porwano w Londynie i zmuszano do żebrania i złodziejstwa, albo o chłopcu, który został uprowadzony z rodzinnej Szwajcarii i sprzedany do Mediolanu, gdzie musiał pracować jako kominiarz. Tak samo jak bohaterowie tych książek opłakiwał rozstanie z rodzicami i tak samo jak oni miał nadzieję, że jeszcze się zobaczą. Lecz czar tych historii brał się stąd, że opowiadały o dzieciach, które doskonale radziły sobie bez rodziców. Gdy wreszcie wracały do domu, były już dorosłe. Dlaczego samodzielność jest taka trudna, skoro człowiek nie potrzebuje do niej nikogo prócz samego siebie?

Westchnął.

– Co takiego?

– Nic – odparł i objął ją ramieniem.

– Westchnąłeś.

– Chciałbym być dalej, niż jestem.

Przytuliła się do niego.

– Znam to uczucie. Ale czy nie jest tak, że posuwamy się naprzód zrywami? Przez długi czas nic się nie dzieje i nagle spada na nas coś niespodziewanego, spotykamy kogoś, podejmujemy ważną decyzję i nie jesteśmy już tacy jak dawniej.

– Nie jesteśmy już tacy jak dawniej? Pół roku temu pojechałem na zjazd absolwentów. Ci, którzy w szkole byli mili i przyzwoici, takimi też pozostali, a świnie pozostały świniami. Inni na pewno odnieśli takie samo wrażenie. To był dla mnie szok. Pracujesz nad sobą w przekonaniu, że się zmieniasz i rozwijasz, a inni od razu rozpoznają w tobie osobę, jaką byłeś od zawsze.

– Wy, Europejczycy, jesteście pesymistami. Waszą ojczyzną jest Stary Kontynent. Nie możecie sobie wyobrazić, że świat się zmienia, a wraz z nim ludzie.

– Pospacerujmy po plaży. Deszcz już prawie ustał.

Owinęli się ręcznikami i ruszyli wzdłuż plaży, nie oddalając się od morza. Szli boso. Mokry, zimny piasek kłuł ich w stopy.

– Nie jestem pesymistą. Zawsze mam nadzieję, że moje życie może być jeszcze lepsze.

– Ja też.

Gdy deszcz znów się nasilił, wrócili do domu Susan. Zmarzli. Richard pierwszy wziął prysznic, a Susan zeszła do piwnicy i włączyła ogrzewanie. Potem ona brała prysznic, a on rozpalał w kominku. Włożył szlafrok po jej ojcu, czerwony, ciepły, z ciężkiej wełny, podszyty jedwabiem. Rozwiesili przemoczone rzeczy, by przeschły, i udało im się ustalić, jak działa samowar, który stał na gzymsie nad kominkiem. Później usiedli na kanapie, ona po turecku w jednym rogu, on na kolanach w drugim, pili herbatę i patrzyli na siebie.

– Moje rzeczy pewnie niedługo wyschną.

– Zostań jeszcze. Co będziesz robił w czasie deszczu? Siedział sam w pokoju?

– Ja... – chciał zaprotestować, powiedzieć, że nie chce się narzucać ani zakłócać jej porządku dnia. Ale byłyby to tylko słowa. Wiedział, że Susan cieszy się z jego towarzystwa. Czytał to w jej twarzy i słyszał w głosie. Uśmiechnął się do niej, najpierw uprzejmie, potem z zakłopotaniem. A jeśli ta sytuacja obudzi w niej oczekiwania, którym on nie będzie mógł sprostać? Lecz ona sięgnęła po jakąś powieść ze stosu książek i czasopism obok kanapy i zaczęła czytać. Siedziała i czytała z takim zadowoleniem, z wyrazem takiej błogości, z taką swobodą, że nagle i on poczuł, że się odpręży. Znalazł książkę, której tytuł go zainteresował, nie zaczął jednak czytać, lecz patrzył na Susan, a wtedy ona podniosła wzrok i uśmiechnęła się do niego. Odwzajemnił ten uśmiech, wreszcie zupełnie odprężony, i zatopił się w

lekturze.

6

Gdy o dziesiątej wrócił do pensjonatu, Linda i John siedzieli przed telewizorem. Poprosił, żeby jutro nie szykowali mu śniadania, zje u tej młodej kobiety, która mieszka w małym domku o milę stąd, poznali się w restauracji.

– To ona nie mieszka w dużym domu?

– Już od dawna nie mieszka w willi, gdy przyjeżdża sama.

– Ale w zeszłym roku...

– W zeszłym roku przyjechała sama, ale bez przerwy ktoś ją odwiedzał.

Richard przysłuchiwał się ich rozmowie ze wzrastającą irytacją.

– Mówicie o Susan... – Zorientował się, że przedstawili się sobie tylko z imienia.

– Susan Hartman.

– Czy ta willa z kolumnami to jej własność?

– W latach dwudziestych kupił ją dziadek Susan. Po śmierci jej rodziców zarządca zaniedbał posesję, zgarniał tylko czynsz i w nic nie inwestował, wreszcie przed kilkoma laty Susan go zwolniła i przywróciła willi i ogrodowi dawną świetność.

– To musiało kosztować majątek?

– Biedna nie jest, stać ją. My, miejscowi, jesteśmy z tego zadowoleni. Kilku zainteresowanych chciało podzielić działkę na parcele, a dom wynająć wielu lokatorom lub przerobić na hotel. Ale wtedy wszystko by się zmieniło.

Richard życzył Lindzie i Johnowi dobrej nocy i poszedł do swojego pokoju. Nie zawarłby znajomości z Susan, gdyby wiedział, że jest zamożna. Nie lubił bogaczy. Gardził majątkiem odziedziczonym, a bogactwo zgromadzone w wyniku przedsiębiorczości uważał za wyłudzone. Jego rodzice nigdy nie zarabiali tak dobrze, by spełnić marzenia swych dzieci. Zresztą i on zarabiał w New York Philharmonic Orchestra akurat tyle, by starczyło na utrzymanie w tym drogim mieście. Nigdy – ani teraz, ani przedtem – nie miał bogatych przyjaciół.

Był na nią wściekły. Wystrychnęła go na dudka. Zwabiła go w pułapkę. Ale czy aby na pewno znalazł się w pułapce? Przecież wcale nie musi iść do niej jutro na śniadanie. Albo pójdzie i powie, że nie mogą się widywać, bo ich styl życia i ich światy za bardzo się od siebie różnią. Ale przecież dopiero co spędzili razem wieczór przy kominku, od czasu do czasu czytając sobie na głos co smakowitsze zdania, gotowali, jedli, zmywali naczynia i obejrzeli film. Było im razem dobrze. Czy naprawdę aż tak bardzo się różnią?

W mycie zębów włożył tyle złości, że zranił się w lewy policzek. Usiadł na łóżku, przykładając dłoń do bolącego miejsca i litując się nad sobą. To prawda, dostał

się w pułapkę. Zakochał się w Susan. Tylko trochę, mówił sobie. Bo co tak naprawdę o niej wie? Co właściwie w niej lubi? Czy ta znajomość ma przyszłość, zważywszy na to, jak różnią się ich światy, ich życie? Kolacja w małej włoskiej restauracji, na którą było go stać, mogłaby wydać się jej urocza może ze trzy razy z rzędu. Ale czy później miał pozwalać, by to ona go zapraszała? Czy raczej zadłużyć się, płacąc kartami kredytowymi?

Źle spał. Raz po raz się budził, a gdy koło szóstej uznał, że już nie zdoła zasnąć, dał za wygraną, ubrał się i wyszedł na dwór. Niebo zasnuwały ciemne chmury, lecz powstawał czerwonawy brzask. Nie chciał przegapić wschodu słońca nad morzem, więc musiał się pospieszyć, pobiegł na wydmy, tak jak stał, w eleganckich butach, które włożył zamiast sportowych. Podeszwy głośno uderzały o asfalt, płosząc stado wron i kilka zajęcy. Czerwień na wschodzie rozlała się szeroko, świetliście. Podobną zorzę Richard widywał wieczorami, lecz nigdy o poranku.

Mijając dom Susan, starał się stąpać jak najciszej.

Wreszcie dotarł do plaży. Słońce wstępowało złościście z rozjarzonego morza na płonące niebo – trwało to zaledwie kilka chwil, póki wszystkiego nie przesłoniły chmury. Richard miał wrażenie, jakby zrobiło się nie tylko ciemniej, ale i chłodniej.

Okazało się, że mijając dom Susan, wcale nie musiał być taki ostrożny. Już nie spała. Siedziała u stóp wydmy, a zobaczywszy go, wstała i zaczęła iść w jego kierunku.

Nie spieszyła się. Piasek na wydmach był głęboki, szło się po nim z trudem. Richard ruszył w jej stronę, ale właściwie tylko z uprzejmości. Wolałby raczej stać i patrzeć na nią. Szła spokojnie, pewnie, to pochylając, to podnosząc głowę. Gdy ją podnosiła, kierowała spojrzenie prosto na niego. Szli ku sobie. Miał wrażenie, że było to rodzajem pertraktacji, ale nie wiedział, co jest ich przedmiotem. Nie rozumiał pytania, które czytał w jej twarzy, nie wiedział, jaką odpowiedź Susan znajduje w jego własnej. Uśmiechnął się. Spojrzała na niego poważnie, nie odwzajemniając uśmiechu.

Gdy stanęli naprzeciw siebie, wzięła go za rękę.

– Chodź! – Poprowadziła go do domu i po schodach do sypialni. Rozebrała się, położyła na łóżku i patrzyła, jak się rozbiera i kładzie obok niej. – Tak długo na ciebie czekałam.

7

Tak też się z nim kochała – jakby długo go szukała i wreszcie znalazła. Jakby żadne z nich nie mogło nic zepsuć.

Zabrała go ze sobą, a on na to pozwolił. Nie zadawał sobie pytania, czy był dobry. Jej też o to nie pytał. Gdy leżeli potem obok siebie, wiedział, że ją kocha. Tę niewysoką kobietę o za małych oczach, zbyt wyrazistym podbródku, zbyt cienkiej skórze i sylwetce bardziej

chłopięcej niż sylwetki wszystkich kobiet, które kochał do tej pory. Kobieta, która miała w sobie mocno ugruntowane poczucie własnej wartości, zaskakujące u osoby wychowanej przez umiarkowane kochających rodziców, a potem przez nieczułą ciotkę. Kobieta, która zdawała się mieć nieprzyzwoicie dużo pieniędzy. Która widziała w nim coś, czego on sam nie dostrzegał, i widząc to, zarazem go tym obdarzała.

Po raz pierwszy kochał się z kobietą tak, jakby nie istniały obrazy, które pokazywały, jak ma wyglądać miłość. Jakby byli parą z dziewiętnastego wieku, z czasów, gdy kino i telewizja nie dyktowały jeszcze, jak całować, wzdychać, jak nadawać twarzy wyraz namiętności, a ciało przyprawić o dreszcz pożądania. Parą, która sama dla siebie wynalazła miłość, pocałunki i jęki rozkoszy. Susan prawie nigdy nie zamykała oczu. Odwzajemniała jego spojrzenie za każdym razem, gdy na nią patrzył. Kochał jej oczy i ich wyraz, oddany, zapamiętały, ufny.

Podniosła się na łokciu i zaśmiała.

– Jak to dobrze, że uśmiechnęłam się do ciebie w restauracji, gdy nie byłeś do końca pewien, co zrobić. W pierwszej chwili pomyślałam, że to niepotrzebne. Że przyjdiesz do mnie od razu, najkrótszą drogą.

Odpowiedział uśmiechem. Cieszył się.

Nie przychodziło im do głowy, by to, co podczas spotkania w restauracji zaczynało się i zgrzytało, potraktować jako przestrożę. Traktowali to jako wyraz

niezręczności, którą można zbyć śmiechem.

Zostali w łóżku do wieczora. Potem wyprowadzili z garażu samochód Susan, zadbane, stary model BMW, i w ciemności i deszczu pojechali do supermarketu. Wewnątrz unosił się zapach chemicznej czystości, światło było jaskrawe, a muzyka – syntetyczna. Garstka kupujących o zmęczonych twarzach pchała swe wózki po niemal opustoszałym o tej porze sklepie. – Powinniśmy byli zostać w łóżku – wyszeptała;. Ucieszył się, że zapach i muzyka jej też przeszkadzają. Westchnęła, roześmiała się i zajęła zakupami. Wkrótce koszyk był pełen po brzegi. Czasami i on coś wkładał do środka, jabłka, naleśniki, wino. Przy kasie zapłacił swoją kartą kredytową, wiedząc, że w następnym miesiącu po raz pierwszy będzie miał debet na koncie. Zaniepokoiło go to, lecz większa od niepokoju była irytacja, że w takim dniu przejmuje się taką drobnostką jak debet na koncie. Z tego wszystkiego w pobliskim sklepie z alkoholami kupił jeszcze trzy butelki szampana.

W drodze powrotnej Susan spytała:

– Pojedziemy po twoje rzeczy?

– Może John i Linda już śpią. Nie chcę ich budzić.

Skinęła głową. Prowadziła szybko i pewnie, a sposób, w jaki brała zakręty, świadczył o tym, że dobrze zna i samochód, i okolicę.

– Przyjechałaś samochodem z Los Angeles?

– Nie. Wóz jest tutejszy. O dom, ogród i samochód troszczy się Clark.

– Czy mieszkaś w dużym domu tylko wtedy, gdy masz gości?

– Może jutro się tam przeniesiemy?

– Czy ja wiem. Jest taki...

– Dla mnie jest za duży. Ale z tobą byłoby przyjemnie. Czytalibyśmy książki w bibliotece i grali w bilard w pokoju bilardowym, w pokoju muzycznym mógłbyś ćwiczyć grę na flecie, a w salonie zasiadalibyśmy do kolacji. – Rozprawiała z narastającym entuzjazmem i coraz większym zdecydowaniem. – Spać będziemy w dużej sypialni, w której spali moi dziadkowie i rodzice. Albo w moim pokoju, w łóżku, w którym jako dziewczynka oddawałam się marzeniom o księciu z bajki.

Patrzył na jej roześmianą twarz w matowym świetle deski rozdzielczej. Susan pogrążyła się we wspomnieniach. Po raz pierwszy, odkąd się poznali, była myślami daleko od niego. Richard chciał spytać, o jakim aktorze czy piosenkarzu marzyła w dzieciństwie, i usłyszeć, że oni wszyscy byli ledwie prorokami, a tylko on jeden jest prawdziwym Mesjaszem. Lecz po chwili zazdrość o innych mężczyzn w jej życiu wydała mu się równie małostkowa jak niepokój o stan konta. Poczł zmęczenie i położył głowę na ramieniu Susan. Lewą ręką pogłaskała go po głowie i przyciągnęła do swojego ramienia. Zasnął.

O mężczyznach w życiu Susan dowiedział się wszystkiego podczas następnych dni. Dowiedział się też o jej marzeniu, by mieć dzieci, przynajmniej dwójkę, a najlepiej czwórkę. Z mężem najpierw nie mogła zająć w ciążę, potem przestała go kochać i wzięli rozwód. Dowiedział się, że studiowała historię sztuki w college'u, chodziła na zajęcia do business school i że udało jej się postawić na nogi rodzinną firmę produkującą kolejki elektryczne. Odziedziczyła ją po ojcu i jakiś czas temu sprzedała razem z innymi firmami, które przypadły jej w spadku. Dowiedział się, że ma mieszkania na Manhattanie, które właśnie odnawia, bo chce się przenieść z Los Angeles do Nowego Jorku. Dowiedział się również, że ma czterdzieści jeden lat i jest od niego o dwa lata starsza.

Wszystko, co Susan opowiadała o dotychczasowym życiu, kończyło się na planowaniu wspólnej przyszłości. Opisała mu swoje mieszkanie w Nowym Jorku: szerokie schody, które z dolnego poziomu na szóstym piętrze wiodły na górny poziom, na siódmym, przestronne korytarze, duże, wysokie pomieszczenia, kuchnię z windą na jedzenie, widok na park. Tutaj dorastała. Później, po śmierci rodziców, ciotka zabrała ją ze sobą do Santa Barbara. – Zjeżdżałam po poręczach, a po korytarzach jeździłam na wrotkach. W windzie najedzenie mieściłam się do szóstego roku życia. Z mojego łóżka widać było taniec czubków drzew za oknem. Musisz koniecznie

zobaczyć to mieszkanie! – Mówiła, że nie może mu go pokazać teraz, bo z Cape Cod musi lecieć do Los Angeles, żeby przygotować przeprowadzkę fundacji i swoją własną. – Spotkasz się z architektem? Możemy jeszcze wszystko zmienić.

W czasach kryzysu gospodarczego jej dziadek kupił po korzystnej cenie nie tylko dwupoziomowe mieszkanie, ale także całą kamienicę przy Piątej Alei. Podobnie jak posesję na Cape Cod i inną w górach Adirondack. – Ją też muszę jeszcze odremontować. Interesujesz się architekturą? Lubisz budować, odnawiać, urządzać? Przywiozłam ze sobą plany. Obejrzymy je razem?

Opowiadała o zaprzyjaźnionej parze, która od łąt bez powodzenia starała się o dziecko i spędzała właśnie urlop na *fertility farm*. [klinika leczenia bezpłodności] Opisała dietę, którą stosują, i program, który dyktuje im, kiedy mają spać, gimnastykować się, jeść i w jakich porach się kochać. Bawiło ją to, a jednocześnie trochę przerażało.

– Czytałam, że wam, Europejczykom, obce jest takie podejście. Że przyjmujecie życie jako los, w którym niczego nie można zmienić.

– Tak – odparł. – I jeśli naszym przeznaczeniem jest mordować ojców i spółkować z własnymi matkami, nie ma żadnego sposobu, by tego uniknąć.

Roześmiała się.

– Ale w takim razie nie powinniście mieć żadnych obiekcji wobec *fertility farm*. Jeśli nawet nie zmieni ona waszego przeznaczenia, to na pewno mu nie zaszkodzi. –

Wzruszyła ramionami jakby na usprawiedliwienie swoich słów. – To tylko dlatego, że nie wyszło nam wtedy z Robertem. Może nawet nie przeze mnie, a przez niego. Nie badaliśmy się. Mimo to od tamtego czasu się boję.

Skinął głową. Nagle sam się przestraszył. Minimum dwójki, a najlepiej czwórki dzieci. Tego, że będzie musiał kochać się z Susan na *fertility farm* o ściśle określonych porach i przestrzegać odpowiedniej diety. Głośnego tykania zegara biologicznego, które ustanie dopiero wtedy, gdy urodzi się czwarte dziecko albo gdy żadne i tak nie będzie chciało przyjść na świat. Tego, że oddanie i namiętność, jakimi Susan go obdarza, nie są przeznaczone dla niego.

– Nie musisz się bać. Opowiadam tylko o tym, co mnie zajmuje. To nie znaczy, że powiedziałam już ostatnie słowo. Ty za to cenzurujesz to, co mówisz.

– To też typowo europejskie. – Nie chciał z nią rozmawiać o swoim strachu. Miała rację: cenzurował swoje myśli i uczucia. Nie, Susan wcale nie chciała planować z nim pobytu na *fertility farm*. Ale zabrała się już do planowania wspólnej przyszłości, więc chociaż i on tego pragnął z każdym dniem bardziej, nie mógł wnieść do ich związku nawet niewielkiej części tego co ona: mieszkania, domów, pieniędzy. Gdyby zakochał się w koleżance z orkiestry, mogliby wspólnie rozejrzeć się za nowym mieszkaniem i wspólnie podjąć decyzję, które z jego lub jej mebli do niego wstawić, a co dokupić w IKEA czy na pchlim targu. Susan byłaby z pewnością skłonna

umeblować jeden czy dwa pokoje jego sprzętami. Ale wiedział, że nie pasowałyby do reszty.

Mógłby zabrać ze sobą flet i nuty i ćwiczyć przy stojaku, który z pewnością znalazłby się wśród jej mebli. Mógłby poukładać na półkach swoje książki, a papiery w szafie na akta jej ojca. Mógłby pisać listy przy jego dawnym biurku. Najlepiej będzie, jeśli powiesi swoje rzeczy w jej szafie, tu, w wiejskiej posiadłości. W mieście nie prezentowałyby się w nich dobrze u jej boku.

Dużo ćwiczył. Najczęściej na sucho, jak określał naprzemienne zginanie i prostowanie małego palca. Coraz częściej również na flecie. Instrument po raz pierwszy stał się częścią jego samego. Należał do niego, był wiele wart, to dzięki niemu tworzył muzykę i zarabiał pieniądze. Flet nieustannie mu towarzyszył – gdy miał go przy sobie, wszędzie czuł się jak w domu. Grając, obdarzał Susan czymś, czego nikt inny nie był w stanie jej dać. Improwizował, znajdując melodie, które pasowały im do nastroju.

9

W dużym domu najbardziej lubiła narożny pokój. Miał wiele okien, sięgały do samej posadzki. Przy ładnej pogodzie można je było rozsunać, a przy niepogodzie zasłonić żaluzjami. Gdy deszcz nie pozwalał na spacery po plaży, w tym pokoju najbardziej czuli bliskość morza,

fal, mew, przepływających z rzadka statków. Czasami szli na plażę, a zimne strugi deszczu smagały im twarze z taką siłą, że aż bolały ich policzki.

Na urządzenie pokoju składały się wiklinowe meble, stoły, leżanki i fotele z miękkimi poduszkami wyściełającymi twardą plecionkę. Gdy oprowadzała go po domu, powiedział na widok szezlongu, na którym mogła się zmieścić tylko jedna osoba: – Szkoda. – Dwa dni później, gdy jedli śniadanie w małym salonie, przed dom zajechał samochód dostawczy i dwóch mężczyzn w niebieskich kombinezonach wniosło do środka dwuosobowy szezlong. Pasował do pozostałych mebli, a jego poduszki zdobił ten sam kwiatowy deseń.

Pogoda sprawiała, że każdy kolejny dzień był podobny do poprzedniego. Codziennie padało, deszcz to przechodził w burzę, to padał godzinami, bywało też, że mijał po pięciu minutach, odsłaniając niebo i błyszczące od słońca dachy. Gdy pogoda pozwalała, Susan i Richard spacerowali po plaży, a gdy kończyły im się zapasy, jechali do supermarketu. Resztę czasu spędzali w dużym domu. Gdy przenosili się do willi, Susan zadzwoniła do Mity, żony Clarka, która odtąd przychodziła codziennie na kilka godzin, przygotowywała posiłki, prała i sprzątała. Robiła to tak dyskretnie, że Richard spotkał ją dopiero po kilku dniach.

Któregoś wieczora zaprosili na kolację Lindę i Johna. Susan i Richard mieli coś przyrzadzić. Oboje nie mieli pojęcia o gotowaniu i sama lektura książki kucharskiej

sprawiała im trudności. Ale gdy wreszcie udało im się przygotować steki z ziemniakami i sałatką, ogarnęło ich uspokajające uczucie, że razem przezwyciężą każdy kryzys. Poza Lindą i Johnem nikogo nie zapraszali i nie składali nikomu wizyt. – Na przyjaciół jeszcze przyjdzie czas – mówili.

Z nadejściem zmierzchu kochali się. Wystarczało im wieczorne światło, a gdy zapadała ciemność, zapalali świeczkę. Kochali się tak spokojnie, że Richard zastanawiał się czasem, czy nie uszczęśliwiłby Susan bardziej, gdyby zdarł z niej ubranie, rzucił się na nią i w niej zatracił. Ale nie mógł się na to zdobyć, a ona nie sprawiała wrażenia, jakby jej tego brakowało. Nie jesteśmy dzikimi kotami, myślał, jesteśmy kotami domowymi.

Tak myślał aż do czasu ich pierwszej kłótni, pierwszej i jedynej. Wybierali się do supermarketu. Susan musiała nagle odebrać ważny telefon, rozmowa ciągnęła się w nieskończoność, podczas gdy Richard czekał w samochodzie. To, że kazała mu czekać bez słowa wyjaśnienia, to, że o nim zapomniała lub go zwyczajnie zlekceważyła, rozzłościło go do tego stopnia, że wysiadł z auta, wszedł do domu i zbeształ ją, gdy właśnie odkładała słuchawkę.

– Czy na to mam się przygotować? To, co ty robisz, jest ważne, a to, co ja robię, już nie? Twój czas jest cenny, a mój nie?

W pierwszej chwili nie zrozumiała.

– Dzwonili z Los Angeles. Zarząd...

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Dlaczego musiałem całą wieczność...

– Przykro mi, że musiałeś poczekać kilka minut. Myślałam, że Europejczycy są dla kobiet...

– Europejczycy to, Europejczycy tamto, nie mogę już tego słuchać. Spędziłem na dworze pół godziny...

Lecz teraz i ona wpadła w złość.

– Pół godziny? Najwyżej kilka minut.. Jeśli tak strasznie ci się dłużyły, mogłeś, przecież wejść do domu i poczytać gazetę. Co za primadonna z ciebie, co za...

– Primadonna? Ja? Kto tu jest...

Zarzucała mu, że urządza cyrk o byle co. On z kolei nie mógł zrozumieć, że jego życzenie, by się z nim liczyła, jest dla niej byle czym. On, który nie miał nic, chciał być równie ważny jak ona, która miała wszystko. Nie pojmowała, jak mogło przyjść mu do głowy, że się dla niej nie liczy. W końcu już tylko na siebie krzyczeli, wściekli i zdesperowani.

– Nienawidzę cię! – Podeszła do niego, cofnął się, lecz nadal na niego napierała i gdy stanął pod ścianą, nie mogąc uczynić już żadnego ruchu, zaczęła bić go pięściami w piersi, aż wziął ją w ramiona i mocno przytulił. Przez chwilę szarpała się z guzikami jego koszuli, lecz potem rozerwała ją jednym ruchem. Próbowali zdjąć sobie nawzajem dżinsy, ale że nie było to takie proste i zajęłoby zbyt wiele czasu, każde rozebrało się samo, za jednym zamachem ściągając spodnie, majtki i

skarpetki. Kochali się na podłodze w hallu, pospiesznie, natarczywie, namiętnie.

Potem on leżał na wznak, a ona ułożyła głowę w zagłębieniu jego ramienia. – A więc jednak – powiedział i zaśmiał się z radością. Ona zrobiła mały gest, jakby pokręciła głowę czy wzruszyła ramionami, i wtuliła się w niego jeszcze bardziej. Czuł, że gdy się kochali, jej, w przeciwieństwie do niego, nie udzieliła się pasja, z jaką się kłócili. Nie rozerwała mu koszuli dlatego, że chciała poczuć jego skórę. Szukała jego serca. Jej pasja była pasją walki o powrót do spokoju, który stracili podczas kłótni.

Pojechali do supermarketu i Susan napełniła koszyk, jakby mieli zostać jeszcze przez długie tygodnie. Gdy wracali, przez chmury przedarło się słońce i skręcili na drogę, która prowadziła wzdłuż brzegu zatoki, a nie otwartego morza. Tafla wody była gładka, a powietrze przejrzyste. Widać było koniec cypla i przeciwległy brzeg.

– Lubię, gdy przed burzą jest taka dobra widoczność, a kontury są ostre.

– Przed burzą?

– Tak. Nie wiem, czy to wilgotność, czy raczej elektryczność sprawia, że powietrze nabiera takiej przejrzystości, ale to z całą pewnością powietrze, które zapowiada burzę. Jest takie zwodnicze, przynosi burzę, choć jeszcze przed chwilą obiecywało pogodę.

– Przepraszam, że tak cię wcześniej zbeształem. Więcej: że podniosłem na ciebie głos. Naprawdę mi

przykro.

W pierwszej chwili nie odpowiedziała. Nagle zobaczył, że płacze, i przystanął przestraszony. Podniosła ku niemu mokrą od łez twarz i objęła go za szyję.

– Nikt nigdy nie powiedział mi czegoś równie pięknego. Że mu przykro z powodu tego, co powiedział. Mnie też jest przykro. Ja też krzyczałam, zwymyślałam cię nawet. I uderzyłam. To się już nigdy nie powtórzy, słyszysz, nigdy więcej.

10

I w końcu nadszedł ostatni dzień. Jej lot był o wpół do piątej, jego o wpół do szóstej, mogli więc w spokoju zjeść śniadanie, po raz pierwszy na tarasie. Słońce świeciło tak mocno, jakby deszcz i zimno były zaledwie przelotną infekcją, której lato zdążyło się pozbyć. Wybrali się na spacer po plaży.

– To tylko kilka tygodni.

– Wiem.

– Będiesz pamiętał o jutrzejszym spotkaniu z architektem?

– Tak.

– I o materacu?

– Niczego nie zapomniałem. Kupię materac i tekturowe meble, plastikowe naczynia i sztucce. Gdy tylko czas mi pozwoli, zajrzę do magazynu i zobaczę, czy

spodoba mi się jakiś mebel po twoich rodzicach. Urządzimy wszystko wspólnie, krok po kroku. Kocham cię.

– Tutaj spotkaliśmy się pierwszego dnia.

– Tak, gdy szedłem w tamtą stronę. A gdy wracałem, tam dalej.

Rozmawiali o tym, jak się minęli na plaży, jak wyjątkowe było to, że w ogóle się spotkali, bo przecież on nie do końca miał po drodze, tak zresztą jak ona, o tym, jak wieczorem w restauracji o mały włos byliby się rozminęli, gdyby nie to, że uśmiechnęła się do niego, nie, gdyby nie to, że on na nią spojrział, o tym, jak go znalazła, nie, on ją.

– Może spakujemy się i rozsuniemy okna w narożnym pokoju? Mamy jeszcze kilka godzin.

– Nie musisz pakować wszystkiego. Zostaw letnie i plażowe rzeczy tutaj, poczekają na ciebie do następnego roku.

Skinął głową. Chociaż Linda i John zwrócili mu część sumy, którą zapłacił z góry za pobyt, miał już na koncie pokaźny debet. Ale na myśl, że gdy zostawi u niej swoje rzeczy, będzie musiał w Nowym Jorku kupić nowe i jeszcze bardziej się zadłużyć, nie czuł niepokoju. Tak to jest, gdy żyje się ponad stan. Jakieś rozwiązanie na pewno się znajdzie.

Spakowane torby podróżne stały już przy drzwiach i dom sprawiał wrażenie obcego. Weszli na górę, jak zawsze. Ale teraz stąpali ostrożnie i rozmawiali

ściszonym głosem.

Rozsunęli skrzydła okien i usłyszeli szum morza i krzyki mew. Słońce stało jeszcze wysoko, lecz Richard przyniósł z sypialni koc i rozłożył go na dwuosobowym szezlongu.

– Chodź!

Rozebrali się i wsunęli pod koc.

– Jak teraz będę bez ciebie spać?

– A ja bez ciebie?

– Naprawdę nie możesz polecieć ze mną do Los Angeles?

– Mam próbę. Może polecisz ze mną do Nowego Jorku?

Roześmiała się.

– Mam kupić orkiestrę? Tak, byś to ty wyznaczał terminy prób?

– Kupić orkiestrę wcale nie jest tak łatwo.

– Może zadzwonię?

– Zostań!

Bali się pożegnania, lecz jego bliskość dodawała im nieznaną dotychczas lekkość. Nie dzielili już razem życia, ale jeszcze nie wrócili do swoich światów, byli na ziemi niczyjej. Tak też się kochali, z początku trochę nieśmiało, bo powróciło do nich uczucie pierwszej obcości, a potem radośnie. Jak zawsze, przez cały czas patrzyła na niego zapamiętałe, z ufnością.

Na lotnisko pojechali samochodem Susan, który miał odebrać potem Clark. Wymienili się informacjami, gdzie i

kiedy będą uchwytني, również pod telefonem, jak gdyby nie mieli komórek, dzięki którym i tak byli uchwytني przez cały czas. To opowiadali sobie, co będą robić podczas dni i tygodni dzielących ich od następnego spotkania, to fantazjowali o tym, jak będzie wyglądała ich wspólna przyszłość. W miarę gdy zbliżali się do lotniska, Richard czuł narastającą potrzebę powiedzenia czegoś, co towarzyszyłoby jej przez całą drogę. Ale nic nie przychodziło mu do głowy.

– Kocham cię – powtarzał. – Kocham cię.

11

Z samolotu chciał spojrzeć raz jeszcze na dom i plażę. Ale dom Susan był na północy, a samolot leciał w kierunku południowo-zachodnim. Patrzył na morze i wyspy, potem na Long Island i wreszcie na Manhattan. Samolot zatoczył duży łuk aż nad rzekę Hudson i Richard rozpoznał kościół, który znajdował się w sąsiedztwie jego mieszkania.

Do swojej dzielnicy przyzwyczajał się z trudem. Była głośna i w pierwszych dniach nie czuł się zbyt pewnie, gdy wracał późnym wieczorem do domu i mijał dzieciaki, wszystkie „cool” i „tough”, które przesiadywały na schodach domów lub stały oparte o balustrady, pijąc, paląc i słuchając dudnienia z odtwarzaczy. Czasami go

zaczepiały, lecz nie rozumiał, czego od niego chcą, dlaczego patrzą na niego wyzywająco i kpiąco się śmieją, gdy je mija. Pewnego razu zastąpiły mu drogę, żądając, by otworzył futerał. Pomyślał, że chcą ukraść flet, ale okazało się, że chciały go tylko zobaczyć i usłyszeć. Wyłączyły swoją muzykę. Cisza, która nagłe zapadła, wprawiła je w lekkie zakłopotanie. On też czuł się zakłopotany, na domiar złego bał się i dźwięk fletu był z początku cienki, ale po chwili okrzepł i nabrał mocy, a dzieciaki zaczęły nucić melodię, którą grał, i klaskać do rytmu. Potem wypił z nimi piwo. Od tamtej pory wołały na jego widok: „hey, pipe” albo „hola, flauta”, a on witał się z nimi, i po jakimś czasie znał imiona wszystkich.

Jego mieszkanie też było głośnie. Słyszał kłótnie sąsiadów, ich bijatyki i miłość, znał ich ulubione programy i audycje. Którejś nocy usłyszał strzał i przez kilka następnych dni patrzył nieufnie na każdą osobę, którą mijał na klatce schodowej. Gdy pewnego razu sąsiad zaprosił go na przyjęcie, Richard spróbował przyporządkować spotkane tam osoby znanym sobie odgłosom: kobietę o wąskich ustach – jazgotaniu, mężczyznę z tatuażami – bijatykom, dorodną córkę sąsiada i jej chłopaka – miłosnym jękiem. Raz w roku rewanżował się i zapraszał wszystkich do siebie. Wtedy sąsiedzi, którzy na co dzień nie mogli na siebie patrzeć, przez wzgląd na niego zmuszali się do wzajemnej uprzejmości. Nikt nie skarżył się na to, że gra na flecie. Mógł ćwiczyć wcześniej rano i późnym wieczorem, i

nawet o północy nikomu by to nie przeszkadzało. Za to on każdej nocy wkładał do uszu zatyczki.

Z biegiem lat dzielnica zaczęła się zmieniać. Młode małżeństwa remontowały zaniedbane mieszkania, a w świecących niegdyś pustkami sklepach otwierano restauracje. Teraz Richard mijał na ulicy lekarzy, adwokatów i urzędników bankowych, a gdy miał gościa, mógł go zaprosić na porządną kolację w swojej okolicy. Jego dom należał do tych, które nie zmieniły się wcale: wspólnota spadkobierców była zbyt skłócona, by podjąć decyzję o sprzedaży lub remoncie. Ale właśnie taki mu się podobał. Lubił jego odgłosy. Dawały mu poczucie, że żyje w kontakcie z całym światem, nie tylko z jego bogatą enklawą.

Przypomniawszy sobie, że gdy opisywał Susan czekające go dni i tygodnie, nie powiedział ani słowa o drugim obojście. Spotykali się raz w tygodniu. Jedli kolację we włoskiej restauracji, rozmawiali o życiu i Europejczykach w Ameryce, zawodowych nadziejach i rozczarowaniach, plotkowali o kolegach z orkiestry, o kobietach. Oboista pochodził z Wiednia i podobnie jak Richard uważał, że Amerykanki są trudne. Nie wspomniawszy też o staruszku z poddasza, który czasami zachodził do niego wieczorami na partyjkę szachów i grał z taką inwencją i przenikliwością, że Richard wcale nie przejmował się tym, że zawsze przegrywa. Nie opowiedział jej też o Marii, która przesiadywała na ulicy z innymi dziećmi. Maria zdobyła gdzieś flet, poprosiła go, by pokazał jej

chwyty i jak czytać nuty, a na pożegnanie objęła go, przywierając do niego całym ciałem i przyciskając usta do jego ust. Nie opowiedział też Susan o lekcjach hiszpańskiego u emerytowanego nauczyciela z Salwadoru, który mieszkał ulicę dalej, ani o niechlujnym fitness clubie, w którym dobrze się czuł. Opisał jej tylko próby i występy orkiestry, flecistę, z którym od czasu do czasu ćwiczył, dzieci ciotki, która po wojnie wywędrowała do Nowego Jorku z amerykańskim żołnierzem, powiedział, że bierze lekcje hiszpańskiego, ale nie przyznał się, u kogo, i że chodzi do fitness klubu, ale nie do jakiego. Nie chciał przed nią niczego ukrywać. Tak po prostu wyszło.

12

Taksówka podjechała pod dom. Było ciepło, na schodach siedziały matki z dziećmi, maluchy bawiły się w chowanego wśród zaparkowanych samochodów, staruszkowie wynieśli swoje rozkładane krzeselka i puszki z piwem, kilku chłopców szło po ulicy zawadiackim krokiem, grupka dziewcząt przyglądała im się, chichocząc. – Hola, flauta – przywitał go sąsiad. – Już z powrotem?

Richard spojrział w głąb ulicy, potem w drugą stronę, usiadł na schodach, postawił obok torbę podróżną i oparł ręce na kolanach. To był jego świat: ta ulica, te domy, i eleganckie, i zaniedbane, na jednym rogu włoska

restauracja, w której spotykał się z oboistą, na drugim – sklep spożywczy, kiosk z gazetami, fitness club, i górująca ponad dachami wieża kościoła, w którego sąsiedztwie mieszkał nauczyciel hiszpańskiego. Przyzwyczał się do tego świata. Więcej – pokochał go. Odkąd przeprowadził się do Nowego Jorku, nie był z nikim w trwałym związku. Trzymała go tu praca, trzymali przyjaciele, ludzie, którzy mieszkali na jego ulicy, sąsiedzi, rutyna zakupów, treningów, posiłków spożywanych w jednej i tej samej restauracji. Wychodził rano po gazetę i zamieniał trzy zdania o pogodzie z Amirem, właścicielem kiosku, potem czytał gazetę w kawiarni, gdzie wiedzieli już, że na śniadanie zamawia zawsze dwa jajka w szklance, ze szczypiorkiem, a do tego tost z razowego chleba, następnie ćwiczył przez kilka godzin na flecie, sprzątał mieszkanie albo robił pranie, trenował w fitness clubie, potem uczył czegoś Marię, która obejmowała go na pożegnanie, jadł we włoskiej restauracji spaghetti bolognese i rozgrywał z sąsiadem partyjkę szachów, a potem szedł spać – właśnie w takim dniu nie brakowało mu niczego.

Spojrzał w górę, ku oknom swojego mieszkania. Zakwitł powojnik. Może Maria rzeczywiście go podlewała. Jako pierwszy sprawił sobie skrzynkę z kwiatami, teraz kwiaty zdobiły też wiele innych parapetów. Ciekawe, czy Maria pamiętała o wiadrze, które podstawił pod kapiącą rurę. Trzeba ją naprawić, przed podróżą nie zdążył się tym zająć.

Wstał z zamiarem wejścia na górę. Lecz zaraz usiadł z powrotem. Wyjął pocztę ze skrzynki, wejść po schodach, otworzyć drzwi, potem okna, rozpakować torbę, przejrzeć korespondencję, odpowiedzieć na kilka mejli, wziąć gorący prysznic, brudne rzeczy wrzucić do kosza na bieliznę i wyjąć z szafy czyste, odsłuchać automatyczną sekretarkę, na którą nagrał się oboista, pytając, czy spotkają się dziś wieczorem, zadzwonić do niego i potwierdzić – jeśli podejmie wątek swego przerwane go życia, nie będzie już odwrotu.

Ale co sobie właściwie wyobrażał? Że tak po prostu weźmie ze sobą swoje stare życie i zacznie żyć z Susan? Że kilka razy w tygodniu będzie jeździł przez pół miasta do swojego fitness klubu i na lekcje hiszpańskiego? Że przypadkiem znowu spotka Marię i inne dzieciaki? Że staruszek z poddasza od czasu do czasu wsiądzie do taksówki i każe się wieźć do dwupoziomowego mieszkania przy Piątej Alei, żeby pograć z nim w salonie pod oryginałem Gerharda Richtera? Że oboista będzie się dobrze czuł w restauracji na East Side? Richard miał powody, by przemilczeć wiele spraw, które nie mogły stać się częścią ich wspólnego życia. Nie chciał myśleć o tym, że będzie musiał zrezygnować ze starego życia na rzecz nowego.

No dobrze, ale co z tego? Podczas dni spędzonych na Cape Cod miał Susan dla siebie i niczego mu nie brakowało. Tutaj też będzie razem z nią i tutaj też niczego nie będzie mu brakowało. Przecież było im na Cape Cod

tak dobrze nie tylko dlatego, że jego życie zostało hen, daleko! Jego życie nie może stanąć między nimi tylko dlatego, że ma konkretny kształt o dwie mile od miejsca, w którym mieli rozpocząć nowe, wspólne.

A właśnie, że może. Nie wolno mu teraz iść do siebie, musi stąd odejść, zostawić za sobą stare życie i ruszyć ku nowemu, teraz, zaraz. Pójść do hotelu. Rozbić obóz w mieszkaniu Susan wśród drabin malarskich i wiader z farbą. Poprosić kogoś, by opróżnił stare mieszkanie i przywiózł jego rzeczy do nowego lokum. Ale wizja pokoju hotelowego i mieszkania Susan napełniła go strachem i sprawiła, że ogarnęła go tęsknota za swoją dzielnicą, jeszcze nim ją opuścił.

Jak bardzo chciałby być teraz z Susan, na Cape Cod! Albo gdyby jej mieszkanie było już gotowe, a ona tu, na miejscu! Gdyby tak jego stary dom trafił piorun i wszystko się spaliło!

Założył się ze sobą: jeśli w ciągu następnych dziesięciu minut ktoś wejdzie do domu, on też wejdzie, jeśli nie, weźmie torbę i pojedzie do hotelu na East Side. Po piętnastu minutach nikt nie wszedł do środka, lecz on nadal siedział na schodach. Spróbował jeszcze raz. Jeśli w ciągu następnych piętnastu minut zobaczy pustą taksówkę, zatrzymają i każe się zawieźć do hotelu na East Side, jeśli nie, pojedzie do siebie. Pusta taksówka pojawiła się już po minucie, lecz on ani jej nie zatrzymał, ani nie poszedł na górę.

Wreszcie przyznał w duchu, że sam sobie z tym nie

poradzi. Był gotów przyznać się do tego również Susan. Potrzebował jej pomocy. Musi do niego przyjechać i z nim zostać. Musi mu pomóc opróżnić stare mieszkanie i urządzić się w nowym. Potem może wracać do Los Angeles. Zadzwoił do niej. Była w Bostonie, w poczekalni lotniska, ale właśnie szła do samolotu.

– Zaraz mam samolot do Los Angeles.

– Potrzebuję cię.

– Ja też cię potrzebuję. Kochanie! Tak za tobą tęsknię.

– Nie. Naprawdę cię potrzebuję. Nie radzę sobie z moim starym i naszym nowym życiem. Musisz przyjechać. Do Los Angeles polecisz później. Proszę! – W słuchawce coś zaszeleściło. – Susan? Słyszysz mnie?

– Właśnie idę do bramki. Przylecisz do Los Angeles?

– Nie, Susan, to ty przyleć do Nowego Jorku, proszę!

– Tak bardzo, tak bardzo bym chciała być przy tobie.

– Słyszał, jak kontroler pyta ją o kartę pokładową. – Może uda nam się zobaczyć w następny weekend, zdzwońmy się jeszcze, teraz muszę już wsiadać, jestem ostatnia. Kocham cię.

– Susan!

Lecz Susan już się wyłączyła, a gdy zadzwonił jeszcze raz, odezwała się automatyczna sekretarka.

Zapadał zmierzch. Do Richarda dosiadł się sąsiad.

– Problemy?

Richard skinął głową.

– Kobiety?

Richard roześmiał się i znów przytaknął.

– Rozumiem. – Sąsiad wstał i przez chwilę go nie było. Gdy wrócił, postawił obok niego butelkę piwa i położył mu dłoń na ramieniu. – Pij!

Richard sączył piwo i przyglądał się życiu swojej ulicy. Dzieciakom, które nieopodal paliły, piły i słuchały dudnienia z magnetofonu. Dealerowi w cieniu schodów, który w milczeniu wręczał swoim klientom małe paczuszki i chował do kieszeni banknoty. Parze zakochanych w bramie jednego z domów. Staruszkowi, który jako jedyny siedział jeszcze na swoim rozkładanym krzeselku i co jakiś czas wyjmował kolejną puszkę piwa z torby termoizolacyjnej. Było jeszcze ciepło. Powietrze nie miało nic z tej ostrości, która w letnie wieczory zwiastuje czasami nadejście jesieni, lecz obiecywało długi, łagodny schyłek lata.

Richard czuł zmęczenie. Nadal był przekonany, że musi wybrać między starym a nowym życiem, że musi tylko poczekać, aż coś mu przyjdzie do głowy albo aż zbierze się na odwagę i wtedy, jak gdyby nigdy nic, wstanie i pójdzie na górę albo odjedzie na zawsze. Ale uczucie, które temu towarzyszyło, było uczuciem znużenia. On sam był znużony.

Dlaczego właściwie musi jechać do hotelu na East

Side już dzisiaj? Dlaczego nie jutro? Może przecież zostać jeszcze przez jakiś czas w starym życiu, póki nie będzie zupełnie gotów na przyjęcie nowego. To niemożliwe, że w ciągu kilku tygodni nie uda mu się przejść ze starego do nowego życia.

Na pewno teraz też dałby sobie z tym radę. Jeśli byłaby taka potrzeba. Ale nie ma takiej potrzeby. Poza tym, gdyby pojechał już teraz, nic nie stanęłoby na przeszkodzie temu, by wrócił nazajutrz. Jeśli pojedzie później, już nie wróci. Zatrzyma go nowe życie z Susan.

Najważniejsza jest decyzja. Właściwie już ją podjął. Zrezygnuje ze starego życia i zacznie nowe, razem z Susan. Gdy tylko przyjdzie odpowiednia pora. Teraz nie jest jeszcze na to gotowy. Wszystko w swoim czasie. Zrobi to, bo podjął już decyzję. Zrobi. Tylko jeszcze nie teraz.

Wstał i poczuł ból w całym ciele. Przeciągnął się i rozejrzał dookoła. Dzieciaki wróciły do domów i siedziały przed telewizorami, grały na komputerze albo spały. Ulica opustoszała.

Richard podniósł torbę podróżną, otworzył drzwi wejściowe, wyjął ze skrzynki pocztę, wszedł po schodach i przekręcił klucz w drzwiach mieszkania. Pootwierał okna we wszystkich pokojach. Wiadro, które stało pod kapiącą rurą, było prawie puste, a na stole stał bukiet astrów. Maria. Oboista nagrał się na sekretarkę z pytaniem, czy dziś wieczorem się zobaczą. Nauczyciel hiszpańskiego przesyłał pozdrowienia z „wakacji z jogą”

w Meksyku. Richard włączył komputer, lecz zaraz go wyłączył. Mejele mogą poczekać. Rozpakował torbę podróżną, rozebrał się i wrzucił brudne rzeczy do kosza na bieliznę.

Nagi stał w łazience i nasłuchiwał odgłosów domu. W mieszkaniu obok panowała zupełna cisza, a na piętrze nad nim cicho mruczał telewizor. Gdzieś z głębin domu dobiegały to bliższe, to dalsze odgłosy kłótni, wreszcie rozległ się huk zatrzaskiwanych drzwi. Przy kilku oknach szumiała klimatyzacja. Dom spał.

Richard zgasił światło i położył się do łóżka. Przed zaśnięciem przypomniał sobie, jak Susan, stojąc na schodkach samolotu, śmieje się i płacze.

Noc w Baden-Baden

1

Zabrał ze sobą Therese, bo wiedział, że na to liczyła. Bo wiedział, że się ucieszy. A gdy się cieszyła, była uroczą towarzyszką. Bo właściwie nie istniał powód, by jej nie zabierać.

Na premierze swojej pierwszej sztuki miał siedzieć w łoży, a po skończonym spektaklu wejść na scenę, stanąć obok aktorów i reżysera i pozwolić się oklaskiwać lub wygwizdać. Prawdę mówiąc, uważał, że byłoby przesadą, gdyby publiczność wygwizdała go po spektaklu, którego nie wyreżyserował. Byłoby mu jednak zbyt ciężko zrezygnować z wejścia na scenę i oklasków.

Zarezerwował dwuosobowy pokój w Brenner's Park Hotel, w którym jeszcze nigdy nie był. Cieszył się na luksus pokoju i kąpeli, spacer po parku przed premierą, earl greya i kanapkę klubową na werandzie. Wyjechali wczesnym popołudniem i mimo piątkowego ruchu na autostradzie szybko posuwali się do przodu. Dotarli do Baden-Baden już o czwartej. Wzięli kąpiel w wannie ze złotą armaturą, najpierw Therese, potem on. Później poszli na spacer do parku, a po earl greyu i kanapce klubowej na werandzie zamówili jeszcze szampana. Czuli się w swoim towarzystwie dobrze i swobodnie.

A przecież liczyła na więcej, niż był w stanie jej dać,

i więcej niż to, czego sam od niej oczekiwał. To dlatego pewnego dnia postanowiła, że nie będą się już widywać, lecz po roku rozłąki zaczęło jej brakować wspólnych wyjść do kina, teatru i na kolację i pogodziła się z tym, że ich spotkania kończyły się pod jej drzwiami przelotnym pocałunkiem. Czasem przytulała się do niego w kinie, czasem on otaczał ją ramieniem. Niekiedy, gdy szli obok siebie, brała go za rękę, a on mocno trzymał jej dłoń w swojej dłoni. Czy doszukiwała się w tym obietnicy czegoś więcej? Wolał tego nie wiedzieć.

W teatrze przywitał ich reżyser, przedstawił aktorom i zaprowadził do loży. Potem kurtyna poszła w górę. Nie poznawał swojego tekstu. Historia zbiegłego terrorysty, który pewnej nocy szuka schronienia w domu swoich rodziców, siostry i brata, na scenie zamieniła się w groteskę, wszyscy wydawali mu się żałośni: terrorysta ze swoimi wyświechtanymi frazesami, jego rodzice ze swym lęklwym przywiązaniem do prawa i porządku, przedsiębiorczy brat i prawiąca moralne kazania siostra. Ale przedstawienie było udane i gdy dobiegło końca, po krótkiej chwili wahania dołączył do stojących na scenie aktorów i reżysera i pozwolił się oklaskiwać.

Therese nie czytała tekstu i cieszyła się jego sukcesem jak dziecko. Dobrze mu to zrobiło. Podczas kolacji, którą wydano po premierze, uśmiechała się do niego tak przyjaźnie, że zapomniał o tym, że spotkania towarzyskie właściwie go męczą. Zrozumiał, że reżyser nie tyle wystawił sztukę jako groteskę, ile tak właśnie ją

zinterpretował. Czy powinien więc zaakceptować, że napisał groteskę, bez własnej wiedzy i woli?

Po kolacji w dobrych humorach wrócili do hotelu. Pokój przygotowano już na noc, zasłony były zaciągnięte, a kołdry odchylone. Zamówił małą butelkę szampana, a gdy usiedli w piżamach na kanapie, z hukiem ją otworzył. Skończyły im się tematy do rozmowy, ale mu to nie przeszkadzało. Na komodzie stał odtwarzacz CD i mały stos płyt, a wśród nich francuskie melodie na akordeon.

Przytulili się do niego, a on otoczył ją ramieniem. Gdy przebrzmiała ostatnia melodia i skończył się szampan, położyli się i po przelotnym pocałunku zasnęli, odwrócenie do siebie plecami.

Nazajutrz nie od razu ruszyli w drogę powrotną. Zwiedzili Kunsthalle w Baden-Baden, zatrzymali się w winnicy, a w Heidelbergu wybrali się na zamek. I znowu było im we dwoje lekko i swobodnie. Jednak za każdym razem, gdy wyczuwał w kieszeni spodni telefon, ogarniał go niepokój. Wyłączył go. Co też mogło się nazbierać w poczcie głosowej?

2

Nic, stwierdził wieczorem po powrocie do domu. Anne nie zostawiła mu żadnych wiadomości. Nie mógł sprawdzić, czy wśród nieodebranych połączeń był także jej numer. Kto wie, czy połączenie, które odrzucił, to

telefon od niej?

Wybrał numer Anne. Powiedział, że mu przykro, że nie zadzwonił wieczorem z hotelu. Zrobiło się późno. A dziś wyjechał wczesnym rankiem, zbyt wcześnie, nie chciał jej budzić. W dodatku zostawił komórkę w domu.

– Próbowowałaś się do mnie dodzwonić?

– Wczoraj po raz pierwszy od tygodni nie rozmawialiśmy wieczorem. Brakowało mi ciebie.

– Mnie ciebie też.

Mówił prawdę. Ostatnia noc była błędem. Czuł to. Bliskość wspólnego łóżka – to było zbyt wiele. Ta intymność nie miała przełożenia na bliskość rzeczywistą, biorącą się z miłości, pożądania czy chociażby z tęsknoty za ciepłem lub ze strachu przed samotnością. Gdy dzielił łóżko i noc z Anne, czuł, że tak jest dobrze.

– Kiedy przyjedziesz? – spytała z natarczywą czułością.

– Myślałem, że teraz kolej na ciebie. – Obiecała przecież, że spędzi u niego kilka tygodni, gdy tylko skończy seminarium w Oksfordzie. Cieszył się na myśl o nadchodzących tygodniach i bał się ich zarazem.

– Tak, ale do końca seminarium został jeszcze miesiąc.

– Postaram się przylecieć w weekend za dwa tygodnie.

Milczała. Gdy już miał spytać, czy za dwa tygodnie nie będzie jej pasowało, usłyszał:

– Jesteś jakiś inny.

– Inny?
– Inny niż zazwyczaj. Coś nie gra?
– Wszystko gra. Może trochę za długo świętowałem po premierze, za późno się położyłem i za wcześnie wstałem.

– Co dzisiaj robiłeś?
– Musiałem się trochę rozejrzeć po Heidelbergu. Chciałbym tam umieścić jedną ze scen. – Nic innego na poczekaniu nie przyszło mu do głowy. Teraz jedna ze scen w jego następnej sztuce będzie musiała rozgrywać się w Heidelbergu.

Po chwili milczenia powiedziała:

– To nie jest dla nas dobre. Ty tam, ja tu. Dlaczego nie popiszesz tutaj, póki nie skończę seminarium?

– Nie mogę, Anne, nie mogę. Muszę się spotkać z intendentem teatru w Konstancji i redaktorem z wydawnictwa teatralnego, poza tym obiecałem Steffenowi, że pomogę mu w kampanii wyborczej. Wydaje ci się, że mogę planować swój czas, jak mi się spodoba. Ale nie mogę przecież wszystkiego zostawić. – Był na nią zły.

– Kampania wyborcza...

– Nikt cię nie zmuszał... – Już miał powiedzieć: „Nikt cię nie zmuszał, żebyś przyjmowała zlecenie w Oksfordzie”. Lecz Anne zajmowała się wąską dziedziną feministycznej teorii prawa, co nie gwarantowało jej stałej posady, lecz tylko pojedyncze zlecenia na prowadzenie zajęć. Oczywiście mogłaby poszerzyć pole swych badań.

Ale nie chciała niczego zmieniać, a powodzenie, jakim cieszyły się jej seminaria, było dla niego dowodem, że jest dobra w tym, co robi. Nie, nie będzie wobec niej uszczypliwy. – Musimy lepiej planować. Mówić sobie jasno, czego oczekujemy. Ustalać, co jesteśmy gotowi zaakceptować, a czego nie.

- Mógłbyś przylecieć już w środę?
- Postaram się.
- Kocham cię.
- Ja też cię kocham.

3

Miał wyrzuty sumienia. Okłamał Anne, złościł się na nią, niewiele brakowało, a byłby wobec niej uszczypliwy. Gdy rozmowa dobiegła końca, poczuł ulgę. Wszedł na balkon, owionęło go ciepło miasta i spokój letniego wieczora. Usiadł i nasłuchiwał. Od czasu do czasu przejechał samochód, z rzadka dały się słyszeć kroki jakiegoś przechodnia. Wyrzuty sumienia dręczyły go również dlatego, że nie zadzwonił do Therese i nie spytał, czy miała dobrą podróż.

Ale po pewnym czasie miał dość swojej skruchy. Nie był Therese nic dłużny. A sprawy, które zatajał przed Anne, musiał przed nią zatajać, bo zareagowałyby przesadną zazdrością. Jego poprzednim przyjaciółkom nie przeszkadzało, gdy – w podróży czy w odwiedzinach –

dzielił łóżko z innymi kobietami, pod warunkiem że w grę rzeczywiście wchodziło tylko łóżko. Lecz Anne nie posiadała się z oburzenia. Dlaczego musiała urządzać cyrk z powodu innych kobiet! Powtarzała, że sam pisze kodeks swojego życia, podczas gdy ona musi być posłuszna kodeksowi swej kariery – aż dziw, że podobne bzdury przyjmował ze spokojem. Anne sama wybrała swoją drogę, podobnie jak on swoją.

Cieszył się, że ma tę rozmowę za sobą, a przecież już nie mógł się doczekać następnej. Byli parą od siedmiu lat i do tej pory nie udało im się nadać wspólnemu życiu stabilnego kształtu. Anne miała mieszkanie w Amsterdamie i prowadziła zajęcia na tamtejszym uniwersytecie – zlecenie, z którego nie mogła się utrzymać, ale mogła w każdej chwili zrezygnować, by uczyć w Anglii, Ameryce, Kanadzie, Australii czy Nowej Zelandii. Odwiedzał ją i zostawał raz na dłużej, raz na krócej. To ona spędzała kilka dni lub tygodni u niego we Frankfurcie, to znów on pomieszkiwał u niej w Amsterdamie przez kilka dni lub miesiące. We Frankfurcie ona wydawała mu się zbyt wymagająca, a on jej – zbyt małostkowy. W Amsterdamie napięcie malało, może dlatego, że Anne była bardziej wielkoduszna od niego, a może dlatego, że on miał wobec niej mniejsze wymagania. Spędzali razem jedną trzecią roku. Przez pozostałe miesiące życie Anne nie miało stałego rytmu, żyła na walizkach, nocowała w pokojach hotelowych, podczas gdy on wracał do swej spokojnej egzystencji,

wyznaczanej przez imprezy i spotkania to w związku pisarzy, to w partii, do której należał, to z przyjaciółmi, i wreszcie, no tak, z Therese. To wszystko nie było dla niego nawet specjalnie ważne. Chociaż cieszył się z każdej imprezy, którą odwołano, każdego spotkania, które się nie odbyło, każdego politycznego zaproszenia i wezwania, które nie trafiło do jego skrzynki pocztowej czy mejlowej. Ale nie mógł wszystkiego zostawić. Wyjechać do Anne do Amsterdamu i rozbijać się z nią po świecie – co to, to nie.

Nie był jeszcze gotowy, choć ból rozłąki odczuwał niemal fizycznie – gdy chciał się z nią podzielić swym szczęściem, gdy dopadł go smutek i potrzebował jej pociechy albo gdy miał ochotę porozmawiać z nią o swych przemyśleniach i projektach. Gdy leżał sam w łóżku. A przecież, gdy byli razem, rzadko rozmawiali o jego przemyśleniach i projektach, pocieszenie nie było jej najmocniejszą stroną, a gdy sama czuła się szczęśliwa, nie okazywała takiej euforii, jaką chciałby u niej widzieć. Była kobietą zdecydowaną, wiedziała, czego chce, i gdy podczas ich pierwszego spotkania zobaczył owo zdecydowanie i świadomość celu w jej ładnej, okolonej rudoblond włosami, piegowatej twarzy, przywodzącej na myśl twarz wieśniaczki, od razu poczuł do niej sympatię. Lubił jej ciężkie, silne, niezawodne ciało. Zasypiać i budzić się razem z nią, czuć ją obok siebie przez całą noc – było to równie piękne, gdy byli razem, jak i wówczas, gdy fantazjował o tym w okresach rozłąki. I chociaż

tęsknili za sobą i było im ze sobą dobrze, wszystko psuły kłótnie. O to, że on godzi się na życie bardziej osobno niż razem i że nie jest tak dyspozycyjny, jak by sobie tego życzyła. O to, że ona podporządkowuje się bez reszty karierze i nie godzi na żadne kompromisy. Że go sprawdza i grzebie w jego rzeczach. Że on ucieka się do kłamstwa, jeśli tylko pomaga mu ono uniknąć konfliktu. Że ona nigdy nie jest z niego zadowolona. Że w jej odczuciu on nie darzy jej należnym szacunkiem i miłością. Gdy się złościła, podnosiła głos, a on chował się do swojej skorupy. Czasami, gdy krzyczała, uśmiechał się bezradnie, a wtedy wyraz jego twarzy wprawiał ją w jeszcze większą złość.

Lecz gojenie się ran, które zadawali sobie podczas kłótni, trwało krócej niż ból rozłąki. Pozostawała tylko pamięć o czymś w rodzaju gorącego źródła, które co jakiś czas gotuje się, syczy i bucha parą – nieostrożność groziła poparzeniem, nawet śmiertelnym. Ale nauczyli się je omijać. Może pewnego dnia okaże się, że to gorące źródło było przywidzeniem? Pewnego dnia? Może już podczas następnego spotkania, do którego tak tęsknili i którego wyczekiwali z taką radością!

4

Nie poleciał w środę, lecz dopiero w piątek. Gdy w poniedziałek jadł kolację we włoskiej restauracji na rogu,

dosiadł się do niego mężczyzna, który przyszedł po zamówioną wcześniej pizzę. Zaczęli rozmawiać, nieznajomy przedstawił się jako producent i rozmowa zeszła na fabuły do filmów. Gdy się żegnali, zaprosił go na kawę do swego biura. To był pierwszy, producent, jakiego poznał. Już od dawna marzył o tym, by pisać scenariusze filmowe, ale nie znał nikogo, komu mógłby sprzedać swoje pomysły. Umówili się na czwartek, przebukował więc lot na piątek.

Nie poleciał jednak do Anglii ze zleceniem na scenariusz czy przynajmniej treatment, na co skrycie liczył. Bądź co bądź producent zaproponował mu, by przygotował prezentacje kilku fabuł, o których rozmawiali w restauracji. Czy w związku z tym można już mówić o sukcesie? Nie miał pojęcia, niedostatecznie rozeznawał się w świecie filmu. Ale dobry nastrój towarzyszył mu podczas lotu i w dobrym nastroju dotarł na miejsce.

Anne nie czekała na lotnisku. Zadzwoił do niej. Musiała napisać artykuł, a odebranie go z lotniska kosztowałoby ją godzinę drogi z Oksfordu na Heathrow, godzinę czekania i kolejną godzinę drogi powrotnej, dlatego uznała, że będzie lepiej, jeśli zostanie w domu. Przecież nie chcesz, żebym pracowała przez cały wieczór, usprawiedliwiała się. Nie, oczywiście że nie. Mogłaś napisać ten artykuł wcześniej, pomyślał. Ale nic nie powiedział.

Mieszkała w niewielkim dwupoziomowym mieszkaniu, które było własnością college'u. Miał klucz i

otworzył drzwi bez pukania.

– Anne! – Wszedł na górę i podszedł do biurka, przy którym pracowała. Objęła go w pasie, nie wstając, i oparła głowę na jego piersi.

– Daj mi jeszcze pół godziny. Może wybierzemy się na spacer, gdy skończę? Od dwóch dni nie wychodziłam z domu.

Wiedział, że pół godziny jej nie wystarczy, rozpakował walizkę, rozlokował się i zaczął robić notatki ze swojej rozmowy z producentem. Gdy w końcu wyszli do parku nad Tamizą, słońce stało już nisko, niebo oblekło się granatem, a drzewa rzucały długie cienie na krótko przystrzyżoną trawę. Ptaki umilkły. Park pogrążył się w tajemniczej ciszy, jakby wypadł z trybów świata.

Przez długi czas żadne z nich się nie odzywało. Wreszcie Anna spytała:

– Z kim byłeś w Baden-Baden?

Co takiego? Noc w Baden-Baden, rozmowa telefoniczna następnego wieczora, małe kłamstewko, wyrzuty sumienia – myślał, że ma to już za sobą...

– Z kim?

– Skąd ci przyszło do głowy, że...

– Zadzwoiłam do twojego hotelu. Dzwoniłam do wielu hoteli, ale w Brenner's Park-Hotel spytali, czy mają państwa obudzić.

Po której stronie łóżka stał telefon? Panika ogarnęła go na myśl, że recepcja mogła połączyć ją z ich pokojem. Ale Anne nie poprosiła o połączenie. Co to w ogóle za

język? Czy obudzić państwa?

– Państwo – tak się u nich mówi, niezależnie od tego, czy mają na myśli jedną, czy więcej osób. To jeden z tych staromodnych zwrotów, które eleganckie hotele uważają za dystygowane. Dlaczego nie nalegałaś, by połączono cię z moim pokojem?

– Przeszła mi ochota.

Otoczył ją ramieniem.

– Ach, te nasze językowe nieporozumienia! Pamiętasz, jak napisałem, że chciałbym się do ciebie poprzytulać – *schmusen* – a ty zrozumiałaś, że chcę z tobą pogawędzić, czyli *schmooze*? Albo jak kiedyś powiedziałaś, że *in principle* poszłabyś na rodzinne spotkanie i ja to zinterpretowałem jako ostateczne potwierdzenie, a ty chciałaś tylko powiedzieć, że jeszcze się zastanowisz?

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że zatrzymałeś się w Brenner's Park-Hotel? Mieli komplet. To znaczy, że zrobiłeś rezerwację wcześniej. Do tej pory zawsze mi mówiłeś, gdzie nocujesz, jeśli wcześniej o tym wiedziałaś.

– Zapomniałem. Zarezerwowałem pokój z kilkutygodniowym wyprzedzeniem, w piątek wsiadłem do samochodu i dopiero w Baden-Baden zajrzałem do papierów z adresem hotelu, godziną rozpoczęcia sztuki i rezerwacją. Było późno, zdążyłem się tylko zameldować i przebrać, nie miałem już czasu na telefon. A po spektaklu i przyjęciu nie chciałem cię budzić.

– Pokój za czterysta dolarów to nie w twoim stylu.

– Brenner’s to wyjątkowy hotel, zawsze marzyłem o tym, by spędzić w nim noc. Ja...

– Zapomniałeś, że zarezerwowałeś pokój w hotelu swoich marzeń? Dlaczego kłamiesz?

– Nie kłamię. – Opowiedział jej o stresie, który towarzyszył mu przez ostatnie tygodnie. O tym, że zdarzało mu się zapominać o wielu rzeczach, również tych dla niego ważnych i tych, na które miał ochotę.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Marzysz o noclegu w Brenner’s, lecz przyjeżdżasz za późno i na drugi dzień ruszasz w drogę powrotną tak wcześnie, że nie masz nawet czasu nacieszyć się hotelem? Przecież to nonsens.

– Masz rację, to rzeczywiście nonsens. Ale w ostatnich tygodniach zdarzało mi się robić wiele rzeczy, które nie miały sensu. – Mówił dalej, o stresie i presji, umowach i terminach, spotkaniach i telefonach. Z narastającą swadą kreślił przed nią obraz ostatnich kilku tygodni, który – choć cokolwiek przesadzony – nie odbiegał przecież aż tak bardzo od rzeczywistości. Anne nie miała powodu ani prawa, by mu nie wierzyć. Im dłużej mówił, tym pewniej się czuł. Oburzające, że Anne mu nie ufa i wątpi w niego, choć nie ma żadnego powodu ani prawa. Czy to nie śmieszne, że dręczy go ze względu na jedną noc z kobietą, z którą nawet się nie przespał. Przecież z Therese nie łączy go żadna bliższa więź. A Anne go dręczy, w dodatku w tym cichym, letnim parku, na którym właśnie kładzie się blask pierwszych gwiazd.

5

W końcu zabrakło im sił do dalszej kłótni. Kłótnia, niczym silnik, stanęła gwałtownie w miejscu, szarpnęła, znów stanęła i zgasła. Poszli na kolację i zajęli się omawianiem wspólnych planów. Czy podczas nadchodzących tygodni, które chcieli spędzić razem, koniecznie muszą mieszkać we Frankfurcie? Może by tak wybrać się na Sycylię, do Prowansji albo Bretanii, wynająć dom lub mieszkanie i zająć się pisaniem, biurko w biurko?

Po powrocie zdjęli materac z wysłużonego, mocno wygiętego stelaża, położyli go na podłodze i kochali się. W środku nocy zbudził go płacz Anne. Wziął ją w ramiona.

– Anne – powiedział. – Anne.

– Muszę znać prawdę. W każdej sytuacji. Nie potrafię żyć w kłamstwie. Mój ojciec okłamywał matkę, zdradzał ją, a mnie i mojemu bratu składał obietnice, których potem nie dotrzymywał. Gdy pytałam dlaczego, wpadał w złość i krzyczał na mnie. Przez całe dzieciństwo brakowało mi pewności. Musisz mi mówić prawdę, żebym zawsze miała pewność. Rozumiesz? Obiecasz mi to?

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powiedzieć Anne całej prawdy na temat tamtej nocy w Brenner's Park-Hotel. Ale jaką urządziłaby mu wtedy scenę! I czy

prawda zrekompensowałyby wszystkie kłamstwa, którymi karmił ją przez godzinę, dłużej, przez dwie godziny? Niewczesne przyznanie się do tego, że spędził z Therese noc, niepotrzebnie nadałoby tamtemu epizodowi znaczenia. W przyszłości – tak, będzie mówił prawdę. W odniesieniu do przyszłości chciał i mógł to Anne obiecać.

– Już dobrze, Anne. Rozumiem. Nie płacz. Obiecuję, że będę mówił prawdę.

6

Trzy tygodnie później pojechali do Prowansji. W rynku w Cucuron znaleźli tani stary hotel, w którym wynajęli na cztery tygodnie duży pokój z obszerną loggią. Pokój znajdował się na najwyższym piętrze. W hotelu nie podawano śniadania ani kolacji, nie było internetu, a łóżka ścielono tylko sporadycznie. Ale dostali dodatkowy stół i krzesło i mogli pracować biurko w biurko, w pokoju lub w loggii, dokładnie tak, jak to sobie wyobrażali.

Z zapałem zabrali się do pisania. Lecz z każdym kolejnym dniem praca stawała się coraz mniej pilna, coraz mniej ważna. Bynajmniej nie dlatego, że było za gorąco – dzięki starym, grubym murom i posadzkom w pokoju i loggii panował chłód. Praca – w jej przypadku nad książką o różnicy płciowej i prawach ekwiwalencji, w jego przypadku nad sztuką teatralną na temat kryzysu finansowego – zwyczajnie straciła swój urok. Urok miało

za to przesiadywanie nad prostokątną, otoczoną murem sadzawką przed Bar de l'Etang, picie espresso i przyglądanie się tafli wody i koronom platanów, wypadu w góry, próbowanie nowych gatunków wina w okolicznych winnicach, składanie kwiatów na grobie Camusa na cmentarzu w Lourmarin lub włóczenie się po Aix i sprawdzanie poczty mejlowej w miejskiej bibliotece. Bez sprawdzania mejli spacer po mieście miałby jeszcze więcej uroku, lecz Anne czekała na odpowiedź w sprawie nowej pracy, a on na zlecenie napisania sztuki.

– Wszystko przez tutejsze światło – zawyrokował. – W tym świetle najlepiej pracuje się w polu, w winnicy albo w gaju oliwnym. Niewykluczone, że sprzyja też pisaniu, ale raczej o miłości, narodzinach i śmierci, nie o bankach i giełdach.

– Światło i zapachy. Jak intensywnie wszystko pachnie! Lawenda, pinie, ryby, ser i owoce, które sprzedają na bazarze. Czym są wobec tych zapachów myśli, które chcę zaszczerpić moim czytelnikom?

– To prawda – zaśmiał się. – Ale piękne zapachy nie mają nic wspólnego z ratowaniem świata. Twój czytelnicy mają ratować świat.

– Tak uważasz?

Siedzieli w loggii, każde przy swoim laptopie. Spojrzał na nią zdumiony. Czyż nie chciała zmieniać świata, czyż nie uczyła i nie pisała właśnie po to, by jej studenci i czytelnicy również poczuli wolę zmiany? To przecież dlatego była taka nieustępliwa i nie

podporządkowywała swojej kariery wymogom uczelni. Anne patrzyła na dachy miasteczka.

– Chcę mieć dziecko – powiedziała nagle. Miała łzy w oczach.

Wstał, podszedł do niej i przykucnął obok krzesła.

– To się da zrobić – uśmiechnął się.

– Ciekawe jak? Przecież nie mogę sobie pozwolić na dziecko przy moim trybie życia.

– Wprowadzisz się do mnie. W pierwszych latach zrezygnujesz z uczenia i skoncentrujesz się na pisaniu. A potem zobaczymy.

– Potem uniwersytety przestaną mnie zapraszać. Robią to, bo wiedzą, że jestem dyspozycyjna i można na mnie liczyć. Poza tym uczenie idzie mi lepiej niż pisanie. Pracuję nad książką już od lat.

– Zapraszają cię, bo jesteś wspaniałą nauczycielką. I żeby cię nie zapomnieli przez pierwsze lata, napiszesz – zamiast książki – parę artykułów. Tak będzie najlepiej. Za kilka lat świat będzie wyglądał inaczej, przybędzie nowych zawodów, powstaną nowe kierunki studiów, a dla ciebie – nowe perspektywy zawodowe. Teraz wszystko tak szybko się zmienia.

– I szybko popada w zapomnienie. – Wzruszyła ramionami.

Objął ją.

– I tak, i nie. Sama mi opowiadałaś, że pani dziekan w Williams poprosiła cię o prowadzenie zajęć, bo wywarłaś na niej ogromne wrażenie podczas seminarium,

w którym brałyście udział przed dwudziestu laty. Ciebie się tak łatwo nie zapomina.

Wieczorem znaleźli w Bonnieux restaurację z tarasem, z którego roztaczał się rozległy widok na okolicę. Wesoła grupka australijskich turystów wpadła na taras i hałasując, zajęła większość stolików, ale szybko uwinęła się z posiłkiem i gdy zapadła ciemność, mieli z Anne cały taras tylko dla siebie. Zamówił szampana. Spojrzała na niego zdumionym, pytającym wzrokiem.

– Za co wzniesiemy toast? – spytała, obracając w palcach nóżkę kieliszka.

– Za nasze wesele!

Uśmiechnęła się smutno i powiedziała:

– Zawsze wiedziałam, czego chcę. Wiem, że cię kocham. Wiem, że i ty mnie kochasz. Chcę mieć dzieci i chcę je mieć z tobą. Dzieci i małżeństwo często idą w parze. Ale dziś wspominamy o tym po raz pierwszy. Daj mi trochę czasu. – Rozpogodziła się. – Wypijemy za twoje oświadczyzny?

7

Minęło kilka dni. Któregoś popołudnia kochali się, a potem oboje usnęli. Gdy się obudził, Anne nie było. Zostawiła mu kartkę z wiadomością, że pojechała do biblioteki w Aix sprawdzić mejle.

To było o czwartej. O siódmej zdziwił się, że jeszcze

nie wróciła, o ósmej zaczął się martwić. Zabrali ze sobą komórki, ale już pierwszego dnia wyłączyli je i schowali w komodzie. Zajrzał do środka, nadal tam leżały. O dziewiątej nie mógł już sobie znaleźć miejsca w pokoju i wybrał się piechotą nad sadzawkę, przy której zwykle zostawiali samochód.

Samochód stał tam gdzie zawsze. Rozejrzał się i zobaczył Anne. Siedziała przy jednym ze stolików przed ciemnym, zamkniętym na głucho Bar de l'Etang i paliła papierosa. Rzuciła palenie przed wielu laty.

Podszedł do niej i stanął przy stoliku.

– Co się stało? Martwiłem się o ciebie.

Nie patrząc na niego, powiedziała:

– Byłeś w Baden-Baden z Therese.

– Skąd ci to...

Podniosła wzrok.

– Przeczytałam twoje mejle. Rezerwację dwuosobowego pokoju. Mejl do Therese z zaproszeniem. I ten, który wysłałeś jej potem: „Było bardzo miło, mam nadzieję, że miałaś przyjemną podróż”. – Rozpłakała się.
– „Było bardzo miło”.

– Czytałaś moją pocztę? Ciekawe, czy grzebiesz też w moim biurku i przeglądasz zawartość mojej szafy? Czy naprawdę wydaje ci się, że masz prawo...

– Jesteś kłamcą, oszustem, myślisz tylko o sobie! Tak, mam wszelkie prawo, by siebie chronić! Muszę się przed tobą chronić. Skoro nie mówisz mi prawdy, sama muszę do niej dotrzeć. – Nie przestawała płakać. –

Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego mi to zrobiłeś? Dlaczego z nią spałeś?

– Nie spałem z nią.

Podniosła głos.

– Przestań mnie wreszcie okłamywać, przestań wreszcie! Zapraszasz tę kobietę do romantycznego hotelu, dzielisz z nią pokój i łóżko – dlaczego robisz ze mnie idiotkę? Najpierw ci się zdawało, że jestem za głupia, by się domyślić, że kłamiesz, a teraz, że jestem na tyle głupia, by uwierzyć w twoje kłamstwo? Ty pozerze, ty kurwiarzu, ty kanalio...

– Anne trzęsa się z oburzenia.

Usiadł naprzeciw niej. Wiedział, że nie powinno go obchodzić, że zaraz otworzą się okna, ani to, że oboje wystawiają się na pośmiewisko. Ale nie było mu to obojętne. To, że na niego krzyczała, było już dostatecznie upokarzające. Przy świadkach czułby się upokorzony podwójnie.

– Wolno mi coś powiedzieć?

– Wolno mi coś powiedzieć? – przedrzeźniała go. – Mały chłopiec pyta mamusię, czy wolno mu coś powiedzieć? Chłopcu dzieje się krzywda. Mamusia nie pozwala mu się odzywać! Nie rób z siebie ofiary! Przejmij wreszcie odpowiedzialność za swoje czyny! Jesteś kłamcą i oszustem. Miej odwagę przyznać się przynajmniej do tego!

– Nie jestem...

Uderzyła go w twarz, jakby chciała zamknąć mu usta

dłonią, a zobaczywszy w jego wzroku odrazę, która ją przestraszyła, krzyczała dalej. Pochyliła się ku niemu i splunęła mu w twarz. Odsunął się i to ją jeszcze bardziej rozjuszyło.

– Ty ścierwo, ty kanalio, ty nic! Nie, nie wolno ci nic powiedzieć. Bo kłamiesz za każdym razem, gdy otwierasz usta. Przejadła mi się twoja gadanina, mam dość twoich kłamstw. Zrozumiałeś?

– Ja...

– Zrozumiałeś?

– Przepraszam.

– Za co? Że jesteś kłamcą i oszustem? Że sypiasz z innymi...

– Nie sypiam z innymi. Przykro mi dlatego, że...

– Wsadź sobie w dupę swoje kłamstwa! – Wstała i poszła.

Chciał za nią pobiec, lecz po chwili wahania został. Przypomniało mu się, jak kiedyś jechał ze swoją ówczesną dziewczyną krętą drogą przez Alzację. Podczas jazdy wyznała mu, że sypia też z innymi. Po tym wyznaniu dalej jechał prosto przed siebie, nie zważając, jak biegnie szosa, z szosy zjechał na leśną drogę, z leśnej drogi w zarośla – samochód zatrzymał się tuż przed drzewem. Nic się nie stało, po prostu zupełnie opuściły go siły. Oparł ręce na kierownicy, a głowę na rękach. Był smutny. Nie chciał jej atakować. Miał nadzieję, że wszystko mu wytłumaczy, tak by zrozumiał. Że wtedy będzie mu łatwiej się z tym pogodzić. Dlaczego Anne nie

dawała sobie niczego wytłumaczyć?

8

Wstał i podszedł do sadzawki. Zaczęło padać. Zobaczył pierwsze krople, które cicho uderzały w wodę, mącąc tafłę, i poczuł je na skórze dopiero po chwili, gdy był już cały mokry. Korony platanów szumiały, żwir chrzęścił, lało tak, jakby deszcz chciał zmyć wszystko, co nie zasługiwało na istnienie.

Pomyślał, że chciałby stać teraz w deszczu z Anne, obejmować ją i czuć jej nagie ciało pod przemoczonym ubraniem. Ciekawe, dokąd pobiegła? Czy była jeszcze na dworze, tak jak on? Czy deszcz sprawiał jej przyjemność, tak jak jemu, i czy rozumiała, że dla tej ulewy ich kłótnia nie miała żadnego znaczenia? A może zamówiła taksówkę i właśnie pakowała swoje rzeczy?

Nie, gdy wrócił do hotelu, jej rzeczy były jeszcze na miejscu. Zdjął mokre ubranie i położył się. Nie chciał zasnąć, chciał czekać, aż wróci, chciał z nią porozmawiać. Ale za oknem szumiał deszcz, a on był zmęczony po całym dniu i kłótni i zapadł w sen. Obudził się w środku nocy. Do pokoju wpadało światło księżyca. Anne leżała obok na wznak, z otwartymi oczami i rękami skrzyżowanymi pod głową. Podniósł się na łokciu i spojrzał na nią. Nie patrzyła na niego. Położył się tak jak ona, na wznak.

– Poczucie, że nie mogę kobietom odmówić, że muszę być wobec nich uważny i wyprzedzać ich życzenia, a nawet z nimi flirtować – myślę, że to ma coś wspólnego z moją matką. Zawsze się tak zachowywałem i nadal zachowuję, automatycznie, niezależnie od tego, czy kobieta mi się podoba i czy liczę na coś więcej. Takie zachowanie wzbudza oczekiwania, którym nie jestem w stanie sprostać. Przez jakiś czas mimo wszystko się staram, ale szybko mnie to nuży i wtedy się wycofuję, albo kobieta ma dosyć i sama rezygnuje. To głupia gra, powinienem nauczyć się żyć bez niej. Może byłoby dobrze porozmawiać o swoim stosunku do matki z terapeutą? Tak czy owak, gra nie kończy się na seksie, lecz już wcześniej, na pierwszych oznakach czułości. Otaczam kobietę ramieniem lub ściskam jej dłoń, ale to wszystko. Czy ta granica też ma coś wspólnego z moją matką? Nie chcę być kobiecie nic dłużny. Gdybym się z nią przespał, zostałbym jej dłużnikiem. W całym swoim życiu sypiałem tylko z kobietami, które kochałem, albo w których byłem chociaż trochę zakochany. Nie kocham Therese ani nie jestem w niej zakochany. Związek z nią mógłby być przyjemny, na swój sposób lekki, niewymagający, swobodny – niemal odwrotność naszego. Ale nigdy nie zadawałem sobie pytania o to, jak wyglądałoby moje życie z Therese i czy chcę cię zostawić i zacząć żyć z nią. To jedna rzecz, którą chciałem ci powiedzieć. Druga to...

– Co robiliście następnego dnia? – przerwała mu.

– Byliśmy w Kunsthalle w Baden-Baden, w winnicy i na zamku w Heidelbergu.

– Dlaczego stąd do niej dzwoniłeś?

– Skąd ci to... – zreflektował się, że zaczyna tak samo jak wtedy, gdy spytała go o podróż z Therese. Tak samo mu przerwała.

– Sprawdziłam w twoim telefonie. Dzwoniłeś do niej trzy dni temu.

– Miała biopsję w związku z podejrzeniem raka piersi. Chciałem spytać, jakie były wyniki.

– Jej piersi... – brzmiało to tak, jakby kręciła głową. – Czy ona wie, że jesteś tu teraz ze mną? Czy ona w ogóle wie, że jesteśmy razem? Od siedmiu lat? Co jeszcze o mnie wie?

Nie przemilczał wobec Therese faktu istnienia Anne, ale nie zdradził jej też żadnych bliższych szczegółów na temat ich wspólnego życia. Gdy się do niej wybierał, mówił Therese, że leci do Amsterdamu, Londynu, Toronto czy Wellington, żeby pisać. Wspominał wprawdzie o tym, że spotyka się tam z Anne, i nie sugerował, że u niej nie mieszka, ale też nigdy nie powiedział tego jasno. Nie rozmawiał z nią o tym, że związek z Anne bywa trudny, byłoby to dla niego równoznaczne ze zdradą. Ale nie wspominał też o tym, jaki jest z Anne szczęśliwy. Powiedział Therese, że jej nie kocha, chociaż bardzo ją lubi, nie dodał jednak, że kocha Anne. Zresztą wobec Anne też nie przemilczał faktu istnienia Therese. Nie powiedział jej jednak, jak często się

spotykają.

To nie było w porządku, wiedział o tym i czasami czuł się jak bigamista, który ma jedną rodzinę w Hamburgu, a drugą w Monachium. Bigamista? No, chyba jednak trochę przesadził. Nie stwarzał przecież fałszywego wizerunku samego siebie. Sporządzał raczej szkice zamiast obrazów, a szkice nie są fałszywe tylko dlatego, że nie pokazują całej prawdy. Na szczęście powiedział Therese, że Anne też będzie w Prowansji.

– Wie, że od lat jesteście parą i że jesteście tu we dwoje. Co poza tym? Znajomym i przyjaciółom mało o tobie opowiadam.

Anne milczała. Nie wiedział, czy to dobry, czy zły znak, lecz po chwili jego napięcie ustąpiło. Poczł zmęczenie. Walczył z nadciągającym snem, chciał usłyszeć, co powie Anne. Powieki mu się kleiły i najpierw pomyślał, że będzie jej słuchał z zamkniętymi oczami, lecz zaraz zorientował się, że zasypia, nie, że spał już od jakiegoś czasu i właśnie się obudził. Co go zbudziło? Czy Anne coś powiedziała? Podniósł się na łokciu. Leżała obok z otwartymi oczami, lecz nie patrzyła na niego. Światło księżyca nie wpadało już do pokoju.

Wreszcie się odezwała. Już świtało, a to znaczyło, że rzeczywiście zasnął.

– Nie wiem, czy potrafię tak po prostu puścić w niepamięć to, co się stało. Ale wiem, że nie mogę przejść do porządku dziennego nad tym, że mydlisz mi oczy i próbujesz wmówić, że nic między wami nie zaszło.

Wygląda jak kaczka, kwacze jak kaczka, a ty chcesz mi udowodnić, że to łabędź? Mam już dosyć twoich kłamstw, dosyć, dosyć, dosyć. Jeśli z tobą zostanę, to tylko pod warunkiem, że będziesz mówił prawdę. – Odrzuciła kołdrę i wstała. – Uważam, że najlepiej będzie, gdy zobaczymy się dopiero wieczorem. Przez ten czas chciałabym mieć pokój tylko dla siebie. Weź samochód i zostaw mnie samą.

9

Gdy znikła w łazience, ubrał się i wyszedł. Poranne powietrze było rześkie, piekarnia i cafe zamknięte, a ulice opustoszałe. Wsiadł do samochodu i ruszył przed siebie.

^{"Ud}

Skierował się w stronę pasma Luberon. Na rozwidleniach dróg i skrzyżowaniach wybierał zawsze drogę prowadzącą wyżej, ku góróm. Gdy znalazł się w najwyższym punkcie, zaparkował i zaczął iść po zboczu wzdłuż wyżłobionych przez koła, pozarastanych kolein.

Dlaczego nie powiedział jej po prostu, że przespał się z Therese? Dlaczego tak się przed tym bronił? Czyżby tylko dlatego, że to nie była prawda? Przecież zazwyczaj kłamstwo – jeśli pozwalało uniknąć konfliktu – nie sprawiało mu trudności? Dlaczego teraz stawało się takie trudne? Czy dlatego, że zazwyczaj służyło mu do upiększania rzeczywistości, a tym razem ukazałoby w gorszym świetle jego samego?

Przypomniało mu się, że w dzieciństwie za każdym razem, gdy coś przeszkrobał, matka tak długo nie dawała mu spokoju, dopóki nie przyznał się do wszystkich złych zamiarów, które popchnęły go do występku. Dopiero później dowiedział się o rytuale krytyki i samokrytyki w partii komunistycznej, polegającym na tym, że ci, którzy zboczyli z jedynie słusznej drogi, byli urabiani tak długo, aż przyznali się do swych burżujskich sympatii i publicznie okazali skruchę. Czy związał się z Anne dlatego, że przypominała mu matkę?

Nie, nie będzie składał fałszywych zeznań. Koniec z Anne. Czy i bez tego nie kłócili się stanowczo za często? Miał dosyć jej ciągłego krzyku. Miał dosyć tego, że grzebała w jego biurku i szafie, że sprawdzała jego laptopa i komórkę. Dosyć tego, że oczekiwała od niego, by był przy niej zawsze, gdy go potrzebowała. Czy nie przerastała go też jej uczuciowość? I chociaż uwielbiał się z nią kochać – czy to musiało być zawsze takie pełne emocji i doniosłe? Czy z inną kobietą nie byłoby bardziej lekko, swawolniej, bardziej cieleśnie? I te ciągłe podróże – trzy, cztery wiosenne tygodnie w college’u na zachodzie Stanów, jesień na uniwersytecie na australijskim wybrzeżu, kilka miesięcy w Amsterdamie – z początku miało to swój urok, lecz teraz właściwie było dla niego uciążliwe. No dobrze, bułki ze świeżymi śledziami, które kupowali na straganach w Amsterdamie, smakowały całkiem nieźle. Ale poza tym?

Podszedł do fundamentów pozostałych po jakiejś

stajni czy szopie i usiadł. Jak wysoko! W dole roztaczało się porośnięte drzewami oliwnymi zbocze, które w dolnych partiach przechodziło w płaską dolinę. Dalej leżały niższe pasma, a za nimi równina upstrzona małymi miasteczkami. Jednym z nich było pewnie Cucuron. Ciekawe, czy przy dobrej widoczności widać stąd morze? Słyszał cykady i beczenie owiec, lecz choć wyteżał wzrok, nie udało mu się zobaczyć ani jednej. Słońce wznosiło się, czuł na skórze jego ciepło. Pachniał rozmaryn.

Anne. Niezależnie od tego, co było z nią nie tak – gdy kochali się popołudniami, najpierw w jasnym świetle dnia, a potem jeszcze raz przed zapadnięciem zmierzchu, nie mogli się na siebie napatrzeć i siebie nadotykać. I tak dobrze, tak lekko im się rozmawiało, gdy leżeli potem wyczerpani i zaspokojeni. Uwielbiał przyglądać się, gdy pływa w jeziorze lub w morzu, masywna, silna i gładka jak wydra. Uwielbiał patrzeć, jak bawi się z dziećmi albo psami. Zapominała wtedy o bożym świecie, bez reszty oddana chwili. Tak się cieszył, gdy śledziła tok jego myśli i z właściwą sobie celnością odnajdowała punkt, w którym jego dywagacje poszły fałszywym tropem. Rozpierała go duma, gdy spotykali się z przyjaciółmi, a ona czarowała wszystkich dowcipem i intelektem. Tak bezpiecznie czuł się w jej objęciach.

Czytał kiedyś raport o niemieckich, japońskich i włoskich żołnierzach więzionych w sowieckich obozach jenieckich. Rosjanie próbowali indoktrynować jeńców i

wpoić im rytuał krytyki i samokrytyki. Niemcy, przyzwyczajeni do rządów silnej ręki, lecz pozbawieni Führera, przejęli to bez szemrania, Japończycy zaś raczej daliby się zabić, niż posunęli do kolaboracji z wrogiem. Włosi co prawda uczestniczyli w rytuale, lecz nie traktowali go poważnie – wiwatowali i klaskali, jakby oglądali operę. Czy i on powinien wziąć udział w zainicjowanym przez Anne rytuale krytyki i samokrytyki, lecz nie traktować go poważnie? Czy z lekkim sercem miał się przyznać do wszystkiego, do czego tylko chciała?

Ale samo przyznanie się nie wystarczy. Będzie chciała wiedzieć, jak do tego doszło. Nie spocznie, póki nie dowie się, gdzie tkwi jego problem, póki on sam nie przyzna, że rzeczywiście ma problem. Ta wiedza będzie jej służyła jako wyjaśnienie, a zarazem materiał do coraz to nowych oskarżeń.

10

Dopiero teraz zorientował się, jak bardzo oddalił się od wozu i że siedzi na murku już dobrą chwilę. W drodze powrotnej na każdym zakręcie wydawało mu się, że zaraz pojawią się szosa i samochód, lecz kręta ścieżka jeszcze długo nie chciała się skończyć. Gdy wreszcie dotarł do samochodu i spojrzął na zegarek, była dwunasta. Poczuł głód.

Pojechał dalej, w głąb gór. We wsi, przez którą

przejeżdżał, natknął się na restaurację ze stolikami na zewnątrz i widokiem na kościół i ratusz. Zamówił jedną kanapkę z szynką i jedną z serem, do tego wino, wodę i kawę z mlekiem. Kelnerka była młoda i ładna i nigdzie jej się nie spieszyło. Ze spokojem i wyraźną przyjemnością pozwalała mu się podziwiać i opowiadała, po jaką szynkę może pójść dla niego do rzeźni na rogu i jakie ma w kuchni sery. Najpierw przyniosła wino i wodę i zanim postawiła przed nim kanapki, już się lekko wstawił.

Był jej jedynym gościem. Gdy opróżnił karafkę z winem, spytał, czy w piwnicy nie znalazłaby się butelka szampana. Roześmiała się, spojrzała na niego swawolnie, konspiratorsko, a gdy się pochyliła, by sprzątnąć ze stolika, ukradkiem zajrzał jej w dekolt. Obejrzał się za nią i zawołał: – I dwa kieliszki!

Dużo się śmiała. Z tego, że wstał, by odsunąć dla niej krzesło. Z tego, że z hukiem otworzył szampana. Z tego, że stuknął się z nią kieliszkiem. Że tak ostrożnie spytał, jak żyje się takiej atrakcyjnej dziewczynie w tej zabitej dechami górskiej wiosce. Okazało się, że latem pomaga dziadkom w restauracji, poza tym studiuje fotografię w Marsylii, dużo podróżuje, mieszkała już w Ameryce i Japonii i ma za sobą pierwsze publikacje. Nazywała się Renee.

- Od trzeciej do piątej mamy przerwę.
- Urządzasz sobie popołudniową drzemkę?
- To byłby pierwszy raz.
- Cóż przyjemniejszego po południu niż...

– Już ja wiem, co – powiedziała ze śmiechem.

I on się roześmiał.

– Masz rację.

Spojrzała na zegarek.

– Dzisiaj zaczynamy przerwę wcześniej, o wpół do trzeciej.

– Wyśmienicie.

Wstali i wzięli ze stołu szampana. Poszedł za nią przez restaurację do kuchni. Był odurzony alkoholem i perspektywą miłości i gdy Renee weszła przed nim na ciemne schody, najchętniej już na nich zdarłby z niej ubranie. Ale w rękach trzymał butelkę i dwa kieliszki. Jednocześnie myślał o Anne i ich kłótni. Czyż nie istniała zasada, że nie wolno karać człowieka za przestępstwo, którego nie popełnił, nawet jeśli potem naprawdę się go dopuści? Sądzenie kogoś dwa razy za to samo przestępstwo? Anne ukarała go za coś, czego nie zrobił, więc może to zrobić teraz.

W łóżku Renee też dużo się śmiała. Śmiejąc się, wyjęła zakrwawiony tampon i położyła go na posadzce obok łóżka. Kochała się z rzeczowością i znajomością rzeczy, jakby uprawiała sport. Dopiero gdy oboje byli już wyczerpani, zrobiła się bardziej czuła, chciała całować i chciała być całowana. Za drugim razem przytrzymała go mocniej niż za pierwszym, ale już po wszystkim spojrzała na zegarek i kazała mu iść. Było wpół do piątej. Jej dziadkowie mieli lada chwila przyjechać. Powiedziała, że nie musi do niej wracać – za trzy dni jej pobyt w tej, jak

się wyraził, zabitej dechami górskiej wiosce i tak dobiegnie końca.

Odprowadziła go na schody. Gdy zszedł na parter, raz jeszcze spojrzął w górę. Stała oparta o poręcz, w ciemności nie mógł zobaczyć wyrazu jej twarzy.

- Było bardzo miło.
- Tak.
- Lubię twój uśmiech.
- Już cię tu nie ma.

11

Ucieszyłyby się z nadejścia burzy, lecz niebo było błękitne, a powietrze w wąskiej uliczce duszne od upału. Gdy usiadł za kierownicą, zobaczył, że przed restaurację zajeżdża mercedes i wysiada z niego para staruszków. W drzwiach pojawiła się Renee, przywitała się z nimi i pomogła wnosić do środka torby z zakupami.

Jechał powoli, żeby popatrzeć na nią jeszcze przez chwilę we wstecznym lusterku. Nagle ogarnęła go gwałtowna tęsknota za zupełnie innym życiem. Zimą spędzałby w mieście, a lato w górskiej wiosce. Zatęsknił za stałym, przewidywalnym rytmem, za pokonywaniem zawsze tych samych tras, spaniem zawsze w tym samym łóżku, spotkaniami z zawsze tymi samymi ludźmi.

Chciał wrócić do miejsca, w którym zatrzymał się nad ranem, ale nie znalazł go. Zaparkował więc gdzie

indziej, wysiadł, ale nie chciało mu się spacerować, usiadł na nasypie drogowym, zerwał źdźbło trawy, włożył je do ust i oparł ręce na kolanach. Jego wzrok znów powędrował wzdłuż łagodnych zboczy aż po równinę. Obiektem jego tęsknoty nie była ani Renee, ani Anne. Nie chodziło mu o tę czy inną kobietę, lecz o stałość i pewność życia.

Wyobrażał sobie, jak się z nimi rozstaje. Z Renee, która i tak go nie chciała. Z Therese, której podobało się w nim tylko to, co proste. Z Anne, która chciała, by o nią zabiegać, lecz sama nie chciała zabiegać o niego. Ale wówczas zostałby zupełnie sam.

Wieczorem powie Anne to, co i tak chciałyby usłyszeć. Dlaczego nie? Tak, w przyszłości będzie to wykorzystywać przeciwko niemu przy każdej nadarzającej się okazji. I co z tego? Przecież mu to nie zaszkodzi. Nic mu już nie zaszkodzi. Czuł się odporny na zranienia, nietykalny. Roześmiał się – to pewnie przez szampana.

Było jeszcze za wcześnie, by ruszać w drogę powrotną do Cucuron. Siedział więc i patrzył na równinę. Z rzadka przejechał jakiś samochód, czasem dało się słyszeć odgłos klaksonu. Niekiedy w dole połyskiwało światło słońca, odbijające się w oknach jakiegoś domu czy samochodowej szybie.

Wyobrażał sobie, jak spędzałby lato w górskiej wsi. W maju przenosiłby się w góry z Renee, Chantal czy Marie, wszystko jedno, i otwierał restaurację. Byłaby

czynna tylko wieczorami, prowadziliby prostą wiejską kuchnię, w karcie mieliby tylko dwa lub trzy dania, lokalne wina. Odwiedzaliby ich turyści, paru zagranicznych artystów, którzy kupili i wyremontowali w okolicy stare domy, garstka miejscowych. Wczesnym rankiem jechałby na bazar i robił zakupy, wczesnym popołudniem uprawialiby miłość, a późnym popołudniem – gotowali. W poniedziałki i wtorki restauracja byłaby zamknięta. W październiku zwijaliby interes, zaciągali rolety, zamykali drzwi i wracali do miasta. W mieście – jakoś nie mógł wymyślić, co mogliby robić w mieście. Galeria, księgarnia? Artykuły papiernicze? Wyroby tytoniowe? Ale który sklep jest otwarty tylko zimą? Czy naprawdę chciałby mieć własny interes? Prowadzić restaurację? To były mrzonki. Tak naprawdę liczyła się tylko miłość wczesnym popołudniem, wszystko jedno gdzie, w nadmorskim miasteczku, nad rzeką, w górskiej wiosce czy na równinie.

Patrzył na równinę i żuł źdźbło trawy.

12

O siódmej przyjechał do Cucuron, zaparkował samochód i nie zastawszy Anne przed Bar de l'Etang, poszedł do hotelu. Siedziała w loggii. Na stole stała butelka czerwonego wina i dwa kieliszki, pełny i pusty. Jakim wzrokiem na niego spojrzała? Nie chciał tego

wiedzieć. Patrzył w podłogę.

– Nie będę dużo mówił. Przespałem się z Therese, jest mi przykro i mam nadzieję, że mi wybaczysz i że zostawimy to za sobą, nie dzisiaj, wiem, jutro też nie, ale już wkrótce, i że zakopiemy wojenny topór. Kocham cię, Anne, i...

– Może usiądziesz?

Usiadł. Mówił dalej, nie odrywając wzroku od podłogi.

– Kocham cię i nie chcę cię stracić. Ufam, że jeszcze cię nie straciłem przez coś, co tak niewiele dla mnie znaczy. Wiem, że ty widzisz to inaczej, i ze względu na to, a także dlatego, że miałem obowiązek to wiedzieć, powinno to mieć duże znaczenie również i dla mnie. Nie powinienem był tego robić. Wiem, że...

– Poczekaj chwilę. Może chcesz...

– Nie, Anne, proszę, daj mi dokończyć. Wiem, że mężczyźni zawsze powtarzają, zresztą kobiety czasem też, że skok w bok nic nie znaczy, że takie rzeczy się zdarzają, że wszystkiemu jest winna okazja, samotność lub alkohol, że nic po takiej przygodzie nie zostaje, ani miłość, ani tęsknota, ani pożądanie. Powtarzają to tak często, że zrobił się z tego frazes. Ale frazesy są frazesami dlatego, że mówią prawdę, albo przynajmniej czasami. Można...

– Czy możesz na mnie...

– Zaraz będziesz mogła powiedzieć wszystko, co ci leży na sercu. Chcę cię tylko zapewnić, że zrozumiem, jeśli nie zechcesz być w związku z kimś, dla kogo skok w

bok nic nie znaczy. Ale ta część mnie, dla której skok w bok nic nie znaczy, jest bardzo mała. Większa część mnie to ta, dla której znaczysz więcej niż cały świat, to ta, która cię kocha, to ta, z którą byłaś przez wszystkie te lata. Przed Baden-Baden nigdy...

– Spójrz na mnie!

Podniósł wzrok i spojrzał na nią.

– Już dobrze. Rozmawiałam z Therese, potwierdziła, że nic między wami nie zaszło. Może chcesz wiedzieć, dlaczego nie uwierzyłam tobie, za to wierzę jej. Bo w głosie kobiety łatwiej niż w głosie mężczyzny wyczuć, czy mówi prawdę. Powiedziała, że byłeś nieuczciwy zarówno wobec niej, jak i wobec mnie. Gdyby wiedziała, jak długi i bliski jest nasz związek, nie widywałaby się z tobą tak często. Ale to inna historia. W każdym razie nie spaliście ze sobą.

– O! – Nie wiedział, co powiedzieć. W twarzy Anne widział ból, ulgę, miłość. Powinien wstać, podejść do niej i ją przytulić. Lecz nie wstawał, powiedział tylko: – Chodź! – Wstała, usiadła mu na kolanach i oparta głowę na jego ramieniu. Objął ją i spojrzał na wieżę kościelną górującą nad dachami miasteczka. Czy ma jej opowiedzieć o popołudniu z Renee?

– Dlaczego kręcisz głową?

Bo właśnie postanowiłem nie opowiadać ci o innym skoku w bok, który przydarzył mi się dziś po południu...

– Właśnie myślałem o tym, że niewiele brakowało, byśmy...

– Wiem.

13

Nie rozmawiali więcej o Baden-Baden, Therese, nie rozmawiali o prawdzie i kłamstwie. Nie zachowywali się też tak, jakby nic się nie stało. Gdyby naprawdę nic się nie stało, kłóciłiby się nadal z dawną bez troską. Teraz uważali, by nie wchodzić sobie w drogę. Poruszali się ostrożnie. Pracowali więcej niż na początku, Anne skończyła artykuł o różnicy płci i prawach ekwiwalencji, on – sztukę o dwóch bankierach, którzy w weekend utknęli razem w windzie.

Zachowywali do siebie dystans również wtedy, gdy uprawiali miłość.

Ostatniego wieczora raz jeszcze wybrali się do restauracji w Bonnieux. Z tarasu przyglądali się zachodowi słońca i nadejściu nocy. Ciemny granat nieba zamienił się w głęboką czerń, gwiazdy mrugały, a cykady głośno grały. Czerń nieba, mruganie gwiazd, cykady – to była uroczysta noc. Ale zbliżające się pożegnanie wprowadziło ich w melancholijny nastrój. Poza tym na widok gwiazdzistego nieba musiał myśleć o prawie moralnym i godzinach spędzonych z Renee.

– Masz mi za złe, że nie opowiedziałem Therese więcej o tobie, a tobie więcej o niej?

Pokręciła głową.

– Było mi przykro. Ale nie mam do ciebie żalu. A ty? Masz do mnie żal, że cię podejrzewałam i szantażowałam? Przecież do tego właśnie się uciekłam: szantażu, na który pozwoliłeś, bo mnie kochasz.

– Nie, nie mam do ciebie żalu. Przeraza mnie tempo, w jakim wszystko eskalowało. Ale to co innego.

Położyła dłoń na jego dłoni. Patrząc przed siebie, powiedziała:

– Dlaczego jesteśmy tacy... Nie wiem, jak to określić. Wiesz, o czym mówię? Jesteśmy inni.

– To dobrze czy źle?

– Tego też nie wiem. Coś straciliśmy i coś zyskaliśmy, prawda?

– Oderwała dłoń od jego dłoni, opadła na oparcie krzesła i popatrzyła na niego badawczo.

– Straciliśmy niewinność? Zyskaliśmy rozsądek?

– A jeżeli rozsądek jest dobry, lecz oznacza śmierć miłości, niemożliwej bez naiwnej wiary w drugą osobę?

– Czy prawda, która, jak wciąż powtarzasz, jest ci potrzebna jako grunt pod nogami, nie jest zawsze rozsądna?

– Nie, prawda, którą mam na myśli i której potrzebuję, nie jest rozsądna. Jest pełna pasji, czasami piękna, czasami szkaradna, może zarówno uszczęśliwiać, jak i przyprawiać o cierpienie, ale zawsze wyzwala. Tak jest, nawet jeśli w pierwszej chwili trudno to zrozumieć. – Skinęła głową. – Tak, to prawda, przez którą możesz cierpieć. Wtedy złorzeczysz jej i myślisz, że byłoby lepiej,

gdybyś jej nigdy nie odkrył. Lecz wkrótce pojmiesz, że to nie sama prawda przyprawia cię o cierpienie, lecz to, do czego się odnosi.

– Nie rozumiem. – Prawda i to, do czego się odnosi. O czym Anne mówiła? Przez cały czas zastanawiał się, czy ma jej opowiedzieć o Renee, teraz, bo potem może być na to za późno. Ale dlaczego miałoby być za późno? I jeśli równie dobrze można było powiedzieć o tym kiedy indziej, to może lepiej w ogóle nie mówić?

– Nieważne.

– Ale chciałbym zrozumieć, co...

– To nieważne. Lepiej mi powiedz, co dalej.

– Chciałaś mieć trochę czasu na zastanowienie, czy chcesz za mnie wyjść.

– Tak, myślę, że powinnam jeszcze z tym poczekać. Czy i tobie nie trzeba czasu?

– Przerwy?

– Przerwy.

14

Powiedziała, że nie chce o tym dyskutować. Nie, nic nie zrobił. Niczego, co mogłaby konkretnie wskazać. Niczego, o czym chciałaby porozmawiać na terapii par.

Kelner przyniósł jedzenie. Jadła z apetytem. Czuł się niewyraźnie i tylko dziobał widelcem w swojej doradzie. Gdy leżeli w łóżku, nie odtrąciła go, ale też nie sprawiała

wrażenia, że go pożąda. Poczuł, że Anne nie potrzebuje już czasu, że już podjęła decyzję, że już ją stracił.

Nazajutrz rano spytała go, czy nie sprawiłoby mu kłopotu odwiezienie jej do Marsylii na lotnisko. Owszem, sprawiało mu to kłopot, lecz odwiózł ją i spróbował pożegnać się z nią tak, by widziała jego ból, ale także gotowość do zaakceptowania jej decyzji, by zachowała o nim dobrą pamięć i zapragnęła znów go zobaczyć i odzyskać.

Potem jechał przez miasto, z nadzieją, że na chodniku nagle zobaczy Renee, wiedział jednak, że i tak nie zatrzymałby się na jej widok. Na autostradzie myślał o tym, jak też będzie wyglądało jego życie we Frankfurcie bez Therese. Nad czym będzie pracował. Zlecenie napisania nowej sztuki, na które liczył, nie przyszło. Mógłby zabrać się do pracy nad prezentacją dla producenta. Ale to akurat mógł robić wszędzie. Właściwie nic nie ciągnęło go do Frankfurtu.

Jak Anne to powiedziała? Jeśli spotkasz prawdę, która przyprawia cię o cierpienie, to nie ona sama jest przyczyną twojej męki, lecz to, do czego się odnosi. I zawsze cię wyzwala. Roześmiał się. Prawda i to, do czego się odnosi – nadal tego nie rozumiał. Czy prawda wyzwala? Może jest odwrotnie, może, by ją znieść, trzeba najpierw być wolnym. Ale nic więcej nie przemawiało za tym, by dać prawdzie szansę. Trochę później zjedzie z autostrady i wynajmie pokój w hotelu, gdzieś w Sewennach, Burgundii, Wogezach, i o wszystkim jej

napisze.

Dom w lesie

I

Czasami miał wrażenie, jakby od zawsze żył właśnie tym życiem. Jakby od zawsze mieszkał w tym domu na skraju lasu, przy łące z drzewami jabłoni i krzewami bzu, nad sadzawką z wierzbą płaczącą. Jakby od zawsze były z nim żona i córka. Jakby od zawsze żegnały go, gdy odjeżdżał, i witały, gdy wracał.

Raz w tygodniu wychodziły przed dom i machały mu, póki nie straciły z oczu samochodu. Jeździł do miasteczka odebrać pocztę, zawieźć to i owo do naprawy, odebrać to, co już zreperowano, i to, co wcześniej zamówił, jeździł na rehabilitację, bo bolały go plecy, i na zakupy w *general store*. [niewielki sklep spożywczo-wielobranżowy na wsi lub w małym mieście.] Nim ruszył w drogę powrotną, pił jeszcze przez chwilę kawę przy ladzie, rozmawiał z którymś z sąsiadów i czytał „New York Timesa”. Nigdy nie było go poza domem dłużej niż przez pięć godzin. Tęsknił za bliskością żony. Tęsknił za bliskością córki, której nie zabierał ze sobą, bo w samochodzie robiło jej się niedobrze.

Słyszały go już z daleka. Nikt prócz niego nie wjeżdżał na wąską żwirowaną drogę, która prowadziła przez długą, porośniętą lasem dolinę do ich domu. Żona i córka stały na schodach, trzymając się za ręce, i czekały, aż wjedzie na łąkę. Wtedy Rita odrywała się od Kate,

wybiegała mu na powitanie – miał akurat tyle czasu, by przekręcić kluczyk w stacyjce i wysiąść – i rzucała mu się w ramiona. – Tatusiu, tatusiu! – Trzymał ją mocno, obezwładniony czułością, z jaką obejmowała go za szyję i przytulała buzię do jego policzka.

W tych dniach Kate należała do niego i do Rity. Wspólnie wypakowywali przywiezione z miasteczka sprawunki, krzatali się po domu i ogrodzie, zbierali w lesie drewno, łowili ryby w sadzawce, marynowali ogórki i cebulę, smażyli dżem albo chutney, piekli chleb. Rita, szczęśliwa, że są razem, i pełna radości życia, biegła bez przerwy między nim a Kate i buzia jej się nie zamykała. Po kolacji grali w trójkę w jakąś grę albo opowiadali córeczce historię, którą wymyślili przy gotowaniu.

W pozostałe dni Kate wstawiała wcześnie i szła do swojego gabinetu. Gdy przynosił jej na śniadanie kawę i owoce, podnosiła wzrok znad komputera i uśmiechała się do niego przyjaźnie, a gdy chciał z nią omówić jakiś problem, starała się go zrozumieć. Ale myślami była gdzie indziej, także później, gdy siedzieli całą rodziną przy obiedzie lub kolacji. Nawet gdy po bajce dla Rity i całusie na dobranoc Kate wracała do niego do pokoju i razem słuchali muzyki, oglądali film czy czytali książki, myślami była przy postaciach, o których właśnie pisała.

Nie skarżył się. Czuł w domu jej obecność; gdy pracował w ogrodzie, widział w oknie jej głowę, a gdy przystawał pod jej drzwiami, słyszał, jak stuka w klawiaturę; patrzył na nią podczas posiłków, miał ją obok

siebie wieczorami, w nocy czuł jej ciało i zapach, słyszał jej oddech. To go uszczęśliwiało. Powiedziała mu, że nie wyobraża sobie życia bez pisania, a on to zaakceptował.

Zaakceptował i to, że dzień w dzień sam musiał zajmować się Ritą. Budził ją, mył, ubierał, jadł z nią śniadanie. Asystowała mu w gotowaniu, praniu i sprzątaniu, przy pracach w ogrodzie, naprawie dachu, ogrzewania czy samochodu. Odpowiadał na jej pytania. Nauczył ją czytać, o wiele za wcześnie. Dokazywał z nią, chociaż bolały go plecy, bo uważał, że dziewczynka w jej wieku musi trochę podokazywać.

Pogodził się z tym, co ma. Ale w duchu życzył sobie, by spędzali ze sobą więcej czasu. Wolałby, żeby dni z Kate i Ritą było więcej, by byli razem nie tylko raz w tygodniu, lecz każdego dnia.

Czy szczęście naprawdę zawsze pragnie wieczności? Jak wszystko, co piękne?

Nie, szczęście pragnie stałości, myślał. Chce wybiegać w przyszłość, a zarazem być szczęściem, które już minęło. Czyż zakochani nie fantazjują o tym, że spotkali się jako dzieci i już wtedy się sobie podobali? Że bawili się na tym samym placu zabaw, chodzili do tej samej szkoły albo jeździli z rodzicami na wakacje w te same miejsca? Jemu nie towarzyszyły fantazje o wcześniejszych spotkaniach. Marzył o tym, by Kate, Rita i on zapuścili korzenie, które pozwolą im oprzeć się każdemu wiatrowi, każdej burzy. Teraz i zawsze.

2

Przeprowadzili się przed sześcioma miesiącami. Wiosną zeszłego roku zaczął rozglądać się za domem na wsi. Szukał przez całe lato. Kate była tak zajęta, że nie miała nawet czasu obejrzeć zdjęć w internecie. Mówiła, że chce mieć dom w pobliżu Nowego Jorku. Ale czy nie chciała mieszkać z dala od wyzwań, które stawiał przed nią Nowy Jork? To one nie pozwalały jej zająć się pisaniem i rodziną? Najchętniej by z nich zrezygnowała, lecz nie mogła tego zrobić, bo sławna pisarka mieszkająca w Nowym Jorku musi być uchwytna i zawsze do dyspozycji?

Jesienią znalazł dom oddalony od Nowego Jorku o pięć godzin jazdy, na granicy z Vermontem, z dala od większych miast, z dala od głównych dróg, w lesie, z własną łąką i sadzawką, jak z bajki. Kilka razy pojechał sam, by dobić targu z deweloperem i właścicielem. Potem zabrał tam Kate.

Miała za sobą męczący okres, zasnęła, gdy jechali autostradą, i obudziła się, dopiero gdy zjeżdżali na szosę. Przez otwarty szyberdach zobaczyła błękitne niebo i kolorowe liście drzew. Uśmiechnęła się do męża. – Jestem pijana snem, kolorami, wolnością. Nie wiem, gdzie i skąd jestem ani dokąd jedziemy. – Przez ostatnią godzinę jechali przez mieniący się barwami jesienny krajobraz *indian summer*, najpierw szosą, potem lokalną drogą bez

żółtego pasa pośrodku, a na końcu wyboistą żwirówką, która prowadziła pod sam dom. Gdy Kate wysiadła z samochodu i rozejrzała się, od razu wiedziała, że dom jej się podoba. Jej wzrok powędrował ku lasowi, łące, sadzawce i wreszcie spoczął na domu; zatrzymał się na dłużej przy każdym detalu: drzwiach pod daszkiem wspartym na dwóch cienkich kolumnach, oknach, z których ani jedna para nie leżała w prostej linii, krzywym kominie, otwartej werandzie, przybudówce. Dom liczył ponad dwieście lat i choć upływający czas odcisnął na nim swoje piętno, zestarzał się z godnością.

Kate dała mu kuksańca i ruchem głowy wskazała narożne okna na pierwszym piętrze, dwa zwrócone ku sadzawce, a jedno ku łące.

– Czy to...

– Tak, to twój pokój.

Piwnica była sucha, a podłogi w dobrym stanie. Nim spadł pierwszy śnieg, zadbał, by położono nowe dachówki i zamontowano ogrzewanie, aby glazurnicy, elektrycy, stolarze i malarze mogli pracować przez całą zimę. Przeprowadzili się na wiosnę. Trzeba było jeszcze wycyklinować podłogi, obmurować kominek, zawiesić szafki w kuchni. Lecz już pierwszego dnia po przeprowadzce zaprowadził Kate do jej gotowego gabinetu. Poprzedniego wieczora, gdy wszystko zostało wypakowane i ciężarówka odjechała, wycyklinował podłogę, a rano wstawił regały i biurko. Usiadła przy biurku, pogłaskała blat, wysunęła szufladę i wsunęła ją z

powrotem, spojrzała przez lewe okno na sadzawkę, a przez prawe – na łąkę.

– Dobrze ustawiłeś biurko. Miałabym problem, co wybrać: wodę czy łąd. Teraz patrząc przed siebie, będę widzieć róg pokoju. W starych domach duchy nie wchodzi przez drzwi, lecz wyłazają z kątów.

Do gabinetu Kate przylegała ich sypialnia i pokój Rity. Na tyłach domu znajdowały się łazienka i mały pokoik, w którym stały tylko stół i krzesło. Przez drzwi wejściowe na parterze wchodziło się do dużego salonu, z otwartym kominkiem i słupami pośrodku, połączonego z kuchnią i jadalnią.

– Może zamienisz się z Ritą? Ona używa swojego pokoju tylko do spania, a ta klitka jest dla ciebie o wiele za mała do pracy.

Powiedział sobie, że Kate chce dla niego dobrze. Może ma wyrzuty sumienia, bo odkąd się poznali, jej kariera nabierała coraz większego tempa, a jego coraz bardziej zwalniała. Pierwsza powieść, którą napisał i która w Niemczech stała się bestsellerem, znalazła wydawcę w Nowym Jorku i producenta w Hollywood. Poznał Kate podczas swojej podróży autorskiej promującej pierwszą książkę; młody niemiecki pisarz, jeszcze nieznany w Ameryce, lecz bardzo obiecujący i już z planami kolejnej powieści. Lecz w trakcie czekania na film, który nigdy nie powstał, towarzyszenia Kate w podróżach po całym świecie, a także ze względu na Ritę, udało mu się sporządzić zaledwie kilka szkiców do nowej książki.

Pytany o zawód, nadal odpowiadał: pisarz. Ale nie miał żadnego projektu, nawet jeśli nie przyznawał się do tego przed Kate, a czasami nawet przed samym sobą, udawał, że jest inaczej. Po co mu większy pokój? Żeby poczuć jeszcze dotkliwiej, że drepcze w miejscu?

Kolejną powieść odsuwał na potem. Zakładając, że „potem” byłby nią jeszcze zainteresowany. Ostatnio coraz bardziej zajmowało go to, czy powinni posłać Ritę do przedszkola. Ale wtedy nie będzie już należała tylko do niego.

3

Oczywiście oboje kochali Ritę. Kate była w stanie wyobrazić sobie życie bez dzieci, on nie. Gdy zaszła w ciążę, zachowywała się tak, jakby nic się nie wydarzyło. To on naciskał, by chodziła do lekarza i na gimnastykę przedporodową. To on przyczepiał do korkowej tablicy zdjęcia USG, głaskał wielki brzuch, rozmawiał z nim, czytał mu wiersze i puszczał muzykę. Kate przyjmowała te gesty z pobłażliwym rozbawieniem.

Miłość Kate była rzeczowa. Jej rodzice – ojciec, profesor historii na Harvardzie, i matka pianistka, często na tournée – wychowali czwórkę swoich dzieci tak, jakby prowadzili przedsiębiorstwo. Zatrudniali dobrą nianię, dzieci chodziły do dobrych szkół, miały dobrych nauczycieli języków i muzyki, a rodzice wspierali je we

wszystkim, co tylko sobie wymyśliły. Wkroczyły w życie pewne, że osiągną to, co chcą osiągnąć, że ich mężowie i żony będą funkcjonować bez zakłóceń na gruncie zawodowym, w domu i w łóżku, a ich dzieci staną się częścią rodzinnego planu z tą samą oczywistością, z jaką swojego czasu stały się one same. Miłość była smarem, który oliwił tę rodzinną maszynę.

Dla niego miłość i rodzina oznaczały spełnienie marzenia, które pojawiło się z chwilą, gdy w małżeństwie jego rodziców, on – pracownik administracyjny, ona – kierowca autobusu, zaczęło się dziać coraz gorzej. Z domu rodzinnego zapamiętał jad, krzyk i przemoc. Czasami rodzice bili także jego. Akceptował to jako zrozumiałą reakcję na swoje wybryki. Gdy matka i ojciec bili się i krzyczeli, jemu i jego siostrze grunt usuwał się spod nóg. W jego marzeniach miłość i rodzina były niczym gruby lód, po którym można pewnie stąpać, a nawet na nim tańczyć. W jego marzeniach dwoje kochających się ludzi trzymało się siebie tak mocno, jak on z siostrami zawsze wtedy, gdy nadchodził kataklizm.

Kate była obietnicą grubego lodu. Podczas kolacji na targach książki w Monterey posadzono ich obok siebie: ją – młodą amerykańską pisarkę, której debiutancka powieść została właśnie sprzedana do Niemiec, i jego – młodego niemieckiego pisarza, który właśnie przybył do Ameryki ze swoją pierwszą książką. *If I can make it there, I'll make it anywhere* – od chwili, gdy zobaczył egzemplarze swojej książki w księgarniach Nowego Jorku, czuł się wspaniale.

Z entuzjazmem opowiadał swojej rozmówczyni o własnych sukcesach i planach. Był przy tym nieporadny jak szczeniak. Bawiło ją to i zarazem wzruszało, a jemu dawało poczucie pewności. Wiedział, że podoba się kobietom sukcesu, zazwyczaj starszym, że wzbudza w nich instynkty opiekuńcze. Nie cierpiał tego. Kate zaopiekowała się nim, mimo że wcale nie była od niego starsza i jeszcze nie miała na swoim koncie wielkich sukcesów. Nie wyglądała na osobę, która przejmuje się opiniami innych. Gdy, wprowadzając w osłupienie gospodarza imprezy, wstał i poprosił ją do tańca, roześmiała się i z nim zatańczyła.

Tego wieczora on się zakochał, a ona zasnęła miotana sprzecznymi uczuciami. Na święcie książki w Paso Robles znowu się spotkali i gdy Kate zabrała go na górę do swojego pokoju, nie okazał się tym nieporadnym chłopcem, za jakiego go uważała, lecz udowodnił, że jest pełnym zapamiętałego oddania mężczyzną. Nikt nigdy tak się z nią nie kochał. Nikt nigdy nie tulił się do niej we śnie tak mocno i natarczywie. To była bezgraniczna, zawłaszczająca miłość, jakiej nie znała, miłość, która ją przerażała i zarazem przyciągała. Po powrocie do Nowego Jorku nie poleciał do Niemiec, lecz został i nadal o nią zabiegał, niezdarnie, lecz niestrudzenie, póki nie zaproponowała, by się do niej wprowadził. Jej mieszkanie było wystarczająco duże. Dobrze im się razem mieszkało i po pół roku wzięli ślub.

Po jakimś czasie do ich życia zaczęły wkradać się

zmiany. Z początku pracowali biurko w biurko, w domu albo w bibliotece, i czytali na wspólnych wieczorach autorskich. Potem wyszła druga książka Kate i od razu stała się bestsellerem. Odtąd organizowano wieczory autorskie tylko dla niej. Po wydaniu trzeciej książki zaczęła jeździć po całym świecie. Często jej towarzyszył, lecz zwykle odmawiał udziału w oficjalnych imprezach. Kate za każdym razem przedstawiała go jako sławnego niemieckiego pisarza, lecz nikt nie znał ani jego nazwiska, ani książki, a on nie znosił uprzejmości, jaką mu okazywano tylko dlatego, że był jej mężem. Czuł, że Kate się boi, iż mógłby jej zazdrościć sukcesu. – Nie jestem zazdrosny. Zasłużyłaś na sukces i kocham twoje książki.

Coraz mniej ich łączyło.

– Tak dalej być nie może – powiedział w końcu. – Za często cię nie ma, a gdy wracasz do domu, jesteś zbyt zmęczona – i na rozmowę, i na miłość.

– Mnie też męczy całe to zamieszanie. Odpowiadam odmownie prawie na wszystkie zaproszenia. Co mam zrobić? Nie mogę bez przerwy odmawiać.

– Co będzie, gdy pojawi się dziecko?

– Dziecko?

– Znalazłem test ciążowy. Były na nim dwa czerwone paski.

– To jeszcze nic nie znaczy.

Kate nie chciała dać wiary wynikom pierwszego testu i zrobiła jeszcze jeden. Gdy została matką, z początku też nie chciała wierzyć, że musi zmienić swoje życie, i żyła

tak jak przed porodem. Ale gdy wieczorami wracała do domu i brała córeczkę na ręce, Rita wierciła się i wyciągała rączki do taty. Wówczas Kate ogarniała tęsknota za nowym życiem, wypełnionym tylko rodziną i pisaniem. W trybach następnego dnia zapominała o niej. Lecz tęsknota pojawiała się znowu i przybierała na sile w miarę dorastania Rity, a z każdym jej nawrotem Kate ogarniał coraz większy strach.

Któregoś wieczora powiedział przed zaśnięciem:

– Nie chcę tak dłużej żyć.

Nagle przestraszyła się, że straci jego i Ritę, a ich wspólne życie wydało jej się najcenniejsze ze wszystkiego.

– Ja też nie. Mam dosyć podróży, wieczorów autorskich, odczytów, przyjęć. Chcę być z wami i pisać. Więcej nic.

– Naprawdę?

– Gdy piszę, potrzebuję tylko was. Nie chcę tej całej reszty.

Spróbowali żyć inaczej, lecz po roku uznali, że w Nowym Jorku im się to nie uda.

– Takie życie cię wykańcza. Tak przecież kochasz łąki, drzewa, ptaki. Poszukam dla nas domu na wsi.

4

Po kilku miesiącach życia na wsi powiedział:

– To nie tylko łąka, drzewa i ptaki. Jak tutaj wszystko rośnie, jak się rozwija – dom jest już prawie gotów, Rita jest zdrowsza niż w mieście, a jabłonie, które przycięliśmy z Jonathanem, dobrze w tym roku obrodzą.

Byli w ogrodzie. Otoczył Kate ramieniem, a ona oparła się o niego.

– Tylko moja książka potrzebuje jeszcze czasu. Będzie gotowa dopiero zimą lub wiosną.

– Przecież to już niedługo! I czy pisanie nie idzie ci tu łatwiej?

– Jesienią będę miała pierwszą wersję. Chciałbyś ją przeczytać?

Zawsze twierdziła, że pod żadnym pozorem nie wolno z nikim rozmawiać o tym, co się napisało, bo to przynosi nieszczęście. Cieszył się z okazanego mu zaufania. Cieszył się na myśl o zbiorach jabłek i wyciskaniu soku. Zamówił już duży sokownik.

Jesień nadeszła wcześniej, pierwszy przymrozek zabarwił liście klonów płomienną czerwienią. Rita nie mogła się nacieszyć kolorami drzew i ciepłem ognia, który w chłodne wieczory rozpalali w kominku drewnem i papierami. Pozwalał jej, by sama robiła papierowe kulki, układała warstwami wióry i polana, zapalała zapalną i przykładała do ułożonego stosu. Mimo to za każdym razem wołała: – Popatrz, tatusiu, popatrz! – Ogień był dla niej cudem.

Gdy zasiadali wieczorami w trójkę przy kominku, przygotowywał gorący sok z jabłek. Do kubka Rity

wrzucił listek mięty, a sobie i Kate dolewał trochę calvadosu. Może to dzięki calvadosowi częściej ulegała mu w łóżku, a może sprawiała to ulga, jaką odczuwała na myśl, że udało jej się skończyć pierwszą wersję książki.

Postanowił codziennie czytać po kawałku manuskryptu. Wy tłumaczył Ricie, że każdego dnia będzie musiała pobawić się trochę sama. Pierwszego dnia zapukała do jego drzwi po dwóch godzinach, z dumą przyjęła pochwały i obiecała, że następnego dnia pobędzie sama jeszcze dłużej. Lecz nazajutrz zapomniała o obietnicy. Wstał więc w nocy i doczytał manuskrypt do końca.

Pierwsze trzy powieści Kate opisywały życie pewnej rodziny w czasach wojny w Wietnamie, powrót syna z obozu jenieckiego do dziewczyny, która była jego wielką miłością, ale tymczasem wyszła za mąż, oraz losy jej córki. Córka dowiaduje się, że jej ojcem nie jest mężczyzna, za którego wyszła matka i przy którym dorastała, lecz nieznamy, przybysz. Każdą z tych powieści można było czytać osobno, lecz razem stanowiły obraz całej epoki.

Nowa powieść Kate rozgrywała się w czasach współczesnych: para pracujących zawodowo, odnoszących sukcesy młodych ludzi. Nie mogą mieć dzieci, decydują się na adopcję i szukają dziecka za granicą. Napotykać szereg przeszkód, muszą zmierzyć się z wieloma problemami natury medycznej i politycznej, walczą z biurokracją, spotykają na swojej drodze zarówno

ludzi zaangażowanych, gotowych do pomocy, jak i skorumpowanych handlarzy, wikłają się w sytuacje to groteskowe, to znów niebezpieczne. Gdy w Boliwii stają przed wyborem, czy adoptować parę ślicznych bliźniąt, czy też wydać policji nielegalnych pośredników, co może uniemożliwić sfinalizowanie adopcji, wybucha między nimi konflikt. Ich wyobrażenia na temat siebie i partnera, ich miłość, ich małżeństwo – nagle nic nie jest już takie jak przedtem. Do adopcji ostatecznie nie dochodzi, a ich wizja przyszłości pęka jak bańka mydlana. Pozostają jednak otwarci na to, co przyniesie życie.

Było jeszcze ciemno, gdy odłożył ostatnią stronę manuskryptu na stos już przeczytanych kartek. Zgasił światło, otworzył okno i nabrał w płuca chłodnego powietrza. Na łące leżał szron. Książka mu się podobała. Historia trzymała w napięciu, była poruszająca i opowiedziana z nową dla Kate lekkością. Czytelnicy ją pokochają. Będą utożsamiać się z bohaterami, dzielić ich nadzieje i cierpienia, a po skończonej lekturze zastanawiać się, jak też mogłyby potoczyć się ich dalsze losy.

Ale czy Kate dała mu do przeczytania manuskrypt w dowód zaufania? Para, otwarta na to, co przyniesie życie, czy to mają być Kate i on? Czyżby Kate chciała go ostrzec? Powiedzieć mu, że ich dotychczasowe życie straciło smak, i zasugerować, że nadszedł czas na zmiany? Pokręcił głową i westchnął. Tylko nie to. Zresztą, może jest akurat odwrotnie. Może zakończenie książki jest dla

Kate przypieczętowaniem tego, że właśnie rozpoczęli nowy rozdział wspólnego życia. Nie byli parą, której życie legło w gruzach. Byli parą, której życie już raz legło w gruzach i która właśnie zaczęła je odbudowywać.

Usłyszał pierwsze ptaki. Wstawał świt. Z czarnej masy lasu za łąką wyłaniały się pojedyncze drzewa. Patrząc w niebo, nie można było jeszcze odgadnąć, czy dzień będzie słoneczny, czy pochmurny. Ma porozmawiać z Kate? Spytać, czy manuskrypt zawiera jakieś przesłanie przeznaczone tylko dla niego? Zmarszczy tylko brwi i rzuci mu zirytowane spojrzenie. Sam musi zinterpretować finał poszukiwań młodej pary. Czyżby pod powierzchnią wspólnego życia tych dwojga tlił się konflikt? Kate była wyczerpana. I nic dziwnego! Chciała skończyć pierwszą wersję w terminie, który sobie wcześniej wyznaczyła, i w ostatnich tygodniach codziennie pracowała do późnej nocy.

Nie, pod powierzchnią ich życia nie tli się żaden konflikt. Nie kłócili się od czasu głupiej sprzeczki o targi książki w Paryżu, gdy, nic mu nie mówiąc, potwierdziła swój w nich udział. Zresztą potem i tak odwołała potwierdzenie. Nie zazdrościł jej sukcesu. Kochali swoją córkę. Gdy byli w trójkę, dużo się śmiali i często śpiewali. Chcieli sobie kupić czarnego labradora i już zgłosili się u hodowcy jako przyszli nabywcy.

Wstał i przeciągnął się. Mógłby jeszcze z godzinę pospać. Rozebrał się i ostrożnie wszedł po trzeszczących schodach. Na palcach przekroczył próg sypialni i

zatrzymał się, czekając, aż uspokoi się oddech Kate, w której sen wdarł się odgłos otwieranych i zamykanych drzwi. Potem wsunął się pod kołdrę i przytulił do niej. Nie, nie ma żadnego konfliktu.

5

Podczas następnego wyjazdu do miasteczka zrobił zakupy na zimę. Właściwie nie było jeszcze takiej potrzeby. W zeszłym roku odśnieżanie drogi trwało najwyżej dobę. Ale worek z ziemniakami, skrzynia z cebulą, beczka z kapustą i jabłka na regałach sprawiają, że piwnica stanie się dla Rity przytulnym miejscem. Będzie lubiła schodzić na dół po ziemniaki, odliczać je i przynosić do kuchni.

Na farmie leżącej przy drodze do miasteczka zamówił ziemniaki, cebulę i kiszoną kapustę. Farmer spytał: – Czy mógłby pan podrzucić do miasta moją córkę i zabrać ją z powrotem, gdy będzie pan odbierał zamówienie? – Wziął więc ze sobą szesnastoletnią córkę farmera, która chciała wypożyczyć książki z biblioteki i przez całą drogę dręczyła go pytaniami. Czy mieli z żoną dosyć miasta? Czy szukają na wsi spokoju? Wierciła mu dziurę w brzuchu dopóty, dopóki nie powiedział jej, kim są z zawodu. Była zachwycona. – Jak nazywa się pana żona? Czy mogę przeczytać którąś z jej książek? – Rzucił jakąś wymijającą odpowiedź.

Był zły. Dlaczego nie ożenił się z tłumaczką lub graficzką komputerową? Nie po to uciekli z Nowego Jorku, by teraz znów zaczął się cały ten cyrk wokół Kate. W „New York Timesie” znalazł krótką informację, że za kilka dni zapadnie decyzja, kto zostanie tegorocznym laureatem National Book Award. Do nagrody nominowano każdą z trzech książek Kate. W tym roku nie wydała wprawdzie żadnej nowej powieści, lecz dopiero teraz krytycy obwołali jej trylogię panoramą epoki. Trudno było sobie wyobrazić, by jury nie rozpatrywało kandydatury Kate. Jeśli dostanie nagrodę, wszystko zacznie się od nowa.

Podjechał pod bibliotekę i zatrąbił. Córka farmera stała przed wejściem w grupie innych dziewcząt. Gdy do niego pomachała, wszystkie odwróciły się, by na niego spojrzeć. W drodze powrotnej opowiadała z przejęciem, jakie podekscytowane były jej przyjaciółki na wieść o tym, że on i jego żona są pisarzami i mieszkają w okolicy. Może przysliby kiedyś do szkoły i opowiedzieli, jak wygląda praca pisarza? Była już u nich z wizytą pani doktor, architekt i aktorka. – Nie – odpowiedział ostrzej, niż należało. – Nie mamy tego w zwyczaju.

Odwiózł ją na farmę, załadował do bagażnika zamówione warzywa i ruszył do domu. Zatrzymał się, choć wcześniej tego nie robił, przy punkcie widokowym. Parking był pusty. Las zstępował ku rozległej dolinie, za którą wznosił się i mienił kolorami aż po następne górskie pasmo. Przy drugim paśmie kolory matowiały, a las i góry

stapiały się w dali z bladoniebieskim niebem. Nad doliną krążył jastrząb.

Farmer, który interesował się lokalną historią, opowiadał mu kiedyś, jak w 1876 okolicznych mieszkańców zaskoczyła zima, o śniegu, który z początku padał, ku uciechu dzieci, drobnymi, lekkimi płatkami, a potem coraz gęściej, aż wszystko zasypał i odciął drogę do wielu domostw. Ten, kogo śnieg zaskoczył w drodze, nie miał żadnych szans, ale zamarzło też wielu, którzy pozostali w domach. Mieszkańcy domów położonych z dala od dróg pojawili się w miasteczku dopiero z nadejściem wiosny.

Spojrzał w niebo. Ach, gdyby tak zaczął padać śnieg! Najpierw drobny, tak, by ci, którzy byli jeszcze w drodze, zdążyli na czas do domu, a potem tak gęsty, że przez kilka dni nie mogłyby jeździć samochody. Gdyby tak pod ciężarem śniegu złamała się gałąź i zerwała nowe przewody telefoniczne. Gdyby tak nikt nie mógł powiadomić Kate o przyznaniu nagrody ani zaprosić na uroczystość jej wręczenia, gdyby tak nikt nie mógł zabrać jej do miasta i dręczyć wywiadami, programami telewizyjnymi i przyjęciami. Nagroda trafiłaby do Kate wraz z pierwszymi roztopami, wcale nie umniejszając jej radości. Obyłoby się bez tego całego cyrku, a ich świat pozostałby nienaruszony.

Po zachodzie słońca ruszył dalej. Zjechał z głównej drogi na szosę, a z niej na biegnącą lekko pod górę zwirowaną drogę, która przecinała długą dolinę.

Zatrzymał samochód i wysiadł. Wzdłuż drogi biegły przewody telefoniczne. By ustawić nowe trzymetrowe słupy, do których były przymocowane przewody, wyrąbano kilka przydrożnych drzew i przycięto kilka gałęzi. Na szczęście przy słupach telefonicznych jeszcze ich parę zostało.

Znalazł ogołoconą z igieł sosnę – wysoką, krzywą, martwą. Jeden koniec liny holowniczej okręcił wokół jej pnia, drugi przymocował do haka, włączył napęd na cztery koła i ruszył. Silnik zawył i zgasł. Ruszył jeszcze raz. Silnik znów zawył i zgasł. Przy trzecim podejściu koła zabuksowały. Wysiadł, wyjął ze skrzynki z narzędziami rozkładany szpadel, zaczął rozkopywać ziemię wokół pnia i natknął się na skałę, do której przywarły korzenie drzewa. Spróbował je odchylić, kopał, szarpał, podważał. Koszula, sweter, spodnie – wszystko miał mokre od potu. Gdyby tylko trochę więcej widział! Zapadał zmierzch.

Wsiadł do samochodu, ruszył przed siebie, aż lina się napięła, cofnął i znów ruszył. Ruszył, cofnął, ruszył, znów cofnął – oczy zalewał mu pot zmieszany ze łzami złości, złości na drzewo, które nie chciało upaść, i na świat, który nie chciał zostawić Kate w spokoju. Ruszył, wycofał, ruszył, wycofał. Żeby tylko Kate i Rita nic nie usłyszały. Żeby tylko Kate nie zadzwoniła do farmera albo do *general store*. Nigdy jeszcze nie wrócił do domu tak późno. Żeby w ogóle do nikogo nie dzwoniła.

Nagle drzewo poddało się i bez żadnej zapowiedzi

runęło prosto na przewody telefoniczne tuż obok słupa. Drzewo i słup zaczęły się przechylać i gdy przewód zerwał się pod ich ciężarem, z głośnym chrzęstem uderzyły o ziemię.

Wyłączył silnik. Cisza. Był wyczerpany, wypompowany, pusty. Lecz po chwili zaczęło w nim narastać poczucie triumfu. Dał sobie radę. Z całą resztą też sobie poradzi. Jaką miał w sobie siłę! Jaką siłę!

Wysiadł, odwiązał linę holowniczą, włożył ją i szpadel do bagażnika i ruszył. W oddali widział jasno oświetlone okna domu. Żona i córka czekały na niego przed wejściem, jak zawsze, i jak zawsze Rita wybiegła mu na powitanie, prosto w jego otwarte ramiona. Wszystko było w porządku.

6

Dopiero następnego wieczora Kate spytała, dlaczego nie działa telefon ani internet. Rankiem i wczesnym popołudniem była zajęta wyłącznie pisaniem i postanowiła przejrzeć pocztę mejlową późnym popołudniem.

– Sprawdzę to. – Wstał i zaczął majstrować przy kablach, puszcze telefonicznej i komputerowej. Niczego nie znalazł. – Jutro rano mogę pojechać do miasteczka i wezwać specjalistę.

– Wtedy znowu stracę pół dnia. Poczekaj jeszcze,

może samo się naprawi. Tak czasem bywa.

Gdy po kilku dniach nic nie naprawiło się samo, Kate straciła cierpliwość: – Gdy jutro będziesz w mieście, dowiedz się, proszę, czy jest jakaś sieć, która ma u nas zasięg. Tu jednak nie da się żyć bez komórki.

Wcześniej cieszyli się, że nie mają zasięgu ani w domu, ani na posesji. Że nie są o każdej porze uchwytli dla wszystkich, którym przyjdzie ochota do nich zadzwonić. Ustalili pory dnia, w których nie odbierali nawet telefonu stacjonarnego. Nie zamontowali też automatycznej sekretarki. Podobało im się, że korespondencji nie dostarczano do domu, lecz że sami musieli po nią jeździć. Dlaczego teraz nagle Kate zachciewa się komórki?

Gdy leżeli w łóżku, Kate wyłączyła światło, lecz on je włączył i spytał:

– Czy naprawdę chcesz, żeby wszystko było znów tak jak w Nowym Jorku? – Nie odpowiedziała. Nie wiedział, czy nie zrozumiała jego pytania, czy też nie chciała odpowiedzieć.

– Seks był w Nowym Jorku lepszy niż tutaj. Byliśmy sobie bardziej głodni. Tu... jesteśmy jak stare małżeństwo, czuli, ale nie namiętni. Jakby opuściła nas dawna namiętność.

Ogarnęła go złość. Tak, seks był teraz spokojniejszy, spokojniejszy i bardziej intymny. W Nowym Jorku często rzucali się na siebie łapczywie, pospiesznie. To miało swój urok, podobnie jak życie w mieście – równie

łapczywe i pospieszne. Ich seks przypominał ich wspólne życie, najpierw tam, a teraz tutaj, i jeśli Kate tęskniła za łapczywością i pośpiechem, to z pewnością nie tylko w odniesieniu do seksu. Czyżby potrzebowała spokoju tylko do napisania książki? Czy teraz, gdy ją skończyła, skończyło się dla niej również życie na wsi? Jego złość zamieniła się w lęk.

– Chciałbym częściej z tobą sypiać. Chciałbym wpaść nieproszony do twojego pokoju, podnieść cię do góry, objęłabyś mnie za szyję i zaniósłbym cię do łóżka. Chciałbym...

– Wiem. Właściwie nie to miałam na myśli. Gdy skończę książkę, będzie lepiej. Nie martw się.

Kate wtuliła się w niego, kochali się, a gdy rano otworzył oczy, już nie spała. Patrzyła na niego w milczeniu. Położył się na boku i patrzył na nią, również nic nie mówiąc. Nie mógł z jej wzroku wyczytać, co czuje ani co myśli, i starał się, by jego spojrzenie nie zdradziło, że się boi. Wczoraj nie uwierzył, że właściwie miała na myśli coś innego. I dziś jej nie wierzył. Ten strach był pełen tęsknoty i pragnienia. Jej twarz o wysokim czole, wygiętych w zarozumiałe łuki brwiach, długim nosie, pełnych ustach i podbródku, raz gładkim, raz znów zmarszczonym w zależności od nastroju – to była okolica, którą jego miłość wybrała sobie na mieszkanie. Cieszył się, gdy otwierała się na niego, i bał, gdy zamykała się i go odpychała. Twarz, pomyślał, to tylko twarz, a przecież kryje w sobie całą różnorodność, której potrzebuję i na

którą się godzę. Uśmiechnął się. Nie przestając patrzeć na niego poważnie, w milczeniu położyła rękę na jego plecach i przyciągnęła go ku sobie.

7

Po drodze do miasta zatrzymał samochód przy przewróconym drzewie, słupie telefonicznym i zerwanych przewodach. Buksujące koła zostawiły na drodze ślady. Udało mu się je zatrzeć.

Wszystko wyglądało teraz tak, jakby wydarzyło się bez niczyjej ingerencji. Mógł pojechać do miasteczka i zawiadomić spółkę telefoniczną. Nikt nie może mu niczego zarzucić. Nie można by mu było niczego zarzucić, nawet gdyby nie zawiadomił spółki telefonicznej. Przecież nie widział ani przewróconego drzewa, ani słupa telefonicznego, ani zerwanych przewodów. Wcale nie musiał ich widzieć. Technik, którego obiecał zawiadomić, ten sam, który kładł u nich kable i instalował komputery, zauważył pewnie po drodze, co się stało. Albo i nie.

W zakładzie nikogo nie zastał. Na drzwiach wisiała kartka z wiadomością, że technik pojechał do klienta i zaraz wraca. Ale kartka była pożółkła, a przez brudne szyby z trudem mógł zobaczyć, czy zakład działa, czy jest zamknięty z powodu urlopu lub zimy. Na stołach stały telefony i komputery. Leżały kable, wtyki, śrubokręty.

Był jedynym klientem w *general store*. Właściciel zagadnął go i powiedział, że następnej soboty w miasteczku odbędzie się festyn. Czy nie miałby ochoty przyjechać? Z żoną i córką? Nigdy nie był w *general store* z Kate i Ritą, nie byli też razem w żadnym innym sklepie ani restauracji. Czasami przejeżdżali przez miasteczko, to wszystko. Ciekawe, co jeszcze wie na ich temat właściciel sklepu?

Nagle zobaczył w „New York Timesie” zdjęcie Kate. Dostała nagrodę. W gazecie pisano, że nie stawiała się na uroczystość wręczenia, więc w jej zastępstwie odebrała ją agentka, i że z Kate nie można się było skontaktować ani telefonicznie, ani drogą mejlową.

Czyżby sklepikarz nie czytał gazet? Czy aby na pewno nie poznał na zdjęciu Kate? Czy nie przyjrzał się jej dostatecznie dobrze, gdy przejeżdżali przez miasteczko? A może któryś z mieszkańców przyjrzał się Kate lepiej i rozpoznał ją na zdjęciu w gazecie? Może zadzwoni do „New York Timesa” i doniesie, gdzie można ją znaleźć? Albo powiadomi wydawcę „Weekly Herald”, w którym co tydzień obok reklam zamieszczano krótkie raporty o przestępstwach, wypadkach, uroczystych otwarciach, jubileuszach, weselach, urodzinach i zgonach?

Przy ladzie leżały jeszcze trzy egzemplarze „New York Timesa”. Najchętniej kupiłby od razu wszystkie, by nikt inny nie mógł ich przeczytać. Ale to zwróciłoby uwagę właściciela. Wziął więc tylko jeden. Poprosił też o

małą butelkę whisky, którą sklepikarz zapakował mu do brązowej papierowej torebki. Idąc do samochodu, minął stos niebieskich kozłów i belek z napisem *police line*, przeznaczonych do odgródzenia głównej ulicy na czas festynu. Zajrzał jeszcze raz do zakładu i znów nie zastał technika. Może powiedzieć, że próbował.

Korespondencję, którą wyjął ze skrytki pocztowej, włożył bez przeglądania do rozdartej w jednym miejscu osłony przeciwsłonecznej. W drodze powrotnej znów zatrzymał się w punkcie widokowym, zaparkował i upił łyk z butelki. Whisky paliła mu usta i gardło, zakrztusił się i beknął. Spojrzał na brązową papierową torebkę, w którą zawinięta była butelka, i pomyślał o bezdomnych, popijających z butelek w papierowych torebkach na ławkach nowojorskiego Central Parku. O tych, którzy nie dali rady zatrzymać swojego świata.

Gdy był tu ostatnim razem, las mienił się jeszcze kolorami. Teraz kolory zmatowiały, jakby zużyła je jesień i przytłumiła mgła. Otworzył okno i wciągnął w płuca chłodne, wilgotne powietrze. Nie mógł doczekać się zimy, pierwszej zimy w nowym domu, wieczorów przy kominku, wspólnego majsterkowania i wypieków, wieńca adwentowego, choinki, pieczonych jabłek i grzanego wina. Kate, która będzie miała więcej czasu dla Rity i dla niego.

Cieszył się też na wizytę przyjaciół z Nowego Jorku, których chcieli zaprosić zimą. Peter i Liz, Steve i Susan byli prawdziwymi przyjaciółmi, czego nie dało się

powiedzieć o tej hołocie z agencji, wydawnictw i mediów, z którą spotykali się na przyjęciach i imprezach. Peter i Liz też żyli z pisania, Steve uczył, a Susan projektowała biżuterię – to były jedyne osoby, z którymi poważnie rozmawiali na temat powodów swojej przeprowadzki na wieś. I tylko im dali nowy adres.

No tak, przyjaciele mieli ich nowy adres. Co będzie, jeśli postanowią złożyć im niespodziewaną wizytę? Jeśli przeczytali „New York Timesa” i doszli do wniosku, że dobra nowina nie dotarła jeszcze do Kate i że najlepiej będzie, gdy przekażą ją osobiście?

Pociągnął kolejny łyk z butelki. Nie wolno mu się upić. Musi zachować trzeźwy umysł i zastanowić się, co ma zrobić. Zadzwoić do przyjaciół? Powiedzieć, że Kate wie o nagrodzie, lecz nie miała ochoty na związane z nią zamieszanie? Dobrze ją znali i wiedzieli, jak bardzo lubi świętować swoje sukcesy, nie uwierzyliby mu i to by ich jeszcze bardziej przekonało do przyjazdu.

Panika podchodziła mu do gardła. Jeśli jutro pojawiliby się u nich przyjaciele, pojutrze Kate byłaby już w Nowym Jorku i wszystko zaczęłoby się od nowa. Jeśli nie chce, by do tego doszło, musi coś wymyślić. Jakie kłamstwa mogłyby ich powstrzymać od przyjazdu?

Wysiadł z samochodu, opróżnił butelkę do końca i rzucił ją wysokim tukiem między drzewa. W jego życiu zawsze tak było: gdy stawał przed jakimś wyborem, często musiał wybierać między dwiema złymi opcjami. Gdy rodzice wreszcie się rozstali, między mieszkaniem u

matki a mieszkaniem u ojca. Między studiami, na które musiał zarabiać za cenę całego swojego wolnego czasu, a znienawidzoną pracą, która dawała mu dużo czasu na pisanie. Między Niemcami, gdzie zawsze czuł się obco, a Ameryką, w której również pozostał obcym. Chciał choć raz mieć tak dobrze jak inni. Chciał mieć wybór między dwiema dobrymi opcjami.

Nie zadzwonił do przyjaciół. Pojechał do domu, zdał relację ze swojej bezowocnej wizyty w zakładzie, dodał, że następnego dnia spróbuje znowu, a w razie potrzeby wezwie technika z sąsiedniego miasteczka lub ze spółki telefonicznej. Kate złościła się, nie na niego, lecz na życie na wsi. Gdy spostrzegła, że go to rani, zaproponowała ugodowo: – Zainwestujmy w infrastrukturę i postawmy na wzgórzu za domem maszt telefoniczny. Możemy sobie na to pozwolić. Przynajmniej trochę uniezależni nas to od techników i telefonii.

8

Obudził się w środku nocy. Było kilka minut przed drugą. Po cichu wstał, lekko rozchylił zasłony i wyjrzał przez okno. Zobaczył czyste niebo i nawet bez księżyca wyraźnie widział łąkę, las i drogę. Jednym ruchem zgarnął z krzesła ubranie, na palcach wyszedł z pokoju i zszedł po trzeszczących schodach. W kuchni włożył dzinsy, sweter, watowaną kurtkę, wełnianą czapkę i kozaki. Na dworze

było zimno. Przez okno widział leżący na łące szron.

Drzwi wejściowe dały się otworzyć i zamknąć bez najmniejszego hałasu. Na palcach podszedł do oddalonego o kilka kroków samochodu. Włożył kluczyk do stacyjki i odblokował kierownicę. Potem wparł się w otwarte drzwiczki od wozu i zepchnął go z łąki na drogę. Trawa tłumiała odgłos toczącego się samochodu. Gdy znalazł się na drodze, pod kołami zachręścił żwir, czyniąc – jak mu się zdawało – straszliwy hałas. Lecz po kilku metrach droga opadała w dół i samochód nabrał prędkości. Wskoczył do środka, po paru zakrętach znalazł się poza zasięgiem słuchu domowników i włączył silnik.

Po drodze do miasteczka minął kilka samochodów, lecz żaden z nich nie wyglądał znajomo. W miasteczku w kilku oknach kamienic paliło się światło. Wyobraził sobie matkę przy łóżku chorego dziecka, ojca, któremu nie dają spać zawodowe problemy, i staruszka, któremu sen nie jest już potrzebny.

Wszystkie okna przy głównej ulicy były ciemne. Na chodniku żywej duszy, ani jednego pijanego na ławce, ani jednej pary zakochanych w bramie. Minął biuro szeryfa. I ono było ciemne, a parking, na którym stały dwa policyjne wozy, ogrodzono łańcuchem. Wyłączył światła, powoli cofnął i zatrzymał się obok stosu niebieskich kozłów i belek z napisem *police line*. Odczekał, czy przypadkiem nie zwróciło to czyjejs uwagi, po cichu wysiadł z samochodu i ostrożnie położył na przyczepie trzy kozły i dwie belki. Wsiadł, znów chwilę odczekał i

ruszył, nie włączając świateł, póki nie zostawił miasteczka za sobą.

Włączył radio. *We Are the Champions* – w dzieciństwie uwielbiał ten kawałek. Dawno go nie słyszał. Przepęniało go uczucie triumfu. I tym razem mu się udało. Stać go było na więcej, niż wydawało się innym. Niż wydawało się Kate. Najczęściej sam siebie nie doceniał. A przecież i tym razem tak zręcznie wszystko zaplanował, że nikt nie będzie mógł mu niczego zarzucić. Niedopatrzenie, głupi żart – któż to wie, w jaki sposób blokada znalazła się na drodze do ich domu? Kto by się tym zainteresował?

Jadąc, zastanawiał się, w którym miejscu najlepiej ją ustawić. Droga prowadząca do ich domu odbijała od szosy pod kątem prostym, ostro zakręcała i przez jakiś czas biegła prawie równolegle do szosy. Blokada ustawiona tuż za skrzyżowaniem za bardzo będzie rzucać się w oczy. Co innego za zakrętem.

Wszystko poszło sprawnie. Zatrzymał się za zakrętem, ustawił kozły i położył na nich belki. Droga była zamknięta.

Nim wjechał na wzniesienie przed domem, wyłączył światła i silnik. W ciemności samochód wtoczył się bezgłośnie z drogi na łąkę, wystarczyła siła bezwładu. Było wpół do piątej.

Siedział przez chwilę i nasłuchiwał. Wiatr szumiał w koronach drzew i czasami dało się słyszeć jakieś zwierzę czy trzask łamanej gałęzi. Z domu nie dochodziły żadne

dźwięki. Niedługo zaczną świtać.

Kate spytała przez sen: – Gdzie byłeś? – Ale się nie przebudziła. Gdy nazajutrz rano powiedziała mu, że wydawało jej się, że w nocy wychodził, wzruszył ramionami.

– Byłem w toalecie.

9

Przez następne dni nie opuszczało go poczucie szczęścia, choć było to szczęście zmieszane ze strachem. Co będzie, gdy blokadę znajdzie szeryf albo zobaczy ją sąsiad i zgłosi, gdzie trzeba, co będzie, gdy przyjaciele ją zignorują i mimo wszystko postanowią ich odwiedzić? Ale nikt się nie pojawił.

Codziennie podnosił jedną z belek, odsuwał na bok jeden z kozłów i przejeżdżał. Wybrał się znów do zakładu, lecz nadal był zamknięty. Pojechał więc do sąsiedniego miasteczka i znalazł innego technika, ale niczego z nim nie ustalił. Nie zadzwonił też do spółki telefonicznej. Za każdym razem, gdy podnosił belkę i w drodze powrotnej kładł ją na miejsce, za każdym razem, gdy odsuwał koziół i przysuwał go z powrotem, czuł, że tak jest dobrze. Jakby był panem zamku, w którym otwiera i zamyka bramę.

Starał się wracać z tych wypraw jak najszybciej. Kate chciała pracować, a on – cieszyć się swoim światem:

pewnością, że Kate jest na górze i pisze, radością, że Rita jest obok niego, swojską powtarzalnością domowych obowiązków. Zbliżało się Święto Dziękczynienia. Opowiedział Ricie o *pilgrim fathers* [(ang.) – pielgrzymi lub ojcowie pielgrzymi, grupa 102 purytanów z Anglii, którzy 21 listopada 1620 r. na statku „Mayflower” przybyli do Nowej Anglii i osiedlili się, zakładając Plymouth, pierwszą angielską kolonię na tych terenach.] i Indianach. Namalowali wielki obraz, na którym świętują wszyscy razem: pielgrzymi, Indianie, Kate, Rita i on.

– Czy przyjdą też do nas? *Pilgrim fathers* i Indianie?
– Nie, skarbie, oni już od dawna nie żyją.
– Ale ja tak bym chciała, żeby ktoś nas odwiedził!
– Ja też – usłyszał nagle głos Kate. Stała w drzwiach.
– Już prawie skończyłam.

– Książkę?

Skinęła głową.

– Książkę. A gdy będzie gotowa, uczcimy to. Zaprosimy przyjaciół. Moją agentkę i redaktorkę. I sąsiadów.

– Prawie skończyłaś? To znaczy?

– Będzie gotowa pod koniec tygodnia. Nie cieszysz się?

Podszedł do niej i wziął ją w objęcia.

– To chyba oczywiste, że się cieszę. To fantastyczna książka. Dostanie znakomite recenzje, jej egzemplarze znajdą się na stole z bestsellerami w Barnes & Noble, a potem nakręcą na jej podstawie świetny film.

Podniosła głowę, którą wcześniej oparła na jego

ramieniu, odchyliła się do tyłu i uśmiechnęła.

– Prawdziwy skarb z ciebie. Byłeś taki cierpliwy. Troszczyłeś się o mnie i o Ritę, dom i ogród, dzień w dzień to samo, a ty ani razu się nie poskarżyłeś. Teraz życie zacznie się od nowa, obiecuję ci.

Spojrzał przez okno na ogród po stronie kuchni, stos drewna, kompostownik. Woda w sadzawce zamarzała przy brzegach, już niedługo będą mogli jeździć na łyżwach. Czy to nie było życie? O czym ona mówiła?

– W poniedziałek pojedę do miasta, muszę sprawdzić mejle w kafejce internetowej i zadzwonić do kilku osób. Co powiesz na Święto Dziękczynienia z przyjaciółmi?

– Nie możemy przecież zaprosić ich tak z dnia na dzień. I co będzie robić Rita w towarzystwie tylu dorosłych?

– Każdy chętnie jej poczyta albo się z nią pobawi. Jest takim samym skarbem jak ty.

Co ona powiedziała? Że jest takim samym skarbem jak ich córka?

– Mogę też spytać Petera i Liz, czy nie mieliby ochoty zabrać ze sobą swoich bratanków i siostrzeńców. Pewnie rodzice będą chcieli spędzić Święto Dziękczynienia razem z nimi, ale zapytać nie zawadzi. A moja redaktorka ma syna w wieku Rity.

Nie słuchał jej. Oszukała go. Obiecywała, że powieść będzie gotowa zimą lub wiosną, tymczasem już ją kończyła. Za kilka miesięcy agentka wręczyłaby jej nagrodę zwyczajnie, w domu, bez tych wszystkich

ceregieli, przy lampce szampana. A tak już wkrótce zacznie się – z niewielkim tylko opóźnieniem – cały ten cyrk w związku z nagrodą. Czy może temu zapobiec? Co robiłby do końca zimy czy pierwszych dni wiosny? Czy udałoby mu się przekonać Kate, żeby na razie poczekali z naprawą telefonu i komputera i żeby zadowolila się tym, że będzie przynosił jej pocztę mejlową z kafejki internetowej? Ufała mu, gdy chodziło o zwykłą pocztę, dlaczego nie miałaby mu zaufać również w sprawie mejli? Może zacznie padać śnieg i będzie sypał nieprzerwanie, jak w 1876, a oni przez całą długą zimę będą pisać, gotować, bawić się i kochać, nie poświęcając reszcie świata najmniejszej uwagi.

– Idę na górę. Będziemy świętować to w trójkę już w niedzielę, dobrze?

10

A może powinien dać za wygraną? Lecz Kate jeszcze nigdy nie była taka spokojna, jeszcze nigdy pisanie nie szło jej tak lekko jak podczas ostatnich sześciu miesięcy. Potrzebowała tutejszego życia. Rita zresztą też. Nie chciał narażać swego aniołka na życie w mieście, z jego ruchem ulicznym, przestępstwami i narkotykami. Jeśli urodzi im się jeszcze jedno dziecko, albo lepiej dwoje, będzie je uczył w domu. W przypadku jednego dziecka miał zastrzeżenia natury pedagogicznej, ale jeśli ma się dwójkę

lub trójkę, to jest to zupełnie w porządku. Zresztą dla Rity nauka w domu i tak byłaby lepszym wyjściem niż zła szkoła.

W niedzielę Kate wstała rano i późnym popołudniem skończyła pisać.

– Skończyłam – zawołała, zbiegając po schodach, jednym ramieniem objęła Ritę, drugim męża i wykonała z nimi triumfalny taniec wokół podtrzymujących strop drewnianych słupów. Potem przepasała się fartuchem. – Może coś ugotujemy? Co jest w lodówce? Na co macie ochotę?

Podczas gotowania Kate i Rita nie posiadały się z radości, dokazywały i każda błahostka dostarczała im powodu do śmiechu. „Od śmiechu do łez niedaleka droga” – jego babcia tymi słowami ostrzegała wnuki przed łzami, które często przychodziły po nadmiernej radości. Chciał przestrzec Kate i Ritę, ale wydał się sobie małostkowy i dał spokój. Sam był coraz bardziej posepny. Raziła go radość żony i córki.

– Bajka, bajka – domagała się po kolacji Rita. Podczas gotowania nie wymyślili żadnej historii, ale wystarczyło, by jedno z nich zaczęło, a drugie uważnie słuchało i podjęło wątek. Dziś tak długo wymawiał się od opowiadania bajki na dobranoc, aż popsuł Kate i Ricie całą radość. Było mu przykro, tym bardziej że potem nie udało mu się już przywrócić dobrego nastroju. Poza tym zrobiło się późno i trzeba było położyć Ritę spać.

– Ja to zrobię – zdecydowała Kate. Słyszał, jak Rita

śmieje się w łazience, a potem dokazuje w łóżku. Gdy zapadła cisza, myślał, że zawoła go jeszcze, by dać mu całusa na dobranoc. Nie zawołała.

– Od razu zasnęła – powiedziała Kate, siadając obok niego przy stole. Ani słowem nie wspomniała o jego grobowej minie. Nadal była w szampańskim nastroju. Na myśl, że nawet nie zauważyła, jak mu źle, zrobiło mu się jeszcze gorzej. Dawno jej takiej nie widział. Cała promieniała, miała rozpalone policzki i błyszczące oczy. Jakie zdecydowane były jej gesty, jak pewny krok! Wie, że jest piękna, zbyt piękna, by mieszkać na wsi, wie, że jej miejsce jest w Nowym Jorku. Ta myśl sprawiła, że opuściła go cała pewność siebie.

– Jutro po śniadaniu wybieram się do miasta. Coś przywieźć?

– To niemożliwe. Obiecałem Jonathanowi, że pomogę mu naprawiać dach szopy. Potrzebny mi samochód. Mówiłaś, że skończysz w weekend. Pomyślałem więc, że mogłabyś zostać jutro z Ritą.

– Ale powiedziałam ci przecież, że jutro chcę jechać do miasta.

– A to, czego ja chcę, już się nie Uczy?

– Wcale tak nie twierdzę.

– Ale tak to zabrzmiało.

– Przykro mi. – Nie chciała kłótni, chciała rozwiązać problem. – Podwiozę cię do Jonathana i pojedę do miasta.

– A co z Ritą?

– Wezmę ją ze sobą.

– Wiesz przecież, że jest jej niedobrze podczas jazdy.
– To wysiądzie razem z tobą. Do Jonathana jest tylko dwadzieścia minut.

– Dwadzieścia minut w samochodzie to dla Rity o dwadzieścia minut za dużo.

– Ricie zrobiło się niedobrze raptem dwa razy. To wszystko. Bez problemu jeździła z nami taksówkami po Nowym Jorku. Tutaj też przyjechaliśmy samochodem. To jakaś twoja idee fixe. Uznałeś, że nie można jej wozić. Spróbujmy przynajmniej...

– Chcesz eksperymentować kosztem Rity? Co cię nie zabije, to cię wzmocni? Nie, Kate, nie będziesz robić z mojej córki królika doświadczalnego.

– Twojej córki, twojej córki... To także moja córka. Mów „nasza córka” albo „Rita”, ale nie graj roli zatroskanego ojca, który musi chronić córkę przed złą matką.

– Nie gram żadnej roli. Troszczę się o Ritę bardziej niż ty, to wszystko. I skoro powiedziałem, że nie pojedzie samochodem, to nie pojedzie.

– Może ją jutro spytamy? Zazwyczaj sama dobrze wie, czego chce.

– To małe dziecko, Kate. A co, jeśli zechce jechać, chociaż źle to znosi?

– Wtedy wezmę ją na ręce i zaniosę.

Pokręcił tylko głową. To, co mówiła, było tak idiotyczne, że nagle poczuł się, jakby rzeczywiście musiał jutro naprawiać dach szopy Jonathana. Wstał.

– Co powiesz na pół butelki szampana prosto z lodówki? – Pocałował ją w czubek głowy, przyniósł butelkę i dwa kieliszki i nalał. – Za ciebie i twoją książkę!

Zmusiła się do uśmiechu, podniosła kieliszek do ust i wypila.

– Rzucę jeszcze okiem na manuskrypt. Nie czekaj na mnie.

11

Nie czekał na nią i położył się do łóżka. Ale nie zmrużył oka, póki Kate nie położyła się obok niego. Było ciemno. Nic nie mówił, oddychał regularnie. Kate przez chwilę leżała na wznak, jakby zastanawiając się, czy go obudzić i z nim porozmawiać, lecz po chwili obróciła się na bok.

Gdy rano się obudził, już jej nie było. Słyszał, jak krzątają się z Ritą po kuchni, ubrał się i zszedł na dół.

– Tatusiu, będę jechać samochodem!

– Nie, skarbie, będzie ci niedobrze. Poczekamy z tym, aż urośniesz i nabierzesz sił.

– Ale mama powiedziała...

– Mama chciała powiedzieć, że będziesz jeździć samochodem, ale później, nie dzisiaj.

– Nie tłumacz dziecku, co chciałam powiedzieć. – Kate mówiła opanowanym tonem. Ale zaraz straciła nad sobą kontrolę i podniosła głos. – Co ty wygadujesz! Jesteś

umówiony z Jonathanem na naprawianie dachu, a przesypiasz cały ranek? Mówisz, że chcesz zimą pojechać z Ritą na narty, ale jesteś przekonany, że jazda samochodem jest dla niej zbyt niebezpieczna? Chciałbyś, żebym była mamuszką przy garach, która będzie cierpliwie czekać, aż mąż łaskawie odda jej samochód? Albo pojedziemy w trójkę i podwiozę cię do Jonathana, albo pojedę z Ritą sama.

– Ja chcę zrobić z ciebie mamuszkę? Ciekawe, kim sam jestem, jeśli nie tatuśkiem przy garach? Pisarzem nieudacznikiem? Którego w dodatku musisz utrzymywać? Któremu wolno zajmować się córką, ale nie wolno już o niczym decydować? Opiekunką do dziecka i sprzątaczką w jednym?

Kate uspokoiła się. Spojrzała na niego, unosząc brwi.

– Dobrze wiesz, że nie miałam na myśli ani jednej z tych rzeczy. A teraz jadę. Co z tobą?

– Nigdzie nie pojedziesz!

Ale Kate już się ubrała, włożyła Ricie kurtkę i buty i ruszyła z nią ku drzwiom. Gdy zastąpił im drogę, Kate wzięła małą na ręce i wyszła przez werandę. Zawahał się, pobiegł za nią, dogonił ją i przytrzymał. Rita zaczęła płakać, więc puścił Kate, szedł jednak za nią, gdy schodziła po stopniach werandy i zdążyła przez łąkę do samochodu.

– Proszę, nie rób tego!

Nie odpowiadała. Posadziła Ritę na miejscu pasażera, usiadła za kierownicą, zatrzasnęła drzwiczki i przekręciła

kluczyk.

– Tylko nie na przednim siedzeniu! – Chciał otworzyć drzwi samochodu, ale Kate zdążyła wcisnąć blokadę. Uderzył pięścią w drzwi, złapał za klamkę, chciał je zatrzymać. Samochód ruszył. Biegąc obok niego, zobaczył, że Rita klęka na przednim siedzeniu i patrzy na niego zapłakanymi, przestraszonymi oczami.

– Zapnij jej pasy – zawołał. – Zapnij Ricie pasy! – Ale Kate nie reagowała. Gdy samochód nabrał prędkości, musiał oderwać dłoń od klamki.

Biegł, choć nie miał żadnych szans, by go dogonić. Kate nie jechała szybko po zwirowanej drodze, ale i tak miała nad nim przewagę, odległość między nimi zwiększała się z każdym zakrętem. Potem stracił samochód z oczu, słyszał tylko, jak coraz bardziej się oddala.

Nie przestawał biec. Musiał za nimi biec, nawet jeśli nie był w stanie ich dogonić. Musiał biec, żeby być bliżej żony, córki, swego życia. Musiał biec, żeby nie wracać do pustego domu. Musiał biec, bo nie wolno mu było się zatrzymać.

W końcu opadł z sił. Pochylił się do przodu i oparł dłonie na kolanach. Gdy jego oddech uspokoił się na tyle, że słyszał coś więcej poza nim, gdzieś z daleka dochodził do niego jeszcze odgłos samochodu. Wyprostował się, ale nic nie zobaczył. Odgłos stawał się coraz cichszy, a on czekał, aż całkiem ucichnie. Lecz nagle rozległ się daleki rumor. Potem zapadła cisza.

Ruszył biegiem przed siebie. Samochód musiał uderzyć w belki i kozioł albo – jeśli Kate na widok blokady gwałtownie skręciła w bok – w przydrożne drzewo. Oczyma duszy widział zakrwawione głowy Kate i Rity na roztrzaskanej przedniej szybie, Kate, która zataczając się, idzie w kierunku głównej drogi z Ritą na rękach, samochody, które mijają je obojętnie, niemal słyszał krzyk Rity i szloch Kate. A może zostały zakleszczone w samochodzie i nie mogą się wydostać, benzyna może w każdej chwili się zapalić, a wóz eksplodować? Biegł dalej, chociaż nogi odmawiały mu posłuszeństwa i kłuło go w piersi i boku.

Wtedy zobaczył samochód. Dzięki Bogu nie stał w płomieniach. Był pusty. Jak okiem sięgnąć, ani śladu po Ricie i Kate. Nie było ich ani przy samochodzie, ani na poboczu. Stał przy drodze i zaczął machać na przejeżdżające auta, ale żaden kierowca nie chciał się zatrzymać. Wrócił do samochodu. Jeden z kozłów tak mocno wbił się w zderzak i spód wozu, że uniemożliwiało to dalszą jazdę. Drzwi były otwarte. Usiadł za kierownicą. Przednia szyba nie była roztrzaskana, lecz w jednym miejscu umazana krwią. Nie po stronie kierowcy – po stronie pasażera.

Kluczyk tkwił w stacyjce. Cofnął, ale w podwoziu nadal tkwił zaklinowany słupek. Linką holowniczą przywiązał go do drzewa na skraju drogi, cofnął i podjechał do przodu, do tyłu, do przodu, raz za razem. Pomyślał, że to kara za zerwanie przewodów

telefonicznych. Gdy udało mu się wreszcie odczepić koziół, był całkowicie wyczerpany, tak jak wtedy. Belki i kozły włożył do przyczepy i pojechał do szpitala. Tak, jego żonę i córkę przywieziono pół godziny temu. Wskazano mu drogę.

12

Korytarze były ładniejsze niż w niemieckich szpitalach, szerokie, ze skórzanymi fotelami i kunsztownymi kwiatowymi aranżacjami. W windzie wisiał plakat oznajmiający, że szpital został ponownie – po raz czwarty z rzędu – wybrany szpitalem roku. Skierowano go do poczekalni i powiedziano, że lekarz zaraz przyjdzie. Usiadł, wstał, przyjrzał się kolorowym zdjęciom na ścianach, pomyślał, że ruiny kambodżańskich i meksykańskich świątyń są przygnębiające, znów usiadł. Po półgodzinie otworzyły się drzwi, wyszedł z nich lekarz i przywitał się z nim. Był młody, energiczny, wesoły.

– Szczęście w nieszczęściu. Pańska żona przytrzymała córkę prawą ręką – tu lekarz wyprostował prawą rękę – i gdy córka z całym impetem uderzyła o przednią szybę, ręka się złamała. Ale złamanie nie jest skomplikowane i najprawdopodobniej uratowało życie pańskiej córce. Żona ma trzy złamane żebra i jest w szoku. Ale wyjdzie z tego. Zatrzymamy ją tylko na kilka dni. – Roześmiał się. – To dla nas prawdziwy honor

gościć laureatkę National Book Award, a dla mnie wyjątkowa przyjemność, że mogłem przekazać jej dobrą wiadomość osobiście. Od razu ją poznałem, ale z początku nie miałem odwagi, by jej powiedzieć. Nic jeszcze nie wiedziała i bardzo się ucieszyła.

– Co z moją córką?

– Ma na czole płytką ranę. Musieliśmy ją zaszyć. Teraz śpi. Dziś w nocy poleży jeszcze na obserwacji i jeśli wszystko będzie w porządku, jutro będzie pan mógł zabrać ją do domu.

Skinął głową.

– Czy mogę zobaczyć żonę?

– Zaprowadzę pana.

Leżała w pokoju jednoosobowym. Szyję i prawe ramię miała w gipsie. Lekarz zostawił ich samych.

Przysunął krzesło do jej łóżka.

– Gratuluję nagrody.

– Wiedziałeś o tym. Codziennie jeździłeś do miasteczka. Zawsze, gdy tam jesteś, czytasz „New York Timesa”. Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? Nie wolno mi odnosić sukcesów tylko dlatego, że ty ich nie odnosisz?

– Nie, Kate, chciałem tylko, by nasz świat pozostał taki jak dawniej. Nie jestem zazdrosny. Możesz sobie pisać jeden bestseller za dru...

– Wcale nie uważam, że jestem lepsza od ciebie. Zaslugujesz na taki sam sukces. Przykro mi, że świat nie jest sprawiedliwy i nie obdarza cię należyłą uwagą. Ale

nie mogę z tego powodu sama zrezygnować z pisania. Nie mogę się ograniczać.

– Tak jak ja? – pokręcił głową. – Nie chciałem, by znów zaczął się cały ten cyrk, jeden talk-show za drugim, wywiady, imprezy, bo ja wiem, co jeszcze. Nie chciałem, żeby było tak jak kiedyś. Te pół roku tak dobrze nam zrobiło.

– Nie wytrzymam tego dłużej. Jestem tylko cieniem, który rano znika za biurkiem, wieczorem siada z tobą przy kominku i raz w tygodniu bawi się w rodzinę.

– Nie siedzimy przy kominku. Rozmawiamy, i nie bawimy się w rodzinę. Jesteśmy nią.

– Wiesz, co mam na myśli. Ostatnie pół roku mógłbyś spędzić równie dobrze z każdą inną kobietą, która zajmuje się sobą, niewiele mówi, a w nocy lubi się przytulać. Nie mogę żyć z mężczyzną, który chce ode mnie tylko tego, bo na więcej nie pozwala mu zazdrość. Albo tylko to kocha.

– Co to ma znaczyć?

– Zostawiamy cię. Przeprowadzamy się...

– Wy? Ty i Rita? To przecież ja ją przewijałem i kąpałem, uczyłem czytać i pisać! To ja dla niej gotowałem. To ja ją pielęgnowałem, gdy była chora. Żaden sąd nie przyzna ci Rity.

– Po twoim dzisiejszym zamachu?

– Moim zamachu... – Znów pokręcił głową. – To nie był zamach. Chciałem tylko wszystko zablokować, telefon, internet i drogę.

– To był zamach. Kierowca, który przywiózł mnie do szpitala, zawiadomi szeryfa.

Dotychczas siedział na krześle zgarbiony, ze spuszczoną głową. Teraz wyprostował się i powiedział:

– Samochód już naprawiłem. Blokada zniknęła. Twojemu szeryfowi uda się co najwyżej ustalić, że jechałaś z naszą córką bez fotelika i z niezapiętymi pasami. – Popatrzył na swoją żonę. – Żaden sąd nie przyzna ci Rity. Musisz ze mną zostać.

Co było w jej wzroku? Nienawiść? To niemożliwe. Zbił ją z tropu. Nie bolały jej złamana ręka i połamane żebra. Bolało ją to, że pokrzyżował jej plany. Nie chciała zrozumieć, że nie wolno jej planować bez niego. Najwyższa pora, by to wreszcie pojęła. Wstał.

– Kocham cię, Kate.

Jakim prawem patrzyła na niego z takim przerażeniem? Jakim prawem powiedziała:

– Oszalałaś.

13

Jechał przez miasto główną ulicą. Najchętniej odłożyłby dyskretnie belki i kozły na stos obok budynku policji, ale było już po festynie i stos usunięto.

Z *general store* zadzwonił do spółki telefonicznej i zgłosił zerwaną linię. Obiecali mu, że jeszcze tego samego dnia przyślą ekipę naprawczą.

W domu zrobił inspekcję pokoi. W sypialni rozsunał zasłony i otworzył okno, pościelił łóżko i złożył porządnie koszulę nocną i piżamę. Zatrzymał się na progu gabinetu Kate. Posprzątała po pracy. Na biurku nie było niczego poza komputerem, drukarką i stosem zadrukowanego papieru. Książki i dokumenty, które wcześniej zaścielały podłogę, leżały teraz uporządkowane na półkach. Wyglądało to, jakby skończyła nie tylko książkę, lecz także pewien rozdział swojego życia. Na tę myśl posmutniał. Pokój Rity pachniał małą dziewczynką. Zamknął oczy i zaciągnął się jego zapachem, powąchał misia, którego nie wolno było prać. Jej szampon, jej pot. W kuchni włożył do zmywarki brudne naczynia i garnki. Reszty nie ruszył: nie uprzątnął swetra Kate, jakby mogła w każdej chwili wejść i go włożyć, ani farbek, jakby Rita mogła w każdej chwili usiąść przy stole i zabrać się do malowania. Było mu zimno. Podkreślił ogrzewanie.

Wyszedł przed dom. Żaden sąd nie odbierze mu Rity. W najgorszym razie znajdzie dobrą prawniczkę, która postara się, by przyznano mu pokaźną sumę na utrzymanie. Wówczas będzie mieszkał tu w górach tylko z córką. Jej matka będzie mieszkała w mieście oddalonym o pięć godzin jazdy samochodem. Kate chce wojny? Jeszcze będzie miała za swoje.

Spojrzał na las, łąkę z jabłoniąmi i krzewami bzu, sadzawkę, wierzbę płaczącą. Nie będzie wspólnej jazdy na łyżwach po zamrożonej sadzawce? Nie będzie wspólnego saneczkowania po zboczu na drugim brzegu?

Nawet jeśli Rita da sobie bez Kate radę emocjonalnie, a on – finansowo, to nie chciałby przecież stracić świata, który tego lata dawał mu czasem poczucie, jakby od zawsze do niego należał i że tak już na zawsze pozostanie.

Wymyśli plan, jak go zatrzymać. Musi mu się udać, ma przecież taką dobrą passę! Jutro pojedzie po Ritę. Za kilka dni razem odbiorą ze szpitala Kate. Staną przed wejściem z kwiatami i wielką kartką „Witaj w domu”. Z miłością.

Poszedł do samochodu, zdjął z przyczepy belki i kozły i zaniósł je na placyk za kuchnią, na którym piłował i rąbał drwa do kominka. Aż do zmierzchu wyjmował gwoździe z kozłów, przepiłowywał i rąbał belki na polana. W świetle padającym z kuchni dołożył drewno do stosu przygotowanego na zimę. Zdjął część leżących na stosie polan, na ich miejsce położył nowe i przykrył je starymi.

Napełnił koszyk nowymi i starymi polanami i postawił przed kominkiem. Zadzwoił telefon – spółka telefoniczna z wiadomością, że linia znów jest czynna. Wybrał numer szpitala, w którym powiedziano mu, że Kate i Rita śpią i nie ma powodów do niepokoju.

Potem rozpałił w kominku. Usiadł i przyglądał się, jak polana zajmują się ogniem, palą się, żarzą i rozpadają. Na niebieskim polanie przeczytał LINE, fragment białego napisu na belce POLICE LINE DO NOT CROSS. Ogień stopił farbę, zatarł napis i doszczętnie go strawił.

Za kilka tygodni będą tak siedzieli z Kate i Ritą. Kate

przeczyta na jednym z polan NOT albo DO i przypomni sobie dzisiejszy dzień. Zrozumie, jak bardzo on ją kocha, przysunie się do niego i mocno przytuli.

Obcy spotkany nocą

1

– Rozpoznał mnie pan, prawda? – zagaił, gdy tylko usiadł obok. Był ostatnim z pasażerów, stewardesy zamykały właśnie drzwi.

– Już się... – Wcześniej staliśmy wraz z innymi pasażerami przy barze w lounge. Deszcz bębnił o szyby, wylot z Nowego Jorku do Frankfurtu coraz bardziej się opóźniał, a my próbowaliśmy zabić czas i odpędzić frustrację, popijając szampana i opowiadając sobie o spóźnionych lotach i przegapionych okazjach.

Nie pozwolił mi dokończyć.

– Zobaczyłem to w pańskich oczach. Znam to spojrzenie: najpierw pytające, potem wiedzące, wreszcie – przerażone. Skąd pan wie...? Głupie pytanie, w końcu moja historia trafiła do wszystkich gazet i kanałów telewizyjnych.

Przyjrzałem mu się nieco dokładniej. Brunet około pięćdziesiątki, o włosach mocno przyprószonych siwizną, wysoki i szczupły, miła, inteligentna twarz. Przy barze nie zabawiał współpasażerów żadną historią; moją uwagę zwrócił tylko jego garnitur z gniecionego, miękko układającego się materiału.

– Przykro mi. – Dlaczego powiedziałem, że mi przykro? – Nie poznałem pana. – Samolot oderwał się od

ziemi i wznosił się do góry pod ostrym kątem. Lubię te minuty, gdy plecy wbijają się w oparcie siedzenia, żołądek się kurczy i całe ciało czuje, że leci. Patrzyłem na morze świateł. Potem samolot zatoczył duży łuk – przez chwilę widziałem tylko niebo – i wreszcie znalazł się przede mną ocean, w którym odbijał się blask księżyca.

Mój sąsiad roześmiał się cicho.

– Raz po raz ktoś mnie zagaduje, a ja zaprzeczam, że to ja. Teraz chciałem chwycić byka za rogi, a tu się okazuje, że nie ma żadnego byka. – Znów się roześmiał. – Werner Menzel. Dobrego lotu!

Gdy podano aperitif, wymieniliśmy kilka zdawkowych uwag, podczas kolacji oglądaliśmy filmy. Nie byłem przygotowany na to, że gdy zgaśnie oświetlenie kabiny, zwróci się do mnie i spyta: – Czy jest pan bardzo zmęczony? Wiem, że nie mam prawa się naprzykrzać, ale bardzo bym chciał opowiedzieć panu moją historię... To nie potrwa długo. – Urwał i znów usłyszałem jego cichy śmiech. – Nieprawda, to potrwa długo, ale byłbym panu bardzo wdzięczny. Wie pan, do tej pory moją historię opowiadały tylko media. Ale ona nie była moja, tylko ich. Mojej jeszcze nie ma. Muszę się dopiero nauczyć ją opowiadać. A najlepiej nauczę się, opowiadając komuś, kto jeszcze nigdy jej nie słyszał, obcemu spotkanemu nocą.

Nie należę do osób, które cierpią w samolocie na bezsenność. Lecz nie chciałem być nieuprzejmy. Poza tym sposób, w jaki mój sąsiad mówił o obcym spotkaniem

nocą, miał rodzaj ironicznej czułości, która mnie wzruszyła i uwiodła.

2

– Wszystko zaczęło się przed wybuchem wojny w Iraku. Dostałem posadę w Ministerstwie Gospodarki i zacząłem być zapraszany na spotkania młodych kolegów z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Spraw Zagranicznych i uniwersytetu. To było coś w rodzaju nieformalnego klubu ludzi, którzy cenili sobie dobrą książkę i ciekawą rozmowę, wówczas w Berlinie znów wchodziły w modę salony. Spotykaliśmy się co cztery tygodnie o ósmej, dyskutowaliśmy, wypijaliśmy kilka butelek wina, a o jedenastej nierzadko dołączały do nas nasze dziewczyny, wracające z pracy, koncertu czy teatru; ironizowały na temat powagi, z jaką wiedliśmy nasze dysputy, i cieszyły się, że już dobiegają końca. Gdy robiło się późno, często atmosfera stawała się wyjątkowo swobodna.

Czasem na swoje przyjęcia, nie na te ważne, lecz na te z udziałem zagranicznych pisarzy i artystów, zapraszali nas dyplomaci. Z początku ja i moja dziewczyna trzymaliśmy się tych osób, które już znaliśmy. Nie umknęło jednak naszej uwagi, że nieznajomi cieszyli się, gdy nawiązywaliśmy z nimi rozmowę. Oczywiście znajdowali się wśród nich i tacy, którzy byli zbyt

znaczący, byśmy mogli wzbudzić ich zainteresowanie, a także tacy, którzy udawali, że coś znaczą. Ale to były wyjątki. Dawniej nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że na przyjęciach można się dobrze bawić.

Powinienem był się zorientować... zauważyłem, że attache ambasady Kuwejtu flirtuje z moją dziewczyną. Czy z tego powodu miałem zacząć go unikać? Ten flirt był rodzajem zabawy, attache nie tyle zalecał się do mojej dziewczyny, ile podziwiał jej urodę. Ja też tak flirtuję, gdy jakaś kobieta mi się podoba – nie po to, by ją zdobyć, ale by wiedziała, że jest atrakcyjna. Moja dziewczyna podjęła flirt, nie jako zachętę, a raczej żeby pokazać attache, że jego komplementy sprawiają jej przyjemność.

Do tej pory siedział wyprostowany, z rękami na bocznych oparciach. Teraz odchylił się do tyłu.

– Była piękna. Jak kochałem jej blond włosy! Ich jasne i ciemne pasma, fale, w których opadały na ramiona, światło, którym opromieniały jej twarz. „Mój anioł”, mogłem powtarzać wtedy w nieskończoność. „Mój anioł”. A jej figura! – Znowu usłyszałem jego cichy śmiech. – Wie pan, jakie okrutne potrafią być wobec siebie kobiety. Zresztą może rzeczywiście miała dość toporne łydki. Ale mnie się podobały. Przydawały jej blond piękności czegoś ziemskiego. Jakoś pasowały do tego, że jej ojciec pracował na kolei, dziadek był rolnikiem, a ona sama – energiczną lekarką. Podobało mi się też to, że dzięki kaprysowi natury miała jakby mniej skóry między nosem a górną wargą, co sprawiało, że jej usta często były lekko

otwarte. Dodawało jej to tajemniczego uroku, przypominała dziecko, które dziwi się światu. Lecz gdy się koncentrowała i zamykała usta, na twarzy malowało się całe jej zdecydowanie. Ach, i ten jej chód... Zna pan tę francuską piosenkę: *Elle ne marche pas, elle danse?* – Cicho zanucił melodię.

Nie powinniśmy byli przyjmować zaproszenia attache. Lecz moja dziewczyna lubiła dalekie wojaże, a ja, choć nie lubię podróżować... Czy to nie groteskowe? Nie lubię podróży, wówczas też wolałbym zostać w domu, a teraz, dlatego że swego czasu wybrałem się w tamtą podróż, muszę podróżować, by ocalić życie. Sądziłem, że powinienem z nią pojechać, i cieszyłem się, że mimo wszystko nie jesteśmy głupimi turystami, lecz mamy na miejscu kogoś, kogo znamy, i adres do kontaktu. Nikt nas nie ostrzegał, bo i z jakiej racji? Przyjęliśmy więc zaproszenie i na Wielkanoc poleciliśmy do Kuwejtu.

Zatrzymaliśmy się w hotelu, a nie w kompleksie budynków, dziedzińców i ogrodów, w których mieszkali attache i jego klan. Uważałem, że zajmując się nami, i tak wyświadcza nam wielką przysługę. Ciągłe nam towarzyszył, często też zabierał ze sobą braci i przyjaciół. Widzieliśmy pustynię, pola naftowe, wypłynęliśmy z rybakami w morze, zwiedziliśmy uniwersytet i parlament, byliśmy na wyścigach wielbłądów, gdzie obstawiliśmy zakład i wygraliśmy. To nie był awanturniczy urlop, lecz wakacje dla bogaczy: mają tam infrastrukturę jak na Florydzie, restauracje zatrudniają francuskich kucharzy,

pikniki urządza się przy stolikach nakrytych obrusami, porcelaną i srebrem. Wożono nas limuzynami. Byliśmy pod wrażeniem. Ale cieszyłem się, gdy wieczorami wracaliśmy do naszego apartamentu. Albo gdy siedzieliśmy rankiem na balkonie i oglądaliśmy wschód słońca. Tyle razy – nad Morzem Śródziemnym lub Północnym – widzieliśmy słońce, które zstępuje do morza, lecz jeszcze nigdy, jak z niego wstaje.

3

Położył mi dłoń na ramieniu.

– Jest pan bardzo cierpliwy. Może napijemy się czerwonego wina? Zamawiał pan wcześniej Bordeaux, ale lepszy jest Pinot Noir z Russian River Valley. – Nie czekając na moją odpowiedź, zadzwonił na stewardesę i poprosił ją, by przyniosła nam całą butelkę. Sprawiał wrażenie rześkiego, jakby ożywił się pod wpływem wspomnień.

– Któregoś ranka samochód nie mógł po nas przyjechać. Właśnie mieliśmy wziąć taksówkę, gdy na podjeździe natknęliśmy się na dwóch mężczyzn, z którymi podczas śniadania wymieniliśmy się gazetami. Rano siedzieli dwa stoliki od nas. Powiedzieli, że jadą do miasta, i zaproponowali, że mogą nas podwieźć. Wsiedliśmy, moja dziewczyna z przodu, ja z tyłu, i ruszyliśmy. Gdy samochód zatrzymał się na światłach,

ten, który siedział za kierownicą, poprosił mnie, bym wrzucił jego list do skrzynki. Dlaczego mnie, spyta pan, dlaczego nie poprosił swego znajomego ani sam nie wysiadł. Ten drugi kulał, od razu to dostrzegłem, kierowca siedział po lewej stronie, skrzynka była po prawej, by wrzucić list, wystarczyłoby właściwie wychylić się przez okno. Wysiadłem, lecz w tej samej chwili zapaliło się zielone światło i samochód ruszył. Był duży ruch, myślałem, że kierowca nie chce blokować drogi, robi rundę i zaraz po mnie wróci.

Zamilkł. Zgasił małe lampki nad naszymi fotelami. Czyżby nie chciał, bym widział jego ból? Nic nie mówiłem, chwyciłem go za rękę i mocno uścisnąłem.

– Ale samochód nie wrócił. Stałem tam i czekałem, a po półgodzinie zadzwoniłem do attache. Attache zadzwonił do ministra, a minister od razu wysłał policję, kazał zablokować ulice, zaostrzyć kontrole na lotnisku i zaalarmować straż przybrzeżną. Zawieziono mnie na policję, pokazywano mi setki zdjęć, ale nie rozpoznałem na nich żadnego z tamtych dwóch. Potem przyjechali ambasador Niemiec i jego żona i zabrali mnie do swojej rezydencji. Nie chcieli, bym został sam w takiej sytuacji. Wszyscy obdarzali mnie uwagą, byli przyjaźni, troskliwi.

Pierwszej nocy nie zmrużyłem oka. Lecz nowy dzień napęłnił mnie odwagą i wstałem pełen nadziei. Wstawałem pełen nadziei i przez kilka następnych dni. W końcu musiałem przyznać, że jest źle. Ambasador opowiedział mi, co wie na temat handlu europejskimi

kobietami na Bliskim Wschodzie. Gdy wróciłem do Niemiec, zacząłem czytać wszystko, co tylko dało się znaleźć na ten temat.

Kiedyś istniały, nazwijmy to, punkty przeładunkowe, gdzie handlowano uprowadzonymi kobietami – można tam było odzyskać uprowadzoną kobietę drogą licytacji. Dziś najpierw nagrywa się potajemnie film, zainteresowani oglądają go w internecie, licytują i zamawiają także przez internet. Dopiero wtedy kobieta jest porywana. Gdy jej mąż, chłopak albo policja zorientują się w końcu, co się stało, wszystkie ślady są już dawno zatarte.

Pewnie chce pan wiedzieć, co dzieje się z uprowadzonymi kobietami. Proszę pamiętać, że mówię o towarze i cenach z najwyższej półki. Jeśli kobieta okaże gotowość do współpracy, nie stanie jej się żadna krzywda. Jeśli nie, kilka razy zmienia właściciela, by w końcu wylądować w jakimś burdelu w Mombasie.

Spróbowałem wczuć się w jego sytuację. Czym jest żal po kobiecie, której pozostaje tylko życzyć, by było jej dobrze w ramionach innego? Którą w najlepszym razie można odzyskać dopiero wtedy, gdy nie zechce jej nawet pijany marynarz w Mombasie? Jak długo można oplakiwać jej utratę? Jak długo się czeka?

– Rok później wybuchła wojna w Iraku. Nie przypuszczałem, że będzie miała coś wspólnego ze mną – ani ja z nią. A jednak... Z obawy przed wojną bogate rodziny wyemigrowały z Kuwejtu do Los Angeles, Cannes, Genewy i innych miast, w których miały swoje domy.

W Genewie udało jej się uciec. Wyszła przez okno, pokonała ogrodzenie, zatrzymała przejeżdżający samochód i od razu zadzwoniła do mnie z komórki kierowcy. Poleciałem do Genewy pierwszym samolotem. Bała się, że będą jej szukać, i nie chciała być sama. Kierowca samochodu, student, zawiózł ją do czytelni biblioteki uniwersyteckiej. Siedziała tam i czekała na mnie.

Zna pan bibliotekę uniwersytecką w Genewie? Wspaniały budynek, czytelnia wygląda jak z albumu z przełomu wieków. Siedziała w środku pierwszego rzędu, wyzywająco ubrana, uperfumowana, z mocnym makijażem. Podszedłem do jej stolika. Miała spuszczoną głowę. Gdy dotknąłem jej ramienia, podniosła wzrok i krzyknęła. Dopiero wtedy zobaczyła, że to ja.

Z głośników rozległ się głos siedzącego w kokpicie pilota. Zapowiadał turbulencje i prosił, by koniecznie zapiąć pasy bezpieczeństwa. Stewardesy chodziły między rzędami, sprawdzając, czy pasażerowie zastosowali się do poleceń pilota, budziły śpiących, jeśli ich pasy były przykryte kocem, i zbierały puste butelki.

Mój sąsiad urwał i przyglądał się zamieszaniu na

pokładzie.

– Chyba nie żartują. Jeszcze nigdy nie widziałem, by w pierwszej klasie stewardesy budziły pasażerów. – Spojrzał na mnie. – Boi się pan, gdy podczas lotu robi się niebezpiecznie? Wierzy pan w Boga? Że jeśli pan spadnie, to prosto w jego ręce? Ja nie wierzę w Boga. Nie wierzę w Boga i nie wiem, czy jeszcze wierzę w sprawiedliwość i prawdę. Kiedyś myślałem, że prawdę mówią ci, którym zostało już niewiele życia. Ale może właśnie oni są najgorszymi kłamcami? Jeśli nie podrasują swego wizerunku teraz, to kiedy? Prawda... Czym jest prawda niepotwierdzona dokumentem od sędziego, prawda bez pieczęci? I czym jest zatwierdzone urzędowo kłamstwo? Czym jest prawda, która sieje tylko zamęt? Prawda niemożliwa do ustalenia? – Znowu usłyszałem jego cichy, łagodny śmiech. – Przepraszam pana, jestem trochę skołowany. Boję się, gdy podczas lotu robi się niebezpiecznie, a to, co się teraz dzieje, pachnie niebezpieczeństwem. Lecz już przestaję rozprawiać o prawdzie jak jakiś Piłat czy Raskolnikow. Bo jeszcze pan uzna, że nie ma sensu mnie w ogóle słuchać.

Potem samolot się zatrząsł, jakby czyjaś wielka ręka chwyciła go i zaczęła nim podrzucać. Potrząsała nim, wypuszczała, łapała i znowu wypuszczała. Ciało przytrzymał pas bezpieczeństwa, ale czułem się, jakby wnętrzności zaczęły wędrować po całym ciele. Przycisnąłem ręce mocno do brzucha. W rzędzie obok, od którego dzieliło nas przejście, wymiotowała kobieta,

mężczyzna siedzący przede mną wzywał pomocy, a za mną spadały na podłogę bagaże. Dopiero gdy wszystko się uspokoiło, ogarnął mnie strach – bałem się tego, co właśnie się wydarzyło, i o to, co jeszcze mogło się wydarzyć. Niebezpieczeństwo nie minęło. Samolot raz jeszcze spadł w dół, a siła grawitacji raz jeszcze szarpnęła całym moim ciałem i wnętrznościami.

5

– Tak właśnie się z nią czułem. Trzęsło nami i szarpało. To było jak trucizna. Przez pewien czas panował spokój, ale nie ufaliśmy sobie. Obserwowaliśmy się, przyczajeni, do chwili, gdy któreś z nas znów nie wytrzymało. Wtedy rozprawialiśmy się ze sobą – najpierw ostro, na zimno, a potem głośno, po prostaku.

Znów coś mówił? O czym? Trzęsło i szarpało? Co takiego?

– Tak to czułem. Jak burza, która trzęsła właśnie naszym samolotem. To było silniejsze od nas. W czytelni rzuciliśmy się sobie w ramiona i trzymałem ją w objęciach przez całą noc i przez wszystkie następne noce. Zamieszkaliśmy razem, zrobiliśmy krok, na który nie mogliśmy się zdobyć wcześniej, i mieliśmy nadzieję, że wszystko się ułoży. Ale nie chciała ze mną sypiać – z początku myślałem, że to trauma, jak po gwałcie, i że potrzebuje czasu, uwagi i czułości, lecz potem zacząłem

zadawać sobie pytanie, czy mnie jeszcze kocha. Może jakaś część jej serca została z attache? Może wcale nie było jej z nim tak źle?

– Z attache?

– Tak, to on kazał ją uprowadzić.

– Attache? Czy został oskarżony?

– Żeby lecieć z Genewy do Berlina, potrzebowała tymczasowego dowodu tożsamości. Pojechaliśmy do Bema, do ambasadora Niemiec, i wszystko mu opowiedzieliśmy. Po rozmowie ze szwajcarską policją poradził nam, byśmy zwrócili się do policji niemieckiej. Policja niemiecka skierowała nas z powrotem do szwajcarskiej. Nikt nie chciał zadzierać z Kuwejtem i ryzykować politycznego konfliktu. Mogliśmy zwrócić się do mediów, niewykluczone, że reportaż w „Bildzie” albo wywiad w „Sternie” skłoniłyby policję i Ministerstwo Spraw Zagranicznych do działania. Ale nie chcieliśmy wydawać się na pastwę dziennikarskiej ciekawości.

– Podejrzewał pan swoją dziewczynę, chociaż...

– Chociaż od niego uciekła? – Parę razy skinął głową.

– Rozumiem pańskie pytanie. Sam je sobie bez przerwy zadawałem. Ale zniewolenie, porwanie, wykorzystywanie może się okazać atrakcyjne seksualnie, zarówno dla kobiet, jak i dla mężczyzn. Flirtowali ze sobą. Musiała uciekać, bo nie chciała spędzić życia w haremie. Ale to nie znaczy, że nie mogła z nim mieć seksu swojego życia. Nie kończyło się na tym, że nie chciała ze mną sypiać, a ja byłem podejrzliwy. Ona też mnie podejrzewała.

Zabierając ją w podróż do Kuwejt, naraziłem ją na niebezpieczeństwo, a gdy została porwana, jej zdaniem nie zrobiłem wszystkiego, co w mojej mocy.

Nagle zapaliły się światła w kabinie. Stewardesy zaczęły sprzątać wymiociny po drugiej stronie przejścia, uspokajać lamentującego pasażera, który siedział przede mną, i zbierać bagaże, które spadły na podłogę. Mój sąsiad mówił dalej, lecz ja skupiłem się na warkocie silników, w który wkradł się fałszywy ton, i przestałem go słuchać. Wtedy nagle powiedział:

– Ale ona już nie żyła.

– Nie żyła?

– To były tylko dwa piętra, myślałem, że sobie coś złamała, nogi, rękę. Ale to była śmierć na miejscu. Uderzyła głową o bruk.

– Jak...

– Popchnąłem ją, to prawda, ale ona rzuciła się na mnie z pięściami. Chciałem się tylko obronić, nie pozwolić, by znów mnie uderzyła. Wiem, że nie powinienem był jej popchnąć. Nie powinniśmy byli się kłócić. Ale wtedy dużo się kłóciliśmy. Właściwie nie robiliśmy nic innego. Nie po raz pierwszy doszło między nami do rękoczynów. Ale po raz pierwszy stało się to na balkonie, moja dziewczyna była wysoka, a balustrada – niska. Chwyciłem ją za rękę, próbując przytrzymać, ale odepchnęła mnie. – Pokręcił głową. – Myślę, że nie wiedziała, co robi, i nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Ale pewności nie mam. A jeśli wołała

umrzeć, niż dać mi się uratować?

6

Znów uścisnąłem jego dłoń. Jak można żyć z takim pytaniem? Lecz nagle zorientowałem się, że fałszywy ton wkradł się nie tylko w warkot silników.

– Wspominał pan, że pańska historia była we wszystkich gazetach i na wszystkich kanałach. Media nie interesują się przecież tym, że ktoś spadł z balkonu!

– Była jeszcze kwestia pieniędzy – odpowiedział dopiero po chwili.

– Pieniądzy?

– No tak – mówił teraz powoli, starannie dobierając słowa. – Attache powiedział jej, że ją ode mnie kupił. Nie uwierzyła mu, a jednak na pewno nie dawało jej to spokoju, bo czasami o to pytała. Rozmawiała też na ten temat z przyjaciółką. Po jej śmierci przyjaciółka opowiedziała o tym policji.

– I to wszystko?

– Policja odkryła pieniądze na moim koncie. Pewnego dnia dostałem trzymilionowy przelew. Natychmiast wydałem zlecenie, by przelać je z powrotem na konto nadawcy. Ale pieniądze zostały wpłacone w gotówce gdzieś w Singapurze, Delhi czy Dubaju i nie można ich było zwrócić.

– Ktoś tak po prostu wpłacił na pańskie konto trzy

miliony?

Westchnął.

– Gdy się poznaliśmy, attache urządzał sobie czasem żarty i odgrywał przed nami beduina, który nie porzucił swych starych zwyczajów. Ach, piękna pani, blondynka! Sprzedać kobieta? Kupić wielbłąd? Brałem udział w tej zabawie, handlowaliśmy i targowaliśmy się. Cenę wielbłąda oszacowaliśmy na trzy tysiące, a ja wywindowałem cenę za moją dziewczynę, utrzymując, że jest warta tysiąc wielbłądów. To była zabawa.

– Zabawa? A potem powiedział pan okay, roześmiał się i podał attache rękę na znak dobitego targu? Nie bał się pan, że w Kuwejcie ta zabawa zostanie potraktowana poważnie? – Nie wierzyłem własnym uszom.

– Czy się bałem? Nie, nie bałem się. Byłem ciekaw, czy będzie gotów grać dalej i pokaże mi tysiąc wielbłądów lub zaoferuje w zamian konie wyścigowe czy sportowe samochody. Nie czułem strachu, dostarczało mi to raczej przyjemnej podniety. – Znów położył mi dłoń na ramieniu. – Wiem, że popełniłem straszliwy błąd. Ale gdyby znał pan attache, wiedziałby pan, o czym mówię. Miał za sobą edukację w prywatnej szkole w Anglii, był wykształcony, obyty – naprawdę myślałem, że gramy w niegroźną interkulturową grę.

– Ale gdy pańska dziewczyna znikła... W każdym razie, z chwilą gdy wpłynęły pieniądze, wiedział pan już, kto ją porwał. Kiedy pan je dostał?

– Gdy wróciłem z Kuwejtu, pieniądze były już na

moim koncie. Co miałem robić? Polecieć do Kuwejtu i powiedzieć attache, żeby je sobie zabrał i oddał mi kobietę? Pójść na skargę do emira, gdyby attache roześmiał mi się w twarz? Poprosić ministra spraw zagranicznych, by z nim pogadał? A może powinienem był najać kilku facetów z rosyjskiej mafii i wdrzeć się do posiadłości, w której prawdopodobnie ją przetrzymywał? Wiem, że prawdziwy mężczyzna, który kocha swoją kobietę, zrobiłby wszystko, by ją stamtąd wydostać. Choćby za cenę śmierci. Lepiej umrzeć jako przyzwoity człowiek, niż żyć jako tchórz. Wiem też, że trzy miliony wystarczyłyby aż nadto do opłacenia Ruskich z kałasznikowami, helikopterem i czym tam jeszcze... Ale tak jest na filmach. To nie mój świat. Faceci z mafii zabraliby mi pieniądze, broń by zardzewiała, a helikopter miałby awarię przekładni.

7

Zapomniałem o silnikach. Lecz pilot również usłyszał ów fałszywy ton i może zobaczył też, jak zapalają się światełka ostrzegawcze, a wskaźniki niebezpiecznie się wychylają. Znow rozległ się głos z kokpitu, tym razem z wiadomością, że za godzinę wylądujemy w Rejkiawiku. Nie ma powodów do niepokoju. Mamy małą awarię, która wprawdzie nie stoi na przeszkodzie dalszemu lotowi do Frankfurtu, lecz ze względów bezpieczeństwa maszyna

zostanie poddana oględzinom w Rejkiawiku.

Wiadomość o przymusowym lądowaniu zaniepokoiła pasażerów. Nie ma powodów do niepokoju? Dlaczego lądujemy, skoro moglibyśmy lecieć dalej? A może jednak dalszy lot nie jest możliwy? Może sytuacja jednak jest poważna? Niektórzy opowiadali sobie, co wiedzą o Rejkiawiku i Islandii, o jasnych latach i ciemnych zimach, gejzerach, owcach, kucach islandzkich i typowych dla tamtejszego krajobrazu porostach. Ustawiano do pionu oparcia siedzeń, składano stoliki i monitory, wzywano stewardesy. Pasażerowie ożywili się, stali się rozmowni i ruchliwi. Do chwili, gdy ktoś zobaczył, jak z jednej z turbin wydobywa się czarny dym. Wiadomość krążyła od pasażera do pasażera, a ten, kto przekazał ją sąsiadowi, zaraz milkł. Wkrótce w samolocie zapanowała cisza.

Mój sąsiad wyszeptał:

– Może podczas burzy piorun trafił w turbinę. Słyszałem, że to się często zdarza.

– Tak. – Ja też zniżyłem głos do szeptu. Wydawało mi się, że słyszę chrzęst turbiny, jakby coś w nią wpadło, a ona na próżno próbowała zemleć to coś na pył. Jakby była zraniona, wyczerpana i obracała się ostatkiem sił. Bałem się, a dźwięki wydawane przez zranioną maszynę poruszyły mnie, jakby były jękami zranionego człowieka.

– Co pan zrobił z pieniędzmi?

– Wiem, że nie wolno mi było ich ruszać, że nie powinienem był ich tknąć. Ale mam dobrą rękę do pieniędzy. Nigdy nie byłem bogaty, lecz to co miałem,

zawsze korzystnie lokowałem, przebijałem indeksy giełdowe i wychodziłem na tym lepiej niż wszelkie fundusze inwestycyjne. – Podniósł ręce, jakby w geście usprawiedliwienia. – Tym razem miałem naprawdę dużo pieniędzy. Zabrałem się więc za ich pomnażanie i w trzy lata z trzech milionów zrobiło się pięć. Co by mi z nich przyszło, gdyby przez cały ten czas na siebie nie pracowały? Nic. Zna pan przypowieść o talentach? O panu, który każdemu ze swych trzech służących powierza dziesięć talentów, a po powrocie z podróży nagradza dwóch z nich za to, że umiejętnie obracali pieniędzmi, i karze tego, który je zakopał? Temu, kto ma, będzie dane, a temu, kto ma niewiele, będzie odebrane i to. Tak już jest.

Ale kiedy stanąłem przed sądem, dotarło do mnie, że inni tego nie rozumieli. – Pokręcił głową. – Sędziowie traktowali mnie tak, jakbym faktycznie sprzedał swoją dziewczynę. Bo dlaczego w ogóle skorzystałem z tych pieniędzy i zacząłem nimi obracać? Tak jakbym rzeczywiście był winien jej śmierci. Prokurator uważał, że wszystkiego się dowiedziała i groziła mi albo mnie szantażowała, lecz nie miał na to żadnych dowodów. Wtedy do akcji wkroczyła sąsiadka.

8

Nie widziałem turbiny ani czarnego dymu, lecz

słyszałem chrzęst. Nagle chrzęst ustał i po samolocie przeszło jakby zbiorowe westchnienie. Z turbiny buchnął ogień.

Mój sąsiad zadrżał i obiema rękami złapał się oparcia.

– Nic na to nie poradzę, boję się latać, choć sam już nawet nie pamiętam, ile razy obleciałem ziemię. Nie jesteśmy stworzeni do tego, by latać po niebie i spadać na ziemię lub do morza z wysokości dziesięciu tysięcy metrów. Z drugiej strony, mój rozsądek całkowicie zgadza się na śmierć w katastrofie lotniczej. Człowiek wie, że to już zaraz, wypija jeszcze jeden kieliszek szampana, żegna się z życiem, nagle ryms – i po wszystkim. – Znowu mówił szeptem, ale przy „ryms” podniósł głos i klasnął w dłonie. Gdy przyszła stewardesa, zamówił szampana. – Dla pana też? – Pokręciłem głową.

Gdy stewardesa mu naląła, mówił dalej.

– Wie pan, w nowym domu, w nowej dzielnicy zaczynam czuć się dobrze dopiero wtedy, gdy się oswoję z ludźmi. Gdy już wiem co nieco o życiu kioskarki i nie muszę jej co rano powtarzać, co chcę kupić. Gdy na tyle dobrze znam aptekarza, że lekarstwo, które jest na receptę, dostanę od niego i bez niej. Gdy we włoskiej restauracji o kilka domów dalej przyrządzą dla mnie makaron, którego nie mają w karcie.

Sąsiadka, która ze swojego balkonu ma widok na mój balkon, to starsza pani. Chodzenie sprawia jej trudność, nie mówiąc już o noszeniu siatek, więc często pomagałem jej przechodzić przez ulicę i nieść torby z zakupami.

Lubimy się. Gdy proces był już w toku, zadzwoniła do mnie, zaprosiła do siebie i powiedziała, że najprawdopodobniej się myli, lecz przed sądem może powiedzieć tylko o tym, co widziała, i że dla niej wyglądało to tak, jakbym nie tylko szturchnął swoją dziewczynę, lecz także zepchnął ją z balkonu. Czy to naprawdę ja byłem tym mężczyzną, który tamtego nieszczęsnego wieczoru bił się z moją dziewczyną, spytała. Twierdziła, że mnie nie poznała.

Jaką szansę miałyby mój obrońca w obliczu zeznań czarującej starszej pani, byłej nauczycielki, w pełni władz umysłowych, która w dodatku darzyła mnie sympatią? Mało tego, pojawił się jeszcze stary przyjaciel mojej dziewczyny, znany dziennikarz, który postarał się o to, żeby przypadek trafił na pierwsze strony gazet; swoim artykułem wystawił mi jak najgorsze świadectwo. Wie pan, o czym mówię, zna pan tych „starych przyjaciół”? Ze szkoły czy nawet przedszkola? Facetów, którzy wprawdzie nigdy nie mieli u kobiety żadnych szans, lecz na każdym kroku dają jej dowody swego przywiązania i są na każde jej zawołanie? Do tego stopnia, że zaczyna się zastanawiać, dlaczego jej partner nie jest jej równie oddany i usłużny jak stary przyjaciel? Nie lubił mnie już wcześniej, gdy nic o sprawie nie wiedział. Wystarczało mu, że byłem jej partnerem.

Nie chciałem iść do więzienia. Zostałem oskarżony o nieumyślne spowodowanie śmierci, dlatego nie zamknięto mnie w areszcie śledczym i nie skonfiskowano pieniędzy.

Ulokowałem je na koncie na Wyspach Dziewiczych i wieczorem w dniu poprzedzającym zeznanie starszej pani wyjechałem z Niemiec.

Nie dawało mi to spokoju.

– Nie kochał pan swojej dziewczyny? Nie powiedział mi pan nawet, jak miała na imię.

– Ava. Jej matka uwielbiała Avę Gardner. Była piękna. Już przedtem mieliśmy problemy, ale dopiero po tej historii pojawiły się te naprawdę poważne. Lubilem chodzić z nią na przyjęcia, premiery czy chociażby do restauracji, jeździć z nią kabrioletem po mieście i za miasto, spacerować po ulicach, spędzać urlopy w hotelu przy plaży. Byliśmy reprezentacyjną parą i lubiliśmy się pokazywać. Wydaje się to panu trochę powierzchowne? Pachnie nie tyle namiętnością, ile próżnością? To nie było powierzchowne. Oboje kochaliśmy dobre życie. Lubiliśmy, kiedy świat był piękny, a my z wdziękiem weń wkraczaliśmy. Mało powiedzie „lubiliśmy” – wyjątkowo to kochaliśmy. Nasza namiętność była inna, nie z tych, co to na przemian śmiech i łzy, żaden tam Sturm und Drang. Ale to była prawdziwa, głęboka namiętność.

– Dlaczego nie odszedł pan, gdy przestało się wam układać? Dlaczego nie pozwolił pan Avie odejść?

– Sam tego nie rozumiem. Gdy zaczęła mnie przesłuchiwać, obwiniać i oskarżać, nie mogłem jej na to pozwolić. Musiałem się bronić i musiałem ją atakować. Chciałem, by miała do mnie szacunek.

– Czy poprosił ją pan o przebaczenie?

– Chciała, bym ją poprosił o przebaczenie.

Czekałem, ale nie odpowiedział na moje pytanie. Nim zdążyłem podjąć decyzję, czy powtórzyć pytanie, czy go zaniechać, samolot z łagodnym szarpnięciem wylądował na pasie lotniska w Rejkiawiku.

9

Stewardesa poinformowała nas, że jesteśmy w Rejkiawiku, i podała lokalny czas: druga w nocy. Pasy startowe były puste, budynki lotniska tonęły w ciemności, a samolot zbliżał się do płyty postojowej. Poproszono nas, byśmy zabrali ze sobą bagaż podręczny, może polecimy dalej inną maszyną.

Również w tej sytuacji zadbano o zachowanie wszelkich form. Nas, pasażerów pierwszej klasy, wyprowadzono jako pierwszych, najpierw z pokładu górnego na dolny, a następnie na zewnątrz. Pasażerowie dwóch pozostałych klas musieli poczekać na swoją kolej. W lounge, które otwarto o tej porze specjalnie dla nas, pasażerów pierwszej i biznes klasy, ulokowano razem. I znów przy barze znaleźli się ci sami pasażerowie pierwszej klasy, którzy stali przy barze w Nowym Jorku. Nie było szampana i jeśli ktoś nie miał do opowiedzenia jakiejś historii o katastrofie lotniczej albo o tym, jak się o nią otarł, apatycznie słuchał historii opowiadanych przez pozostałych. Dlaczego miałyby interesować się

niebezpieczeństwami, których innym udało się uniknąć?

Mój sąsiad i tym razem stał przy barze i milczał. Spoglądałem na niego od czasu do czasu, odpowiadał mi uśmiechem, równie łagodnym jak jego śmiech. Przysłuchiwałem się historiom pasażerów. Nagle rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Opowiadający przerwał swoją historię, słuchacze odwrócili się w kierunku hałasu. Mojemu sąsiadowi wyślizgnął się z rąk kieliszek. Lecz nie schylił się, by pozbierać rozbite szkło i wytrzeć plamy na spodniach. Stał nieruchomo.

Podszedłem do niego i położyłem mu dłoń na plecach.

– Czy mogę panu jakoś pomóc?

Wyglądał, jakby z trudem mnie poznawał, i z wyraźnym wysiłkiem odpowiedział:

– On... On jest... – urwał, czując na sobie spojrzenia pozostałych pasażerów. Przyszedł kelner, zmiótł rozbite szkło i wytarł podłogę. Chciałem zaprowadzić go do miejsca przy oknie, gdzie było trochę spokojniej. Ale zaprotestował dziwnie płaczliwym tonem. – Nie, nie pod okno. – Rozejrzałem się. Przy stojakach z gazetami też było w miarę spokojnie.

– Mam wezwać lekarza?

– Lekarza... Nie, lekarz nie może mi pomóc. – Zrobił kilka głębokich wdechów i wreszcie po chwili opanował emocje. – Tam przy oknie, mężczyzna w jasnym garniturze... wiedziałem, że mnie śledzi, lecz myślałem, że wyprzedzam go o samolot czy dwa. To on postrzelił

mnie dwa lata temu. Nie wiem, czy chciał mnie zastrzelić i miałem szczęście, czy też chciał mnie tylko przestraszyć.

– Strzelał do pana? Złożył pan doniesienie?

– Szpitale wzywają policję, gdy trafiają do nich pacjenci z ranami postrzałowymi. Opisałem go i znów dali mi do oglądania zdjęcia, ale nic to nie dało. Na ulicach Kapsztadu, bo tam do tego doszło, wybucha czasami strzelanina, policja uznała więc, że pewnie znalazłem się między dwiema stronami jednej z ulicznych walk. Ale ja wiedziałem swoje. Tylko na co zdałoby się opowiadanie o tym policji?

Byłem ciekaw, czy opowie o tym mnie.

– Gdy wyjechałem z Niemiec, trochę jeździłem po świecie i wreszcie zatrzymałem się w Kapsztadzie. W RPA możesz sobie żyć spokojnie, jeśli masz pieniądze i wiesz, jak się poruszać. Wynająłem na peryferiach miasta były dom stróża przy winnicy, po jednej stronie miałem morze, po drugiej – winne wzgórza. Mały raj. Lecz po kilku miesiącach dostałem od niego list. Bez nazwiska nadawcy na kopercie. Nie było konieczne. Historia, którą mi przesłał, mówiła sama za siebie. Od pewnego szejka ucieka z innym kobieta. To jego ulubiona kobieta, żrenica jego oka, młoda i piękna niczym poranek. Szejk smuci się, lecz choć jest dumny, ma też wielkie serce i rozumie, że kobieta, którą kocha, idzie za głosem swego serca. Mijają lata. Kochanek zabija kobietę w gniewie. Szejk, który zniósł to, że jego własność podążyła swoją drogą, nie może znieść, że inny tę własność zniszczył, i każe

kochanka zabić.

Gdy nazajutrz rano wyjeżdżałem z mojej posesji, po drugiej stronie ulicy zobaczyłem mężczyznę w jasnym garniturze. Zawsze ma na sobie jasny garnitur, zawsze odrobinę za duży. Mogłoby mu to nadawać wygląd nędzarza lub klauna. Lecz w jego postawie, ruchach, chodzie czaiła się groźba, a on sam nie przypominał nędzarza ani klauna – wyglądał groźnie. We wstecznym lusterku zobaczyłem, jak przechodzi przez ulicę i wsiada do samochodu, a po chwili zorientowałem się, że za mną jedzie.

10

Zrobił kilka kroków dzielących go od krzesła, obrócił je tak, by nie widzieć mężczyzny w jasnym garniturze, usiadł, wsparł dłonie na kolanach, złożył ręce i spuścił głowę. Poszedłem po drugie krzesło i usiadłem naprzeciw niego.

– A potem strzelał do pana w Kapsztadzie?

– W następnych tygodniach bez przerwy go widywałem. Opartego o latarnię naprzeciwko restauracji, gdzie jadłem, albo stojącego przed księgarnią, z której wychodziłem, choć nie było go tam, gdy wchodziłem do środka, raz w autobusie podniosłem wzrok znad gazety i nagle okazało się, że siedzi naprzeciwko mnie. Mieszkałem nad samym morzem, więc każdego ranka i

wieczora robiłem długie spacery po plaży. Pewnego razu zobaczyłem, że idzie w moją stronę, więc przestałem wychodzić z domu. Ale w końcu musiałem zrobić zakupy w Kapsztadzie, wtedy strzelił do mnie. W biały dzień, na ulicy.

Po kilku dniach spędzonych w szpitalu znów zacząłem latać po świecie, zygzakami, w nadziei że zgubi mój trop. I rzeczywiście – potrzebowałem całego roku, by znów mnie namierzyć.

Spojrzałem w kierunku mężczyzny w jasnym garniturze. Zmierzył mnie wzrokiem, jakbyśmy grali w grę, który z nas dłużej wytrzyma spojrzenie drugiego bez mrugnięcia okiem. Po chwili odwróciłem wzrok.

Mój sąsiad się uśmiechnął.

– Cóż to był za rok! Kocham morze, więc znowu wynająłem dom na wybrzeżu, tym razem w Kalifornii. W Ameryce też można – jeśli ma się pieniądze i wiedzę o tym, jak się poruszać – żyć sobie spokojnie, nierozpoznany przez nikogo. Z początku denerwowało mnie to, że nie mogę korzystać z moich kart kredytowych – zostawiają ślady. Ale jeśli ci się nie spieszy, poradzisz sobie i bez kart kredytowych. Człowiek, który wynajmował mi dom, i tak wolał gotówkę od plastiku, pewnie oszukiwał urząd skarbowy.

Zna pan wybrzeże na północ od San Francisco? To skaliste i surowe, to znów piaszczyste i łagodne, Pacyfik, bardziej nieprzychylny i nieprzejednany niż każdy inny ocean, schodzące ku morzu góry porośnięte suchą

brązową trawą, rankiem zasnuć mgłą, a w słońcu południa lub wieczora mieniące się odcieniami złota – jakby piękno świata codziennie stwarzane było od nowa. Mój dom stał na zboczu, ulica biegła znacznie wyżej, oddalona od niego na tyle, że nie słyszałem przejeżdżających samochodów. Dom był tak blisko morza, że jego szum towarzyszył mi od rana do wieczora, nie głośny i groźny, lecz cichy i pojednawczy. Ach, i te zachody słońca! Szczególnie podobały mi się czerwone i różowe, przypominały namalowane z rozrzutnym przepychem obrazy. Wzruszały mnie także te nieśmiałe, kiedy słońce zanurzało się w oparach wiszącej nad morzem bladej mgły i znikało w nich bez śladu.

Zaśmiał się cicho, trochę ironicznie i jakby z lekką nutą zakłopotania.

– Zebrało mi się na zachwyty? Na to wygląda. Bo i było się czym zachwycać: ostrym, słonym powietrzem, burzami, tęczą nad morzem, winem i śliczną jasnowłosą Debbie, która nie szła przez życie zwykłym krokiem, lecz tańczyła. Była ponownym wcieleniem Avy, ale podczas gdy sobowtóry umartych, które znamy z książek, życzą żywym źle, Debbie życzyła mi dobrze. Mieszkała pół godziny drogi ode mnie. Miała dom na wzgórzu, konia i psa i ilustrowała książki dla dzieci. Była dobra – może dlatego, że tak jak dzieci znała wartość chwili? Żyła chwilą, bez Debbie nie potrafiłbym tak bardzo cieszyć się moim ostatnim rokiem na wolności.

– Ostatnim rokiem na wolności?

Ruchem głowy wskazał mężczyznę w jasnym garniturze.

– Po roku znów zobaczyłem go pewnego dnia przy wjeździe na moją posesję. Mogłem go zabić – o tak, postarałem się o broń, nauczyłem się strzelać i trafiałem do celu z dużej odległości. Ale wtedy na jego miejscu pojawiłby się nowy. Pomyślałem sobie, że jeśli oddam się w ręce niemieckiego sądu, uda mi się obłaskawić attache – może wtedy zaakceptuje wyrok, niezależnie od wymiaru kary. Może wtedy zostawi mnie w spokoju.

– Chce pan się zgłosić do sądu?

– Właśnie po to lecę do Niemiec. Nie chciałbym zostać aresztowany od razu, na lotnisku, podczas kontroli paszportowej. Wolałbym najpierw zobaczyć się z matką i porozmawiać z moim obrońcą. Zawsze to lepiej wygląda, gdy człowiek idzie do sądu z własnym adwokatem i z własnej woli oddaje się w ręce sprawiedliwości, niż gdy zostaje aresztowany i doprowadzony przed oblicze sędziego. Jeszcze nie wiem, jak... – Tu spojrzał na mnie ze swoim łagodnym uśmiechem. – Czy mógłby pan pożyczyć mi swój paszport? Jesteśmy do siebie trochę podobni, to wystarczy. Powie pan, że skradziono panu portfel, spotka pana trochę nieprzyjemności, ale przecież to nic strasznego. Najgorsze w kradzieży portfela jest to, że znów trzeba wszystko załatwiać, ale o to nie musi się pan kłopotać. Po kilku dniach znajdzie pan portfel w swojej skrzynce na listy.

Patrzyłem na niego bez słowa.

– Zaskoczyłem pana? Przykro mi. Może się trochę zdrzemniemy? – Rozejrzał się. – Są jeszcze dwa wolne miejsca, jedno przy oknie, a drugie obok wieszaków na ubrania. Mam nadzieję, że pan zrozumie, jeśli odstąpię panu krzesło przy oknie, a sam spocznę na drugim? – Wstał. – Dobranoc. Dziękuję, że zechciał mnie pan wysłuchać. – Wziął swoją walizkę, która stała przy barze, a z wieszaka płaszcz i kapelusz, usiadł, położył nogi na walizce, przykrył się płaszczem i nasunął kapelusz na twarz.

11

Podszedłem do okna. Był jasny dzień. Słońce, które weszło na czerwono, było teraz bladożółte i wisiało na białym niebie. Od dawna marzę o tym, by wybrać się do Petersburga i zobaczyć białe noce. To była moja pierwsza biała noc. Lecz zamiast przyglądać się wodzie, mostom, spacerowiczom i zakochanym parom, patrzyłem na puste pasy startowe, ciemne płyty postojowe i betonowe budynki lotniska. Jak okiem sięgnąć ani jednego samolotu, samochodu ani człowieka.

W lounge panowała cisza. Nikt nie oglądał telewizji, nie siedział przy barze, nie rozmawiał. Niektórzy pootwierali laptopy, niektórzy książki. Wielu próbowało spać. Kilka osób wyciągnęło się na podłodze. Spytałem młodą kobietę w okienku przy wejściu, czy coś wiadomo

o naszym dalszym locie. Słyszała, że we Frankfurcie podstawiają dla nas samolot. Nie przyleci przed ósmą, do dalszego lotu zostały więc jeszcze przynajmniej cztery godziny.

Wróciłem do baru, przysunąłem stojące przy oknie krzesło do ściany, do cienia, i usiadłem. Tu nie dosięgał mnie wzrok mężczyzny w jasnym garniturze. Wcześniej za każdym razem, gdy na niego spojrzałem, mierzył mnie wzrokiem.

Najwyższy czas się przedstawić. Nazywam się Jakob Saltin, studiowałem fizykę, zrobiłem specjalizację z inżynierii ruchu drogowego i kieruję Instytutem Inżynierii Transportu na uniwersytecie w Darmstadt. Ile torów potrzeba dla określonej liczby pociągów, ilu pasów dla ilu samochodów? Jak powstają korki i jak im zapobiegać? Gdzie należy umieszczać sygnalizację świetlną, a gdzie umieszczać jej nie wolno? Jak zoptymalizować jej działanie? To fascynująca, lecz rzeczowa gałąź wiedzy, podobnie jak cała nauka. Jak ja.

Nie czytuję już beletrystyki – bo i kiedy miałbym znaleźć na to czas? Lecz przed laty czytałem historię, w której pewien podróżny opowiedział spotkanemu przypadkowo nieznanemu o tym, że zabił żonę. Miała kochanka – czy i jego zabił, nie pamiętam. W każdym razie był w desperacji, uderzyły mu do głowy muzyka i alkohol. Co do alkoholu nie jestem do końca pewien, ale co do muzyki – tak. O ile sobie przypominam, nieznanomy przez całą podróż tylko słuchał opowiadania. Ten drugi o

nic go nie prosił.

Mój współpasażer wypróbował na mnie swoją historię. Musiał wkrótce opowiedzieć ją policji, prokuratorowi i sędziemu i chciał wiedzieć, jaka jest w odbiorze. Jak sam się w niej prezentuje. Co powinien opuścić, a co upiększyć. Na słuchacza wybrał akurat mnie – czy dlatego, że było między nami niejakie podobieństwo postaci, twarzy i wieku? Czy od samego początku chciał mnie poprosić o paszport i tak wzruszyć mnie swoją historią, bym nie potrafił mu odmówić?

Ale nie, wszystkie miejsca na samolot były wyprzedane. Nie on decydował, gdzie będzie siedział, nie mógł wybrać mnie wcześniej na słuchacza. Dlaczego byłem taki nieufny? Rosyjska mafia to nie mój świat, powiedział, mojemu zaś światu obce były dyplomatyczne przyjęcia, pikniki na kuwejckiej pustyni, drogie domy na wybrzeżach Afryki i Ameryki, handel kobietami, wielbładami i spekulacje milionami. Sam nie wiedział, ile razy obleciał już glob – ja jeszcze ani razu nie obleciałem Ziemi dookoła i tamtego dnia też nie podróżowałbym pierwszą klasą, gdyby nie sprzedano zbyt wielu biletów klasy ekonomicznej i gdyby nie zaproponowano mi, bym za tę samą cenę skorzystał z biletu pierwszej klasy. Brak mi wycucia w sprawach świata, o którym opowiadał mój sąsiad. Czy miałem je w odniesieniu do niego? Czy zamordował swoją dziewczynę?

Dla nas, naukowców badających transport, wypadki to jeden z wielu parametrów. Nie jestem cyniczny, ale nie

jestem też sentymentalny. Wiem, że w wypadkach należy brać pod uwagę również czynnik ludzki. Są ludzie, których pcha do przodu tylko chęć zdobycia szybkich pieniędzy i łatwego życia. Znam ich – są wśród nich moi studenci, koledzy, osobistości ze świata gospodarki i polityki. Mój sąsiad do nich nie należał. Nie szukał łatwego życia, szukał pięknego życia. Nie pożywał pieniędzy, bawił się nimi.

A może między jednym a drugim nie ma różnicy? Podstawowa życiowa trudność polega na tym, by wiedzieć, kiedy dochować wierności swoim zasadom, a kiedy zrobić od nich odstępstwo i przyznać rację innym. Posiadam taką wiedzę w swojej dziedzinie. Lecz poza nią?

Potem zasnąłem. Nie spałem głęboko. Słyszałem, jak przewróciła się któraś z walizek i jak w ciszę wdarł się głośny dzwonek komórki i czyjś podniesiony głos. O wpół do szóstej głośnik poinformował nas, że za godzinę wylądjuje samolot, który zabierze nas do Frankfurtu. Przy bufecie czeka na nas śniadanie.

Mój sąsiad podszedł do mnie i spytał:

– Idziemy? – Podeszliśmy do bufetu, nalaliśmy sobie kawy i herbaty, wzięliśmy croissanty i jogurt i usiedliśmy przy stoliku. – Spał pan? – Konwersowaliśmy uprzejmie o spaniu podczas podróży, wygodzie samolotowych foteli i foteli w lounge.

Gdy poproszono nas do samolotu, ruszyliśmy razem. Po korytarzach chodzili ludzie, otwarto sklepy, a tablice i

głośniki informowały o przylotach i odlotach. Lotnisko budziło się do życia.

12

Siedzieliśmy obok siebie także podczas lotu z Rejkiawiku do Frankfurtu. Nie rozmawialiśmy już tyle co przedtem. Spytał mnie o żonę i dzieci. Nie mam wiele do powiedzenia na temat swojej nieżyjącej żony i córki, która mnie opuściła. Bo co tu opowiadać – że gdybym poświęcał im więcej uwagi, żona może by jeszcze żyła, a córka nadal była przy mnie? Zresztą, może to nieprawda, a ja niepotrzebnie robię sobie wyrzuty.

Spodziewałem się, że znów poprosi mnie o paszport. Właściwie nie lubię, gdy obcy ludzie wciągają mnie w swoje problemy. Rozwiązywanie problemów transportowych w zupełności mi wystarcza. Wymagają ode mnie całkowitego zaangażowania i są tego warte. Gdyby znaleziono dla nich rozwiązania, świat stałby się lepszym miejscem. Jestem dumny, że koncepcja, którą opracowałem dla miasta Meksyk, sprawiła, że ruch, który dzień w dzień blokował ulice, zaczął płynąć swobodnie, a miasto, bliskie uduszenia, znów zaczęło oddychać. A raczej zaczęłoby, gdyby politycy wprowadzili moją koncepcję w życie tak, jak należało.

Lecz mój sąsiad nie był już dla mnie obcy. Siedzieliśmy obok siebie w ciemności, opróżniliśmy

razem butelkę Pinot Noir, wysłuchałem jego historii, byłem świadkiem jego ożywienia, wzruszenia, zmieszania, uściśnięciem jego dłoń i położyłem mu rękę na plecach. Zdecydowałem, że dam mu swój paszport.

Ale nie ponowił prośby, a ja nie lubię się narzucać. Siedzieliśmy na górnym pokładzie w ostatnim rzędzie i gdy we Frankfurcie samolot zatrzymał się na płycie postojowej, znaleźliśmy się przy drzwiach dolnego pokładu jako pierwsi. Gdy dano sygnał do otwarcia drzwi, objął mnie na pożegnanie. Właściwie nie jestem zwolennikiem dzisiejszego zwyczaju obejmowania się i całowania przy każdej okazji. Lecz i ja go objąłem. Oto pewnej nocy spotkało się dwóch nieznajomych. Rozmawiali ze sobą, nie dali sobie wszystkiego, co mogli byli sobie dać, lecz zbliżyli się do siebie. Zresztą może odwzajemniłem jego uścisk tak serdecznie dlatego, że szampan uderzył mi do głowy.

Potem drzwi się otworzyły, a mój sąsiad podniósł walizkę i trzymając ją oburącz, puścił się biegiem w kierunku budynku lotniska. Lecz gdy dotarłem do hali, już go tam nie było. Nie widziałem go też przy okienku kontroli celnej. Znikł.

13

Z moim paszportem. Gdy podczas kontroli celnej sięgnąłem do kieszeni, by go wyjąć, już go tam nie było.

Nie szukałem dalej. Chowam portfel zawsze do lewej wewnętrznej kieszeni i jeśli go tam nie ma, to znaczy, że przepadł. Zawsze wiem, gdzie co mam.

Podczas lotu oddaliśmy okrycia do przechowania stewardesie. Mój sąsiad musiał później poprosić ją o swoją kurtkę i podać numer mojego siedzenia, a gdy stewardesa podała mu moją, pewnie wyjął z niej portfel z dokumentami. Nie chciał ryzykować mojej odmowy.

Policjanci zachowywali się wobec mnie przyjaźnie. Powiedziałem, że pokazałem paszport na lotnisku w Nowym Jorku i od tamtej pory z niego nie korzystałem. Że nie mam pojęcia, gdzie mogłem zapodziać portfel ani kiedy mógł zostać skradziony. Jeden z policjantów wrócił ze mną do samolotu, z którego wysiadali ostatni pasażerowie. Na próżno szukałem portfela przy moim siedzeniu, w schowku na bagaż podręczny i w szafie na okrycia wierzchnie, której pilnowały stewardesy. Potem poproszono mnie na posterunek. Na szczęście moje zdjęcie widnieje na stronie internetowej uniwersytetu i zastaliśmy w dziekanacie kogoś, kto potwierdził, że jestem tym, za kogo się podaję.

Wziąłem taksówkę. Dopiero gdy wjechaliśmy do Darmstadt i znajdowaliśmy się w niejakiej odległości od mojego domu, zorientowałem się, że w kieszeni mam tylko trochę drobnych luzem, o wiele za mało, by zapłacić za taki długi kurs. Powiedziałem o tym taksówkarzowi i zapewniłem go, że w domu mam wystarczająco dużo pieniędzy. Nie uwierzył mi jednak, kazał sobie zapłacić

tyle, ile miałem przy sobie, i psiocząc i wyrzekając, wyrzucił mnie z samochodu.

Było bardzo ciepło, ale nie duszno. Po nocy i ranku w samolotach i poczekalniach, na posterunku policji i w taksówce cieszyłem się rzeńskim powietrzem, chociaż było to tylko powietrze miasta, które, gdy stało się na światłach, miało zapach benzyny, a przed turecką budką z jedzeniem – gorącego tłuszczu. Z każdym krokiem czułem się lepiej. Uskrzydlało mnie poczucie, że czegoś dokonałem. Czego? Nie miałem pojęcia. Ale to nie było aż takie ważne.

Nie miałem nikogo, kto by zainteresował się tym, czego i tak nie mogłem nikomu powiedzieć. Co innego, gdyby w domu czekała na mnie żona lub gdybym wiedział, że wieczorem zadzwoni do mnie córka, by mnie przywitać i spytać, jak minęła podróż.

Wczesne popołudnie spędziłem w domu. Mam niewielki ogród. Rozstawiłem leżak i położyłem się. Potem wstałem i poszedłem do kuchni po butelkę wina i kieliszek. Wypiłem trochę, zasnąłem i gdy się zbudziłem, nadal nie odstępowało mnie poczucie, że dokonałem czegoś ważnego. Wyobrażałem sobie swojego współpasażera, jak przechodzi przez kontrolę z moim paszportem, jak dzwoni do drzwi swojej matki, obejmuje ją na powitanie, pije z nią herbatę, jak rozmawia z obrońcą i wreszcie oddaje się w ręce sprawiedliwości.

Następnego ranka życie potoczyło się dalej. W ostatnich tygodniach semestru zawsze jest dużo pracy. Do wykładów, seminariów i zebrań dochodzą jeszcze egzaminy, poza tym nadrabiałem zaległości, których nabierało mi się ze względu na konferencję w Nowym Jorku. Nie miałem czasu, by myśleć o nieznanym z samolotu i jego opowieści. Tak, był interesującym człowiekiem i miał do opowiedzenia interesującą historię. Lecz wszystko wydarzyło się w ciągu jednej nocy, znacznie skróconej ze względu na utratę sześciu godzin podczas lotu z zachodu na wschód. I chociaż pobyt w Reykiawiku nieco ją wydłużył, była to w sumie dość krótka noc.

Po tygodniu przyszedł pocztą mój portfel. Nie zdziwiłem się. Liczyłem na to, że mój współpasażer dotrzyma obietnicy. Mimo wszystko odetchnąłem z ulgą. Brak kart – do bankomatu i kredytowej – czasami dawał mi się we znaki.

Wiadomość, którą włożył do lewej wewnętrznej kieszeni mojej kurtki, znalazłem dopiero po upływie kilku tygodni. „Wolałbym nie przywłaszczać sobie pańskiego portfela. Był pan wspaniałym towarzyszem. Ale pana portfel jest mi potrzebny, tak samo jak panu nie jest potrzebny dylemat, czy uczynić zadość mojej prośbie, czy jej odmówić. Odwiedzi mnie pan w więzieniu?”

Wkrótce w gazetach można było przeczytać, że oddał się w ręce sprawiedliwości i że proces zostanie niebawem wznowiony. W doniesieniach z procesu wymieniono także starszą panią, która rzekomo widziała, jak mój współpasażer nie tylko szturchnął swoją dziewczynę, lecz wręcz zepchnął ją z balkonu. Nie stawiała się w sądzie. Znikła na kilka dni przed tym, jak on się zgłosił. Podczas procesu odczytano to, co zeznała policji. Myślałem, że zeznanie zaprotokołowane przez policję ma wartość niezbitego dowodu i jest dla oskarżonego bardziej niebezpieczne niż zeznanie złożone przez świadka przed sądem, które obrońca może obalić. Lecz okazało się, że jest odwrotnie. Trudniej zanegować wypowiedź świadka, niż zarzucić policjantowi, że nie spytał o to czy owo i dlatego otrzymał i zaprotokołował jednostronne, nic niewarte zeznanie.

Znikła na kilka dni przed tym, jak mój współpasażer zgłosił się w sądzie. Nie podobało mi się to. Czyżby... Nie, to przecież nie do pomyślenia. Starsi ludzie znikają czasem z różnych powodów... Podczas wędrówki podchodzą zbyt blisko przepaści i wpadają do niej, gubią drogę i wyczerpani kładą się byle gdzie, w domku letniskowym dostają nagle ataku serca, a poszukiwania trwają potem miesiącami, a nawet latami. Ciągłe słyszy się o podobnych wypadkach.

Dostał osiem lat. Według niektórych komentatorów kara była za surowa, według innych – odwrotnie. Sędzia nie dał się przekonać, że było to nieumyślne

spowodowanie śmierci, lecz skazał go nie za morderstwo, lecz za zabójstwo w afekcie, do którego doszło w wyniku gwałtownej eskalacji męczącego i długotrwałego konfliktu.

Nie chcę się wtrącać. Moją domeną jest ruch uliczny, a nie prawo karne. Ja wyrokuję o tym, w jaki sposób uratować miasto od zapaści komunikacyjnej. O ludzkiej winie decydują sędziowie, którzy mają z nią do czynienia dzień w dzień.

Nie mogę jednak powiedzieć, żeby wyrok mnie przekonał. Właściwie zgadzam się z tym, że ten, kto odebrał komuś życie, powinien zapłacić za nie swoim własnym. Nie ma sensu skazywać go na dożywocie. Co wegetacja w celi ma wspólnego z życiem, którego już nie ma? Zdarzają się mylne wyroki, wiem o tym, to przecież dlatego zniesiono karę śmierci. Ale osiem lat? To było śmieszne. Ten, kto wyznacza taką karę, sam nie jest pewien swego osądu. Jeśli ktoś wyznacza taką karę, lepiej, żeby wydał wyrok uniewinniający.

Zastanawiałem się, czy go nie odwiedzić w więzieniu. Ale nawet wizyty w szpitalu sprawiają mi trudność. Gdy chory wzbudza moje współczucie, nie mogę znaleźć dla niego słów pocieszenia, a gdy nie czuję współczucia, tym bardziej ich nie znajduję. Szybkiego powrotu do zdrowia – to zawsze się sprawdza. Ale czego życzy się więźniowi?

15

Po pięciu latach sam mnie odwiedził. Znów było lato, ciepłe późne popołudnie. Wziąłem od niego torbę, zaprowadziłem go do ogrodu, rozstawiłem dwa leżaki i przyniosłem dwie szklanki lemoniady.

– Kiedy pana zwolnili?

Przeciągnął się.

– Jak tu ładnie! Drzewa, kwiaty, zapach skoszonej trawy, śpiew ptaków. Sam pan kosi trawnik? Czy sam pan posadził te hortensje? Słyszałem, że kolor hortensji zależy od znajdujących się w ziemi minerałów. Czy to nie zdumiewające, że u pana niebieskie i różowe rosną tak blisko siebie? Kiedy mnie zwolnili? Wczoraj. Ostatnie lata dostałem w zawieszeniu. Zawieszenie wiąże się wprawdzie z pewnymi obowiązkami, lecz żaden z nich nie stoi na przeszkodzie temu, by polecieć na kilka dni do Ameryki i zatroszczyć się o swoje finanse. – Uśmiechnął się. – A pan niejako znajduje się na mojej drodze do Ameryki.

Spojrzałem na niego. W jego twarzy na próżno próbowałem się doszukać śladów minionych pięciu lat. Posiwiął, lecz nie wyglądał przez to starzej. Jego głos był równie przyjemny, ruchy równie spokojne, postawa równie swobodna jak wtedy.

– Było panu ciężko?

Znów się uśmiechnął swoim łagodnym uśmiechem.

– Wniosłem trochę życia do więziennej biblioteki, czytałem wszystko, co zawsze chciałem przeczytać, i uprawiałem sport. Zadawałem się z ludźmi, z którymi wolałbym nie mieć nigdy do czynienia. Ale czy nie robimy tego za każdym razem, gdy wychodzimy do innych?

– Co z mężczyzną w jasnym garniturze?

– Nie stał wczoraj przed budynkiem więzienia. Mam nadzieję, że co było, minęło. – Wziął głęboki oddech. – Wie pan, że oddaję to, co pożyczam. Czy mógłby mi pan pomóc? W więzieniu trudno oszczędzać, a ja nie mam nikogo, kogo mógłbym poprosić o pieniądze na samolot. Moja matka zmarła zaraz po procesie.

– Tamta starsza pani, która pana obserwowała... – wyrwało mi się. Nie wiedziałem, jak dokończyć zdanie.

– Czy ona nie mogłaby pożyczyć mi pieniędzy? Wątpię. Zresztą chyba przepadła bez śladu? – roześmiał się.

– Czy pan ją... – Znow nie wiedziałem, jak dokończyć.

– Czy zamordowałem świadka, który złożył obciążające zeznania?

– Popatrzył na mnie z życzliwą, wyrozumiałą kpina. – Czyżby miał pan o mnie aż tak złe zdanie? Dlaczego najpierw przychodzi panu na myśl morderstwo, a nie to, że mogłem kupić starszą panią, oferując jej sumę, z którą znikła nie w grobie, lecz na Balearach lub Wyspach Kanaryjskich? – Pokręcił głową. – Czyżby wydawało się

panu, że mógłby pan zapobiec morderstwu? Że pana obowiązkiem było mu zapobiec? Ma pan rację, gdy w grę wchodzi morderstwo, pojawiają się pytania. – Nie przestawał patrzeć na mnie kpiąco. – Ale jeśli nawet doszło do morderstwa, ja nic o tym nie wiem. Mogę tylko pana zapewnić, że nikogo nie zamordowałem. Widzi pan, w ten sposób do niczego nie dojdziemy.

Nie, w ten sposób do niczego nie dojdziemy, przyznałem mu w myślach rację, i spytałem:

– Ile panu potrzeba?

– Pięć tysięcy euro. – Musiałem wyglądać na mocno zdziwionego, bo wyjaśnił mi z uśmiechem: – Chyba pan rozumie, że jestem za stary na lot trzecią klasą i nocleg w schronisku młodzieżowym.

– Mogę panu wypisać czek. – Wstałem.

– Nie mógłby mi pan dać tych pieniędzy w gotówce? Nie wiem, czy wypłacą mi bez problemów tak wysoką sumę.

Dochodziła szósta i banki były już zamknięte. Ale miałem nadzieję, że z kartą do bankomatu i kartami kredytowymi uda mi się uzbierać pięć tysięcy.

– Skoro tak, to ruszajmy.

– Nie ma pośpiechu. Wie pan, pomyślałem sobie, że przez kilka dni mógłbym skorzystać z pańskiej gościnności...

Liczył na to, że nie pozwolę mu dokończyć. Że z radością zaproszę go, by przez parę dni zechciał być moim gościem. Właściwie dlaczego by nie? Nie znoszę

wprawdzie bałaganu we własnym domu, ale mam pokój gościnny i osobną łazienkę, a o nieporządek, który pozostawiają po sobie goście, troszczy się sprzątaczką, tak że nawet go nie zauważam. Cieszę się, gdy wieczorem jest obok mnie ktoś, z kim mogę wypić kieliszek wina i porozmawiać. Zawsze to lepsze od samotności. Ale nie zareagowałem od razu.

– Moglibyśmy spędzić razem kilka dni. Ale to niestety niemożliwe. Muszę ruszać w drogę, im szybciej, tym lepiej. Czy byłby pan tak uprzejmy, by podrzucić mnie na lotnisko?

Pojechałem z nim na lotnisko, wyjąłem pięć tysięcy euro z kilku różnych bankomatów i wręczyłem mu. Pożegnaliśmy się. Tym razem nie objęliśmy się, lecz uścisnęliśmy sobie ręce. Może powinienem był zaproponować mu, by mnie jeszcze kiedyś odwiedził? Ale nie mogłem się w porę zdecydować.

– Powodzenia!

Uśmiechnął się, skinął głową i ruszył przed siebie.

16

Odprowadzałem go wzrokiem, póki nie znikł w tłumie. Potem wyszedłem z lotniska, skierowałem się przez ulicę w stronę wielopoziomowego parkingu i wjechałem windą na dach. Nie od razu zlokalizowałem swój samochód i chwilę trwało, nim znalazłem w kieszeni

kluczyki. Niebo się zachmurzyło, wiał zimny wiatr. Przestałem szukać, przystanąłem i powiodłem wzrokiem po innych parkingach, hotelach, lotnisku i samolotach, które startowały lub schodziły do lądowania. Wkrótce mój sąsiad znajdzie się w jednym ze startujących samolotów.

To był koniec naszej znajomości. Gdy żegnaliśmy się po raz pierwszy, nie zastanawiałem się, czy jeszcze się zobaczymy. Teraz wiedziałem, że to nasze ostatnie spotkanie. Ciekawe, czy pewnego dnia znajdę w skrzynce list z czekiem?

Zmarzłem. To, co w jego obecności miało pozory dobrego, nagle wydało mi się złe, to, co brałem za bliskie i ciepłe, naraz sprawiało wrażenie obcego i zimnego. Moje współczucie i trwoga, gdy opowiadał swoją historię. To, że pożyczyłbym mu swój paszport, gdyby sam go sobie nie wziął, a także oddałbym mu do dyspozycji pokój gościnny, gdyby nie to, że spieszyło mu się na lotnisko. Moja radość z tego, że przy wjeździe udało mu się wykiwać policję, odwiedzić matkę i spotkać się z adwokatem. To, że wbrew wszelkiemu rozsądkowi uwierzyłem, że śmierć jego dziewczyny była nieszczęśliwym wypadkiem, a zniknięcie starszej pani – zagadką.

Co takiego zrobiłem? Dlaczego nawiązałem z nim znajomość? Dlaczego dałem mu się wykorzystać? Czy tylko dlatego, że miał taki łagodny uśmiech, był przyjemny w obejściu i miał na sobie tamten luźny garnitur z gniecionej tkaniny? Co było ze mną nie tak?

Gdzie się podział mój trzeźwy umysł, który czyni ze mnie tak przenikliwego obserwatora, wytrawnego analityka, dobrego naukowca i z którego jestem dumny? Przecież zwykle poznaję się na ludziach. Choć przyznaję, co do mojej żony z początku się myliłem. Rychło jednak zorientowałem się, że za jej ładną buzią i miłym usposobieniem nie kryje się nic więcej, żadna głębsza myśl, siła, charakter. I chociaż moja córka była słodkim stworzeniem i choć tak bardzo ją kochałem, to przecież, gdy dorosła, od razu zauważyłem, że chce tylko posiadać, że nie zależy jej na osiągnięciach i nie ma za grosz ambicji.

Nie, to było niepojęte, że pozwoliłem, by ten człowiek tak mnie omotał.

Podobnie jak to, że potrzebowałem tyle czasu, by w końcu... Czyżbym odzyskał swój zdrowy rozsądek tylko dlatego, że powiał zimny wiatr? Czy gdyby wciąż było ciepło, nadal bym...

Patrzyłem na startujący samolot. Jumbo albo Lufthansa. Do Ameryki? Może szybko dostał bilet i zdążył jeszcze na ten lot. Czy czuł się pokrzywdzony, siedząc w klasie ekonomicznej?

Promienie zachodzącego słońca przedarły się na chwilę przez chmury i rozświetliły cielsko maszyny. Samolot wyglądał, jakby się żarzył, jakby lada chwila miał wybuchnąć ognistą kulą i rozpaść się na kawałki. Wówczas nic nie zostałoby z Wenera Menzla i nic z mojej głupoty.

Potem słońce znikło za chmurami, samolot wzniósł się wyżej, zatoczył łuk i obrał właściwy kierunek. Znalazłem kluczyki, wsiadłem do samochodu i pojechałem do domu.

Ostatnie lato

1

Profesor dobrze pamięta swój pierwszy semestr w Nowym Jorku. Pamiętał, jak się ucieszył na widok zaproszenia i wizy w paszporcie, pamiętał radość, która towarzyszyła mu, gdy wsiadał do samolotu i gdy witany ciepłym wieczorem wychodził z bagażem z hali przylotów lotniska JFK. Radość nie odstępowała go, kiedy brał taksówkę, która zawiozła go do centrum, a także wcześniej, podczas lotu, choć fotele były niewygodne, a odstępy między rzędami wąskie. Gdy lecieli nad Atlantykiem, ujrzał w dali inny samolot i poczuł się jak pasażer na pokładzie okrętu, który żegluje po bezkresnym morzu i właśnie mija inny statek.

W Nowym Jorku bywał już wcześniej, przyjeżdżał jako turysta, do przyjaciół, na konferencje. Tym razem żył w rytmie miasta. Był jego częścią. Wynajmował mieszkanie, jak wszyscy. Znajdowało się w centrum; miał blisko nad rzekę i do parku. Jak wszyscy szedł co rano na stację metra, wsuwał bilet do czytnika, przechodził przez bramkę i schodził na peron. Wciskał się do wagonu, w którym nie sposób było ani się obrócić, ani przerzucić strony w gazecie, a po dwudziestu minutach torował sobie drogę do wyjścia. Wieczorem znajdował w metrze miejsce siedzące, doczytywał gazetę, a w drodze do domu

załatwiał w sąsiedztwie sprawunki. Do kina i do opery mógł chodzić na piechotę.

Nie przeszkadzało mu, że nie do końca wtopił się w życie uniwersytetu. Koledzy nie rozmawiali z nim na tematy, które i tak omawiali we własnym gronie, a studenci nie liczyli się z nim w tym samym stopniu co z profesorami, z którymi mieli do czynienia rok w rok – spotkania z nim ograniczały się przecież ledwie do jednego semestru. Ale koledzy okazywali mu życzliwość, studenci byli uważni, jego seminarium cieszyło się dużym powodzeniem, a z okna gabinetu roztaczał się widok na gotycki kościół z czerwonego piaskowca.

Tak, cieszył się, zanim wyruszył w podróż, i jeszcze długo po powrocie. Choć prawdę mówiąc, nie czuł się tam szczęśliwy. Jego pierwszy semestr w Nowym Jorku był jednocześnie pierwszym, podczas którego nie miał obowiązku wykładać na swym rodzimym uniwersytecie w Niemczech. Wolałby rozkoszować się swobodą, zamiast znów uczyć. Jego nowojorskie mieszkanie było ponure. Klimatyzacja w podwórzu pracowała tak głośno, że przed snem musiał wkładać do uszu zatyczki. Wieczorami, gdy jadał w tanich restauracjach albo oglądał kiepskie filmy, nierzadko doskwierała mu samotność. W gabinecie klimatyzacja wydmuchiwała mu suche powietrze prosto w twarz – z tego wszystkiego nabawił się zapalenia zatok i musiał poddać się zabiegowi. Operacja była okropna, a gdy zbudził się z narkozy, zobaczył, że umieszczono go nie w szpitalnym łóżku, lecz na rozkładanym krześle w

sali pełnej innych pacjentów, którzy jak on leżeli na rozkładanych krzesłach. Wkrótce został zwolniony do domu z bólem głowy i krwawiącym nosem.

Nie przyznawał się przed sobą do tego, że jest nieszczęśliwy. Chciał być szczęśliwy. Udało mu się przecież pokonać dystans dzielący małą niemiecką uczelnię od nowojorskiego uniwersytetu. Stanowił teraz jego część. Chciał być szczęśliwy, bo przecież tak bardzo pragnął szczęścia, a ono wreszcie nadeszło – szczęście lub to, co w jego mniemaniu musiało się na nie składać. Czasami odzywał się jego głos wewnętrzny i nieśmiało zgłaszał zastrzeżenia co do prawdziwego charakteru owego szczęścia. Ale uciszał go, aż głos umilkł na dobre. Jeszcze w młodości – w szkole, a potem na studiach – przed każdą podróżą cierpiał istne męki. Ciężko znosił rozstania ze swoim światem i przyjaciółmi. Ale przecież tyle by go ominęło, gdyby za każdym razem decydował się pozostać w domu! W Nowym Jorku powiedział więc sobie, że najwidoczniej taki już jego los. Jeśli tylko przezwycięży wątpliwości, znajdzie szczęście tam, gdzie z początku nic go nie będzie zapowiadać.

2

Zaproszenie do Nowego Jorku przyszło i w tym roku. Wyjął kopertę ze skrzynki i otworzył ją w drodze na ławkę, na której zwykł czytać poranną korespondencję.

Uniwersytet Nowojorski, z którym związał się przed dwudziestu pięciu laty, zwracał się do niego z prośbą, by następnej wiosny poprowadził seminarium.

Ławka stała nad jeziorem. Tę część parceli oddzielała od reszty działki boczna uliczka. Gdy decydowali się na kupno domu, żona uważała, że ulica będzie im przeszkadzać, dzieci zresztą też, ale z biegiem czasu wszyscy zdążyli się do niej przyzwyczaić. Dla niego ten oddzielny kawałek ogrodu był od samego początku jego małym królestwem, w każdej chwili mógł się tu schronić. Z pieniędzy, które dostał w spadku, odremontowali starą stanicę wodną i przebudowali stryszek. W letnich miesiącach tam właśnie pracował. Lecz tego lata wolał siedzieć na ławce. Tu była jego kryjówka, niewidoczna od strony stancy wodnej i pomostu, gdzie często bawiły się wnuki. Gdy wypływały daleko na jezioro, mogły go zobaczyć. Machali wtedy do siebie.

Następnej wiosny nie będzie wykladał w Nowym Jorku. Już nigdy nie będzie wykladał w Nowym Jorku. Jego życie w tym mieście, życie, które z biegiem lat stało się tak oczywistą częścią jego egzystencji, że już nawet nie zadawał sobie pytania, czy go uszczęśliwia, bezpowrotnie minęło. To dlatego wracał teraz pamięcią do tamtych pierwszych miesięcy.

Wyznanie samemu sobie, że nie był wtedy szczęśliwy, nie byłoby takie najgorsze, gdyby nie pociągało za sobą kolejnego wyznania. Po powrocie z Nowego Jorku poznał kobietę. Obydwoje jechali

nieprzepisowo i zderzyli się rowerami. Taki sposób zawarcia znajomości wydał mu się sympatyczny. Spotykali się przez dwa lata. Chodzili do opery, teatru, restauracji. Kilka razy wyjechali razem na parę dni. Czasami ona nocowała u niego, czasami on u niej. Wydawała mu się dostatecznie ładna i wystarczająco mądra, lubił jej dotykać i lubił, gdy ona go dotykała. Był przekonany, że nareszcie dotarł do celu. Lecz gdy okazało się, że ona musi wyjechać ze względów zawodowych, związek szybko stał się uciążliwy i umarł śmiercią naturalną. Dopiero teraz przyznał sam przed sobą, że ów koniec przyjął wówczas z ulgą, że już nawet tamte dwa lata były dla niego ciężarem i że nierzadko czułby się szczęśliwszy, pozostając w domu i słuchając muzyki. Spotykał się z nią, bo miał poczucie, że ma obowiązek być szczęśliwy. Przecież udało mu się zgromadzić wszystkie składniki szczęścia.

Czy wszystkie jego romanse przebiegały według podobnego schematu? Wrócił myślami do swej pierwszej miłości. Był szczęśliwy, gdy Barbara, najpiękniejsza w klasie, poszła z nim do kina, pozwoliła się zaprosić na lody, odprowadzić do domu i pocałować pod drzwiami. Miał piętnaście lat i po raz pierwszy całował dziewczynę. Kilka lat później wzięła go do łóżka Helena. Było dobrze już od pierwszego razu, on nie skończył za wcześnie, ona też miała orgazm i do świtu pozwalała mu obdarzać się tym wszystkim, czym mężczyzna może obdarzać kobietę – on, dziewiętnastolatek, ją, trzydziestodwuletnią. Ich

związek trwał do momentu, gdy w wieku trzydziestu pięciu lat wyszła za adwokata z Londynu, z którym, jak się w końcu dowiedział, była przez te wszystkie lata zaręczona. Na egzaminie, który wtedy zdawał, wypadł dobrze, lepiej niż się spodziewał, został asystentem, pisał artykuły i książki, uzyskał tytuł profesora... Wydawało mu się, że jest szczęśliwy – a może znów to, co czuł, było tylko pragnieniem szczęścia? Może znów myślał, że musi być szczęśliwy, bo przecież wszystko się zgadza? Czyżby i tym razem brał szczęście za sumę jego składników? Przyłapał się kiedyś na tym, że zastanawia się, czy prawdziwe życie nie toczy się przypadkiem gdzie indziej, lecz zaraz przywołał się do porządku. Starał się też nie myśleć, że to próżność kazała mu zabiegać o względy Barbary i wyświadczać przysługi Helenie i że to własne zaangażowanie w służbie próżności często go nużyło.

Bał się myśleć o szczęściu swojego małżeństwa i szczęściu rodzinnym.

Chciał się cieszyć lazurem nieba, błękitem jeziora, zielenią łąk i lasu. Kochał ten krajobraz nie za to, że w dali widoczne były Alpy, lecz za łagodny łuk, z jakim wznosiły się pobliskie wzgórza, i miękki owal moszczącego się wśród nich jeziora. Po jeziorze płynęła łódka, siedzieli w niej dziewczyna i chłopak, on wiosłował, ona przerzuciła nogi przez burtę. Krople spadające z wiosła lśniły w słońcu, a niewielkie fale wzbijane przez łódkę i stopy dziewczyny jeszcze długo marszczyły gładką tafłę jeziora. To musiała być Meike,

starsza córka jego syna, i David, najstarszy syn córki. Nie rozmawiali. Odkąd przejechał samochód pocztowy, nic nie mąciło ciszy poranka. Jego żona przygotowywała w domu śniadanie, niedługo przyjdzie po niego któryś z wnuków.

Myślał o tym, że skoro jego szczęście było ułudą, to powinien potraktować ten wniosek nie jako coś negatywnego, lecz pozytywnego. Czy może być coś lepszego dla kogoś, kto chce się rozstać z życiem? Chciał odejść, bo wiedział, że ostatnie miesiące, które mu zostały, będą potworne. Nie chodziło o ból – potrafił go znieść. Odejdzie dopiero wtedy, gdy ból stanie się nie do wytrzymania.

Ale nie udawało mu się dostrzec w tym nic pozytywnego. Wyobrażenie wspólnego lata, jego ostatniego lata, było wyobrażeniem ostatniego wspólnego szczęścia. Szybko udało mu się przekonać dzieci, by przyjechały z rodzinami na cztery tygodnie do domu nad jeziorem. Ale musiał je jednak przekonywać. Musiał się też trochę postarać, by przekonać żonę. Wolała wybrać się z nim do Norwegii, skąd pochodziła jej babka i gdzie jeszcze nigdy nie byli. Miał wokół siebie całą rodzinę, z parodniową wizytą zapowiedział się też jego stary przyjaciel. Wydawało mu się, że dobrze przygotował ostatnie wspólne szczęście. Teraz jednak ogarnęły go wątpliwości, czy przypadkiem i tym razem nie zgromadził tylko jego składników.

3

– Dziadku! – usłyszał dziecięcy głosik i odgłos szybkich kroków, które przemierzały ulicę, łąkę i zdążyły w stronę jeziora. Ku niemu biegł Matthias, najmłodszy syn córki, najmłodszy z pięciorga wnucząt, krępy pięciolatek o jasnej czuprynie i niebieskich oczach. – Śniadanie gotowe. – Gdy Matthias zobaczył na jeziorze brata i kuzynkę, zaczął ich wołać i nie ustawał, póki nie podплыnęli do brzegu i nie zacumowali łódki. – Ścigamy się? – Dzieciaki puściły się biegiem, a on ruszył za nimi niespiesznie. Jeszcze rok temu wziąłby udział w wyścigu, kilka lat temu wygrałby go. Ale obserwowanie, jak wszystkie wbiegają na wzgórze, jak po chwili starsze zwalniają, bo chcą pozwolić młodszemu wygrać, to było jeszcze piękniejsze niż ściganie się razem z nimi. Tak, tak właśnie wyobrażał sobie ostatnie wspólne lato.

Wyobrażał też sobie, jak odejdzie. Zaprzyjaźniony lekarz załatwił mu specjalny koktajl, jaki podają swoim członkom organizacje oferujące pomoc w eutanazji. Lubił słowo koktajl, nigdy jeszcze żadnego nie spróbował. Jego pierwszy koktajl będzie zarazem ostatnim. Podobało mu się też określenie „anioł śmierci”, stosowane w odniesieniu do tych członków organizacji, którzy podają napój pacjentom. Będzie swym własnym aniołem śmierci. Gdy nadejdzie czas, jak gdyby nigdy nic wstanie na chwilę od stołu, przy którym będą jedli kolację, wyjdzie,

wypije koktajl, umyje butelkę, wyrzuci ją i wróci do pozostałych. Będzie przysłuchiwał się rozmowom, aż zapadnie w sen i umrze. Pozwolą mu spać i dopiero nazajutrz spostrzegą, że nie żyje. Lekarz stwierdzi ostrą niewydolność serca. Dla niego będzie to bezbolesna i spokojna śmierć, a dla nich bezbolesne, spokojne pożegnanie.

Ale czas jeszcze nie nadszedł. W jadalni właśnie nakryto do kolacji. Na początku lata rozłożył stół, wyobrażając sobie, że oboje z żoną będą zasiadać u szczytu, po jednej stronie – córka z mężem, po drugiej – syn z żoną, a na pozostałych miejscach – pięcioro wnucząt. Lecz nikt nic sobie nie robił z tej wyimaginowanej kolejności i wszyscy siadali do stołu, jak popadło. Dziś wolne miejsce pozostało akurat między synową a jej sześciolatkiem. Ferdinand nie chciał siedzieć obok matki i miał naburmuszoną minę. – Co się stało? – W odpowiedzi malec pokręcił tylko głową.

Kochał swoje dzieci i wnuki. Lubił ich towarzystwo, ich wszędobylską ruchliwość, ich rozmowy, zabawy, lubił nawet ich kłótnie i towarzyszący im hałas. Najchętniej siadywał w rogu kanapy, zajęty własnymi myślami. Był wśród bliskich, a jednocześnie sam ze sobą. W bibliotekach i kawiarniach też mu się dobrze myślało – szelest papieru, szmer rozmów, odgłosy kroków pomagały mu się skoncentrować. Gdy domownicy grali w boccie, [gra w kule, popularna w krajach śródziemnomorskich] czasem do nich dołączał, a podczas wspólnego muzykowania

akompaniował im na flecie. Gdy rozmawiali, z rzadka wtrącał własną uwagę, co ich nieodmiennie zaskakiwało, bo już zdążyli zapomnieć o jego obecności.

Kochał też swoją żonę. – To chyba oczywiste, że kocham swoją żonę – powiedziałaby, gdyby ktoś go o to zapytał. Lubił, gdy dosiadała się do niego, kiedy siedział w rogu kanapy. Jeszcze bardziej lubił patrzeć na nią, gdy byli w towarzystwie. W otoczeniu młodych ludzi młodniała w oczach, jakby znów stawała się tamtą studentką pierwszego semestru, którą poznał, gdy sam przystępował już do egzaminów końcowych. Nie było w niej wyrafinowania ani fałszu – niczego, czego pożądał w Helenie i co go w niej odstręczało. Czuł się wtedy, jakby miłość oczyszczała go z doświadczenia wykorzystywania i bycia wykorzystywanym, które pozostało mu po związku z Heleną. Wzięli ślub, gdy tylko skończyła studia. Została nauczycielką. Niedługo potem przyszły na świat dzieci, a żona wkrótce wróciła do szkoły i zaczęła pracować na pół etatu. Do wszystkiego miała dobrą rękę – do dzieci, do pracy, mieszkania w mieście i domu na wsi. Od czasu do czasu spędzała z nim i dziećmi semestr w Nowym Jorku.

Nie, mówił sobie, nie musi się bać rozmyślenia o szczęściu swojego małżeństwa i szczęściu rodzinnym. Było bez zarzutu, podobnie jak pierwsze dni tego wspólnego lata – wnuki zajmowały się sobą, dzieci cieszyły się, że mają wreszcie czas dla siebie, a żona z entuzjazmem pracowała w ogrodzie. Czternastoletni

David kochał się w trzynastoletniej Meike – on to widział, inni zdawali się tego nie dostrzegać. Pogoda dopisywała, dzień w dzień pogoda jak na zamówienie, mówiła z uśmiechem żona, burza, która nadeszła drugiego wieczora, też była jak na zamówienie, siedział na werandzie, zafascynowany czernią chmur, błyskawicami, grzmotami i wreszcie wyzwalającą ulewą.

Nawet jeśli znów zgromadził tylko składniki szczęścia, nawet jeśli szczęście tego ostatniego wspólnego lata kryło w sobie nieszczęście – co z tego? On i tak już się tego nie dowie.

4

Gdy zapadła noc i położyli się do łóżka, spytał żonę:

– Byłaś ze mną szczęśliwa?

– Cieszę się, że zostaliśmy w domu. W Norwegii nie moglibyśmy być szczęśliwsi.

– Nie, pytam, czy byłaś szczęśliwa ze mną.

Usiadła i spojrzała na niego.

– Przez te wszystkie lata naszego małżeństwa?

– Tak.

Położyła się z powrotem.

– Było mi ciężko z tym, że tak często wyjeżdżałeś. Że wiecznie zostawałam sama i sama musiałam wychowywać dzieci. Gdy Dagmar w wieku piętnastu lat uciekła z domu i nie wracała przez pół roku, nigdzie

wprawdzie nie wyjechałeś, ale cały okopałeś się w swej rozpacz. Nie było cię przy mnie. Gdy Helmut... Ale co ja gadam? Wiesz przecież, kiedy miałam lepsze, a kiedy gorsze okresy. Ja zresztą też wiem, jak było z tobą. Gdy dzieci były małe, a ja wróciłam do szkoły, czułeś się zanedbywany. Życzyłeś sobie, bym bardziej uczestniczyła w twojej karierze, bym czytała to, co piszesz. Chciałeś też częściej ze mną sypiać. – Odwróciła się na bok, plecami do niego i dodała: – Mnie brakowało przytulania.

Po chwili usłyszał jej regularny oddech. Czyżby nie mieli sobie nic więcej do powiedzenia?

Bolało go lewe biodro. Ból nie był silny, lecz jednostajny i nie przechodził, jakby chciał zagnieździć się w nim na dobre. A może już to zrobił? Czy lewa noga i biodro już od wielu dni nie sprawiały mu trudności przy wchodzeniu po schodach? Czy już od dawna nie mieszkała w nim słabość, którą pokonywał tylko dzięki wzmożonemu wysiłkowi, walcząc z szarpiącym bólem? Nie dbał o to. Gdy stawał u szczytu schodów, słabość mijała. Ale właśnie dlatego ów uporczywy ból, który na schodach nie odstępował go ani na krok, mógł być zwiastunem innego bólu, tego, który mościł się w nim właśnie teraz, bólu, który budził w nim lęk. Czy scyntygrafia kości nie wykazała ognisk w lewym biodrze?

Nie chciał pamiętać. Nie chciał upodobnić się do tych pacjentów, którzy wiedzą wszystko na temat swojej choroby, czerpią informacje z internetu, książek i rozmów

i wprawiają w zakłopotanie swych lekarzy. Lewe biodro, prawe biodro – a co za różnica? Nie słuchał, gdy lekarz wyjaśniał mu, które kości są już zaatakowane. Prędzej czy później sam to poczuje.

On też odwrócił się na bok. Czy nadal bolało go lewe biodro? A może jednak prawe? Wsłuchał się w siebie. Przez otwarte okno dobiegł go szum wiatru w koronach drzew i rechot żab. Patrząc na gwiazdy, pomyślał, że wcale nie są złote ani nie błyszczą, [... wcale nie są złote ani nie błyszczą – nawiązanie do fragmentu nietłumaczonej na język polski *Abendlied* (Pieśni wieczornej) Matthiasa Cladiusa: *Der Mond ist aufgegangen /Die goldnen Sternlein prangen.*] lecz świecą obcym i zimnym światłem niczym małe, dalekie neony.

Tak, lewe biodro nadal bolało. Prawe też. Gdy wsłuchiwał się w siebie, czuł ból czający się w nogach, czuł, jak wędruje wzdłuż kręgosłupa, karku, ramion. Ból był wszędzie, czyhał w każdej części ciała i obwieszczał mu, że teraz w nim mieszka. Że teraz tu jest jego dom.

5

Źle spał. Wstał wczesnie, podszedł na palcach do drzwi, otworzył je i ostrożnie zamknął. Podłogi, schody, drzwi – wszystko skrzypiało. Zrobił sobie w kuchni herbatę i wyszedł z kubkiem na werandę. Świtało. Śpiewały ptaki.

Czasem pomagał żonie w przygotowywaniu posiłków, nakrywaniu do stołu czy zmywaniu. Sam

jeszcze nic w życiu nie ugotował. Dawniej, gdy wyjeżdżała, obywatel się bez śniadania, a na obiad i kolację zabierał dzieci do restauracji. Tylko że dawniej brakowało mu czasu. Teraz go miał.

Znalazł w kuchni *Szkolę gotowania Dr. Oetkera* i wziął ze sobą na werandę. Z pomocą książki kucharskiej nawet jemu, naukowcowi, specjaliście od filozofii analitycznej, powinny się udać naleśniki. Nawet jemu? Jeśli nie jemu, to komu? Cokolwiek da się opisać, jest też możliwe, jak mówi Wittgenstein w *Tractatus logico-philosophicus*.

Ale w podręczniku gotowania nie figurowało hasło *naleśnik*. Czyżby naleśnik istniał jeszcze pod jakąś inną nazwą? Tego, czego nie można nazwać, nie można też odnaleźć. Tego, czego nie można znaleźć, nie można też usmażyć.

Znalazł hasło *crepe*, przeczytał, jakie czynności należy wykonać, przeliczył składniki na jedenaście osób i zabrał się do pracy. Długo trwało, nim zdołał zgromadzić sześćset osiemdziesiąt osiem gramów mąki, jedenaście jaj, dobry litr mleka, trochę więcej niż jedną trzecią litra wody mineralnej, około czterdziestu deka margaryny, cukier i sól. Złościł się, że nie podano, ile ma być soli i cukru. Jak miał sól i cukier jako takie podzielić przez cztery i pomnożyć przez jedenaście? Ku swej irytacji nie znalazł też instrukcji, jak oddzielić żółtko od białka i jak ubić białka na sztywną pianę. Chciał, by jego naleśniki były delikatne i puszyste, ale nie udało mu się przesiać

składników i połączyć ich tak, by nie powstały grudki.

Gdy wyjmował z szafki patelnię, wyslizgnęła mu się i upadła z brzękiem na kamienną posadzkę. Podniósł ją i wyteżył słuch. Po kilku sekundach usłyszał na schodach kroki żony. Weszła do kuchni, jeszcze w nocnej koszuli, i rozejrzała się.

Teraz, pomyślał. Wziął ją w ramiona. Wyczuł jej opór. Ja pewnie też byłbym sztywny jak kłoda, powiedział sobie. Ile czasu minęło od chwili, gdy ostatni raz się obejmowali? Trzymał ją mocno. Opór żony nie zelżał, lecz odwzajemniła jego gest.

– Co tu robisz?

– Naleśniki. Chciałem właśnie usmażyć egzemplarz próbny. Za resztę zabiorę się, gdy wszyscy zejną na dół. Przepraszam, nie chciałem cię zbudzić.

Spojrzała na kuchenny stół, na którym stała miska z ciastem, na mąkę, jajka, margarynę.

– To twoje dzieło?

– Tak, chcesz spróbować egzemplarza próbnego? – Wypuścił ją z objęć, włączył kuchenkę i postawił patelnię na gazie. Zerknął do książki kucharskiej, rozpuścił margarynę, wylał na patelnię trochę ciasta, podniósł na wpół usmażony naleśnik i odłożył go na talerz, następnie rozpuścił kolejną porcję margaryny, odwrócił naleśnik, położył go drugą stroną na patelni i wreszcie, gdy cały był już zrumieniony na złoto, dał do spróbowania żonie.

Ugryzła kawałek.

– Smakuje jak prawdziwy.

– Dostanę całusa? – Posłała mu zdziwione spojrzenie. Kiedy, pomyślał znowu, ostatnio się całowaliśmy?

Powoli odłożyła talerz i widelec, podeszła do kuchenki, przy której stał, pocałowała go w policzek i przystanęła obok, jakby nie bardzo wiedząc, co dalej.

– Co tu się dzieje? – W drzwiach stanęła Meike i spojrzała na nich pytająco.

– On smaży naleśniki.

– Dziadek smaży naleśniki? – Nie mogła uwierzyć. Ale na stole stały przecież składniki, miska z ciastem, patelnia, na talerzu leżał niedojedzony naleśnik, a dziadek miał na sobie kuchenny fartuch. Meike odwróciła się na pięcie, wbiegła po schodach na górę i załomotała do drzwi pokoi pozostałych domowników. – Dziadek smaży naleśniki!

6

Tego dnia nie spędził z dala od wszystkich na swojej ławce nad jeziorem – przyniósł sobie krzesło i usiadł na pomoście. Otworzył książkę, lecz nie czytał. Wolał przyglądać się wnukom.

Tak, David był zakochany w Meike. Jak się przed nią popisywał, starając się na każdym kroku wyglądać nonszalancko, jak przed skokiem na główkę z przerzutem upewniał się, czy patrzy, jak chwalił się książkami, które przeczytał, filmami, które obejrzał, z jakąż nihilistyczną

obojętnością mówił o swojej przyszłości! Czyżby Meike niczego nie zauważała – a może tylko udawała, że nie zauważa? Nie sprawiała wrażenia, jakby David jej imponował, była beztroska i nie poświęcała mu większej uwagi ani nie darzyła go większą serdecznością niż pozostałych.

Cierpienia pierwszej miłości! Widząc całą niepewność Davida, poczuł się tak samo zagubiony jak przed ponad pięćdziesięcioma laty. On też chciał wówczas zdobyć cały świat. Czasem był przekonany, że na pewno mu się uda, czasem – że jest nikim. I jemu wydawało się, że Barbara będzie musiała go pokochać, gdy zobaczy, na co go stać i jak bardzo ją kocha, lecz nie potrafił ani pokazać, na co go stać, ani wyznać jej, że ją kocha. On także doszukiwał się obietnicy w każdym najmniejszym geście, który mógł świadczyć o jej uwadze czy bliskości, choć dobrze wiedział, że Barbara niczego mu nie obiecywała. On także chował się w skorupie heroicznej obojętności, dzięki której w nic nie wierzył, na nic nie liczył, niczego nie potrzebował. Do czasu, gdy uczucie znów brało go w posiadanie.

Ogarnęło go współczucie dla wnuka i siebie samego. Cierpienia pierwszej miłości, bóle dorastania, rozczarowania dorosłego życia – bardzo chciał powiedzieć Davidowi coś pocieszającego i krzepiącego, lecz nie wiedział co. Zresztą zdawał sobie sprawę, że i tak nie może mu pomóc. Wstał i usiadł po turecku na pomoście, obok wnuków.

– Poważnie, dziadku, nie spodziewałem się, że potrafisz usmażyć naleśniki.

– Spodobało mi się gotowanie. Czy mogę liczyć na to, że jutro moje najstarsze wnuki pomogą mi w kuchni? Nie chcę być zbyt ambitny, ale myślę, że z waszą pomocą spaghetti bolognese i sałatka powinny mi się udać.

– A na deser mousse au chocolat?

– Jeśli znajdę przepis w waszym podręczniku Doktora Oetkera.

Potem siedzieli obok siebie, nie odzywając się. Przerwał im, ale nie wiedział, jak zacząć rozmowę we trójkę.

– Pójdę już. Jutro o jedenastej? Najpierw zakupy, a potem gotowanie?

– Super, dziadku, ale przecież jeszcze się zobaczymy – odparła Meike z uśmiechem.

Wrócił na swoje krzesło. Matthias i Ferdinand znaleźli płytkie miejsce kilka metrów od brzegu, przytargali tyle kamieni, ile udało im się znaleźć, i zbudowali wyspę. Rozejrzał się za dwunastoletnią siostrą Davida i Matthiasa.

– Gdzie Ariane?

– Na ławce.

Wstał i podszedł do swojej ławki. Bolało go lewe biodro. Ariane czytała ze stopą opartą o poręcz i książką na kolanie. Usłyszała, że się zbliża, i podniosła wzrok.

– Mogę tu siedzieć?

– Oczywiście. Mogę się do ciebie dosiąść?

Zdjęła nogę z ławki, zamknęła książkę i zrobiła mu miejsce. Zauważyła, że zerknął na tytuł. *Listonosz zawsze dzwoni dwa razy.*

– Stała u was na półce. Może to faktycznie nie dla mnie. Ale trzyma w napięciu. Myślałam, że będziemy częściej coś razem robić. Ale David interesuje się tylko Meike, a Meike tylko Davidem, nawet jeśli udaje, że tak nie jest, a on tego nie widzi.

– Jesteś pewna?

Spojrzała na niego z politowaniem biorącym się z przedwczesnej dojrzałości i skinęła głową. Będzie z niej piękna kobieta, pomyślał i wyobraził sobie, jak pewnego dnia Ariane zdejmuje okulary, rozpuszcza włosy i wydyma usta.

– A więc tak to z nimi jest. A może my byśmy coś razem zrobili?

– Co?

– Możemy wybrać się na zwiedzanie kościołów i zamków albo odwiedzić mojego znajomego malarza, albo złożyć wizytę mechanikowi, którego warsztat wygląda jak przed pięćdziesięciu laty.

Zastanowiła się, wstała i powiedziała:

– Dobrze, chodźmy odwiedzić malarza.

7

Po tygodniu żona spytała:

– Co się dzieje? Jeśli to lato jest takie, jak powinno, to wszystkie dotychczasowe nie miały sensu, a jeśli wszystkie dotychczasowe były takie, jak powinny, to z tym jest najwyraźniej coś nie tak. Nic już nie czytasz, przestałeś pisać. Włóczysz się gdzieś tylko z wnukami albo z dziećmi, a wczoraj przychodzisz do mnie do ogrodu i ni z tego, ni z owego oświadczasz, że będziesz przycinał żywopłot. Dotykasz mnie przy każdej nadarzającej się okazji. Naprawdę, jakbyś nie mógł oderwać ode mnie rąk. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie wolno ci mnie dotykać, przeciwnie... – Oblała się rumieńcem i pokręciła głową. – W każdym razie coś się zmieniło. Chciałabym wiedzieć, co.

Siedzieli na werandzie. Dzieci pojechały do przyjaciół, a wnuki leżały już w łózkach. Zapalił świeczkę, otworzył butelkę wina. Nalał jej, a potem sobie.

– Wino przy świecach, tego też jeszcze nie przerabialiśmy.

– Czy w takim razie nie najwyższa pora, bym zaczął? Tak samo z wnukami, dziećmi, żywopłotem? Bym znów poczuł, jak dobrze cię dotykać? – Objął ją w talii.

Strząsnęła jego rękę.

– Nie, Thomasie Wellmer. Tak nie. Nie jestem maszyną, którą możesz włączać i wyłączać według własnego widzimisię. Inaczej wyobrażałam sobie nasze małżeństwo, ale widocznie tak się nie dało, więc urządziłam się w nim na tyle, na ile pozwalały możliwości. Nie dam się zwieść jakimś przejściowym

nastrojem, jednym latem, które po kilku tygodniach minie. Już wolę sama przycinać żywopłot.

– Przystałem pracować na uniwersytecie trzy lata temu. Przykro mi, że potrzebowałem aż tyle czasu, by zrozumieć, na czym polega spokój, jaki daje emerytura. Na uniwersytecie przejście w stan spoczynku nie jest tak radykalne jak w urzędzie, człowiek ma przecież jeszcze doktorantów, tu seminarium, tam znów komisję, myśli sobie, że właściwie powinien zabrać się do pisania o tym, o czym zawsze chciał, a na co nigdy nie starczało mu czasu. To tak, jakbyś wyłączyła silnik i jechała dalej na jałowym biegu. A gdy jeszcze w dodatku droga jest lekko spadzista...

– Ty jesteś samochodem, któremu emerytura wyłączyła silnik. A kto jest spadzistą drogą?

– Wszyscy, którzy traktowali mnie tak, jak gdyby silnik był jeszcze włączony.

– Wynika z tego, że muszę cię traktować w specjalny sposób. Nie jakby silnik jeszcze chodził, lecz jak gdyby był wyłączony. Wtedy...

– Nie, nic nie musisz. Za trzy lata samochód i tak przestanie się toczyć.

– ... to dlatego od teraz zajmujesz się wnukami i przycinasz żywopłot?

– I nie mogę oderwać od ciebie rąk – zaśmiał się.

Siedzieli ramię w ramię. Czuł jej sceptycyzm. Jeśli jeszcze raz otoczyłby ją ramieniem, może nie strząsnęłyby jego ręki – w końcu mieli właśnie za sobą poważną

rozmowę. Ale czekałaby na to, by cofnął rękę. Chociaż... może po chwili położyłaby mu głowę na ramieniu? Podobnie jak podczas robienia naleśników objęła go nie w geście zgody czy obietnicy, lecz ot tak, po prostu.

8

Zabiegał o nią. Rano przynosił jej do łóżka herbatę, a gdy pracowała w ogrodzie – lemoniadę. Przycinał żywopłot i kosił trawnik, co wieczór gotował, najczęściej asystowała mu Ariane. Gdy wnuki się nudziły, zajmował się nimi, pilnował, by nie wyczerpały się zapasy soku jabłkowego, wody mineralnej i mleka. Codziennie zapraszał żonę na spacer tylko we dwoje, z początku zaraz chciała wracać do domu, do pracy, lecz później pozwalała mu wydłużać trasy i trzymać się za rękę – tylko do chwili, w której znów jej potrzebowała, żeby coś podnieść, zerwać, zbadać. Któregoś wieczora pojechał z nią do jednogwiazdkowej restauracji na drugim brzegu jeziora. Kolację podano im na łące pod drzewami owocowymi. Patrzyli na jezioro, błyszczące w świetle zachodzącego słońca niczym roztopiony ołów z domieszką brązu, o gładkiej tafli, którą zmąciły dopiero dwa łabędzie, lądując na niej z głośnymi uderzeniami skrzydeł.

Położył rękę na stole.

– Wiesz, że łabędzie...

– Wiem. – Przykryła jego dłoń swoją.

– Gdy wrócimy do domu, chciałbym się z tobą kochać.

Nie cofnęła dłoni.

– Pamiętasz, kiedy spaliśmy ze sobą ostatni raz?

– Przed twoją operacją?

– Nie, potem. Myślałam, że już możemy. Powiedziałeś mi, że jestem tak samo piękna jak przed operacją i że kochasz moją nową pierś równie mocno jak poprzednią. Lecz gdy poszłam do łazienki i zobaczyłam czerwoną bliznę, dotarto do mnie, że jest jeszcze za wcześnie i że to wszystko jest tylko męczące, i dla mnie, i dla ciebie. Zareagowałeś wyrozumiale i taktownie, powiedziałeś, że nie chcesz mnie ponaglać. Poprosiłeś, żebym dała sygnał, gdy będę gotowa. Ale gdy nie dałam żadnego sygnału, też ci to odpowiadało, zresztą sam również niczego nie sugerowałeś. Potem dotarto do mnie, że przed operacją wcale nie było inaczej i że wtedy też do niczego nie dochodziło, gdy nie wysyłałam ci sygnałów. Nie chcę już niczego sygnalizować.

Skinął głową.

– Stracone lata... Nawet nie wiesz, jak mi ich szkoda. Myślałem wtedy, że muszę sobie coś udowodnić i zostać rektorem, sekretarzem stanu lub prezesem zjednoczenia, i czułem się przez ciebie zdradzony, bo nie brałaś w tym udziału. A przecież miałaś rację. Gdy oglądam się wstecz, widzę, że tamte lata nie miały żadnego znaczenia. Były tylko głośnie i szybkie.

– Miałaś kochankę?

– O nie. Poza pracą nie istniało dla mnie nic i nie istniał nikt. W przeciwnym razie nie dałbym sobie z nią rady.

Roześmiała się cicho. Czyżby przypomniała sobie zaciekłość, z jaką wówczas pracował? A może poczuła ulgę, bo powiedział, że nie miał kochanki?

Poprosił o rachunek.

– Myślisz, że moglibyśmy jeszcze...?

– Boję się tak samo jak za pierwszym razem. Albo jeszcze bardziej. Nie wiem, jak będzie.

9

Do niczego nie doszło. Gdy leżał w jej objęciach, przyszedł ból. Wybuchł w kości ogonowej i rozlewał się falami w kierunku bioder i ud. Był gorszy od najgorszego bólu, jaki nawiedził go kiedykolwiek. Zniszczył jego pożądanie, uczucia, myśli. Uczynił z niego swojego niewolnika, sprawił, że nie potrafił skupić się na niczym innym prócz samego bólu, że nie był nawet w stanie życzyć sobie, by wreszcie ustał. Jęknął, wbrew swojej woli i nie zdając sobie nawet z tego sprawy.

– Co się dzieje?

Obrócił się na plecy i przycisnął dłonie do czoła. Co miał powiedzieć?

– To chyba najgorszy jak dotąd atak ischiasu.

Wstał z wysiłkiem. W łazience wziął novalgin, który

lekarz przepisał mu na wypadek kryzysu. Oparł się o umywalkę i spojrzął w lustro. Chociaż czuł się tak jak jeszcze nigdy w życiu, jego twarz wyglądała jak zawsze. Ciemnoblond włosy z siwymi pasmami, posiwiałe skronie, oczy mieniające się odcieniami szarości i zieleni, twarz naznaczona głębokimi bruzdami u nasady nosa i nad ustami, wystające z nosa włoski, które zamierzał nazajutrz przyciąć, wąskie usta – poczuł ulgę na myśl, że może dzielić ból z tą dobrze znaną twarzą i na przekór wszystkiemu zapewniać ją i pozwolić, by na przekór wszystkiemu ona także zapewniała jego, że stary piernik jeszcze całkiem nieźle się trzyma. Gdy ból osłabł, wrócił do sypialni.

Żona już spała. Usiadł na skraju łóżka ostrożnie, by jej nie zbudzić. Jej powieki drżały. Może była dopiero w połowie drogi między snem a jawą? Czy coś śniła? Co? Tak dobrze znał tę twarz. Młodą, która w niej mieszkała, i starą. Tę dziecięcą, radosną, ufną, i tę zmęczoną, zgorzkniałą. Jak te dwie różne twarze razem wytrzymały?

Nie wstawał. Nie chciał prowokować bólu. Ból pokazał mu, że nie tylko w nim mieszka, ale także, że jest panem domu. Właśnie wycofał się do najdalszego pokoju, lecz zostawił otwarte drzwi, by pojawić się znowu, na wypadek gdyby nie okazano mu należytego szacunku.

Wzruszały go włosy żony. Były ufarbowane na brązowo i odrastały, siwe i białe – jej walka ze starością, podejmowana wciąż na nowo, walka, którą raz po raz

przegrywała, lecz której jeszcze nie uznała za ostatecznie przegraną. Gdyby żona nie farbowała włosów, wyglądałaby ze swoim orlim nosem, wysoko osadzonymi kośćmi policzkowymi, zmarszczkami i nieprzeniknionymi oczami jak stara, mądra Indianka. Dotąd nie udało mu się ustalić, czy jej niezgłębiony wzrok wyrażał głębię myśli i uczuć, czy raczej ich zupełny brak. Już się tego nie dowie.

Nazajutrz rano przeprosiła go.

– Przykro mi. Szampan, wino, kolacja, wspólna noc, która skończyła się akurat, gdy zaczęło być tak pięknie, twój ischias – to było dla mnie trochę za dużo. Zasnęłam z tego wszystkiego.

– Nie, to mnie jest przykro. Lekarz mówił, że mam się liczyć z atakami ischiasu i gdy się pojawią, brać tabletki. Nie przypuszczałem, że atak może być tak silny i przychodzić w tak nieodpowiednim momencie. – Bał się obrócić na bok i wyprostował rękę.

Położyła mu głowę na ramieniu.

– Muszę zrobić śniadanie.

– Nie, nie musisz.

– Właśnie, że muszę.

Kokietowała go. Poprosił swój ból, by raczył zostać w najdalszym pokoju, przynajmniej tego ranka, przez jedną godzinę.

– Może na mnie usiądziesz?

Gdy zeszli na dół, pozostali właśnie kończyli śniadanie. Ariane spojrzała na dziadka i babcię, jakby знаła przyczynę ich spóźnienia. Dwunastoletnia Ariane? Ale zaczerwienił się, jego żona też. Potem pocałowała go, jakby chciała wszystkim pokazać, że właśnie coś między nimi zaszło.

Okolo południa odebrał z dworca swojego starego przyjaciela. Pociąg wjechał i zatrzymał się na peronie. Wagon był za wysoki, a peron za niski i przyjaciel musiał zeskoczyć ze stopnia. Zrobił to ze zrezygnowanym uśmiechem, jakby przygotowany na to, że upadnie i że zamiast krótkiej wizyty u starego przyjaciela czeka go długi pobyt w prowincjonalnym szpitalu.

Zrezygnowany, jakby jeszcze przed rozpoczęciem zabawy konstatawał, że już po wszystkim, a zarazem pełen pogodnego uroku, jakby mu to wcale nie przeszkadzało – zawsze taki był. Tak też studiował, bez zbytniego wysiłku i ambicji, lecz zawsze dla wszystkich życzliwy i przez wszystkich lubiany. Lubili go także egzaminatorzy, a później – pracodawcy. Został wziętym adwokatem, a sukces zawdzięczał w równej mierze fachowej wiedzy, jak i sposobowi, w jaki obchodził się z klientami, prokuratorami i sędziami. Byli nim oczarowani. Podobnie jak żony i dzieci jego przyjaciół. Kochały go, choć i wśród żon jego przyjaciół znalazły się takie, które chciały mieć swoich mężów tylko dla siebie, bez jakichś tam starych przyjaciół.

Jego syn Helmut przepadał za przyjacielem. Gdy byli mały, często zabierali go ze sobą na urlop – męskie wakacje. W zimie jeździli na nartach, a gdy on sam nie miał już siły ani ochoty, przyjaciel, który szusował po stokach w džinsach i płaszczu, brał Helmuta i zjeżdżali razem, synek między nogami przyjaciela. Dla malca był mężczyzną w wielkim rozwiewającym się płaszczu, przyjacielem ojca, który bezpiecznie i szybko ujeżdżał z nim do doliny, bohaterem w rodzaju Batmana. Później Helmut zasięgał u niego rad w związku ze studiami i pracą. Gdyby nie on, syn nie wybrałby zawodu adwokata. Chciał nawet pojechać na dworzec razem z ojcem. Ale chwile spędzone podczas jazdy do domu i następnego wieczora w drodze powrotnej były dla przyjaciół jedyną okazją, by pobyć tylko we dwóch, W samochodzie rozmawiali o emeryturze, rodzinach, lecie. Potem przyjaciel spytał:

– Jak tam twój rak?

– Zatrzymajmy się tam, na górze – odparł, wskazując wzniesienie, na które właśnie wjeżdżali. – I przejdźmy się trochę.

Raz po raz zadawał sobie pytanie, czy ma opowiedzieć przyjacielowi o swoim planie. Nie mieli przed sobą żadnych tajemnic, a o raku rozmawiało im się o tyle swobodniej, że obydwaj dzielili ten sam los, u obydwu przed laty zdiagnozowano chorobę, wprawdzie w innej postaci i o innym przebiegu, lecz w obu przypadkach wiązało się to z operacją, naświetlaniem i

chemoterapią. Ale czy z taką wiedzą przyjaciel mógłby spojrzeć w oczy jego rodzinie?

Szli grzbietem wzgórze. Po prawej stronie zaczynał się las, po lewej roztaczał się widok na jezioro, góry, a w dali na Alpy. Było ciepło. Miękkie, nasycone ciepło lata.

– To tylko kwestia czasu, kiedy kości odmówią mi posłuszeństwa. Niedługo zaczną się kruszyć i łamać, a ból stanie się nie do zniesienia. Czasami mam przedsmak tego, jak będzie, ale na razie daję sobie radę. A twój rak?

– Nie odzywa się, już od czterech lat. W zeszłym miesiącu miałem wyznaczone badanie i po raz pierwszy po prostu nie poszedłem. – Przyjaciel rozłożył ręce, jakby godząc się na nieuchronność losu. – Co zrobisz, gdy ból stanie się nie do wytrzymania?

– A ty co byś zrobił?

Przyjaciel nie odpowiadał i przez długą chwilę szli w milczeniu. Nagle się roześmiał.

– Cieszyłbym się latem tak długo, jak się da. Bo cóż innego?

11

Po kolacji usiadł w rogu kanapy i przyglądał się, jak pozostali grają w grę, w której mogło uczestniczyć najwyżej osiem osób. Nie zwracając niczyjej uwagi, raz po raz zmieniał pozycję i kładł poduszkę to pod plecy, to przy biodrze, to przy udzie. Każda zmiana przynosiła

ulgę, dopóki ból nie umościł się w nowej pozycji równie wygodnie jak w starej. Wziął novalgin, ale tabletki już nie pomagały. Co teraz? Pojechać do miasta i poprosić lekarza o morfinę? A może już nadszedł czas, by wyjąć z lodówki do wina butelkę, którą schował za opróżnionym do połowy szampanem, i wypić koktajl?

W jego scenariuszu ostatniego wieczora nie było miejsca na ból. Jednak teraz zaczynał rozumieć, że wybranie odpowiedniego momentu wcale nie było takie proste. Im bardziej jego stan będzie się pogarszał, tym rzadsze, tym cenniejsze staną się bezbolesne wieczory, tym trudniej będzie z nich zrezygnować. Jakże wydać taki wieczór na pastwę śmierci? Ale przecież nie chciał umierać w bólach. Czyżby morfina rzeczywiście była dla niego rozwiązaniem? Czy z jej pomocą bezbolesne wieczory nie będą już rzadkością, z której nie sposób zrezygnować, lecz staną się realnymi okazjami, by odejść?

Drzwi i okna były pootwierane, ciepły wiatr przywiał komary znad jeziora. Jeden przysiadł mu na lewym ramieniu, chciał go zabić, lecz nagle nie mógł podnieść prawej ręki. Jakby nie należała do niego. Gdy zmienił ułożenie ciała, czucie wróciło, i nie opuściło go także, gdy usiadł tak samo jak wtedy, gdy ręka odmówiła mu posłuszeństwa. Wypróbowywał różne pozycje, w każdej mógł podnieść rękę, aż w końcu zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie wyobraził sobie swojej słabości. Ale w głębi duszy wiedział, co się święci, wiedział, że znów

wydarzyło się coś, co sprawiło, że nic już nie będzie takie jak przedtem.

Domownicy skończyli grać i przyjaciel zaczął opowiadać o przypadkach, nad którymi pracowała właśnie jego kancelaria. Dzieci, gdy były małe, nigdy nie mogły do woli nasłuchać się opowieści o jego pracy, to samo było teraz z wnukami. Zawstydzalo go to. Go miał do opowiedzenia swoim dzieciom? Co mógł opowiedzieć wnukom? To, że Kant dobrze grał w bilard i w ten sposób zarabiał na studia, że Hegel z żoną naśladowali życie Martina Lutera i jego żony Katarzyny von Bora, że Schopenhauer paskudnie traktował swoją matkę i siostrę, a Wittgenstein otaczał swoją siostrę troskliwą opieką? Znał kilka anegdot o filozofach i kilka historycznych, które opowiadał mu dziadek. Nie miał do opowiedzenia nic ciekawego, co dotyczyłoby jego pracy. Jak świadczyło to o nim samym? O jego pracy? O filozofii analitycznej? Czy i ona była tylko wyrafinowanym trwonieniem ludzkiej inteligencji?

Potem, po usilnych namowach domowników, przyjaciel usiadł do fortepianu. Uśmiechnął się do niego i zagrał chaconę z *Partity d-moll* Menuhina, którą słyszeli jako studenci i obydwaj pokochali. Nie wiedział, że istnieje wersja na fortepian i że przyjaciel umie ją grać. Czyżby nauczył się jej dla niego? Czy to jego prezent pożegnalny? Muzyka i prezent od przyjaciela tak go wzruszyły, że napłynęły mu do oczu łzy i płynęły nadal, gdy przyjaciel zaczął grać jazz – czyli to, czego dzieci i

wnuki chciały słuchać od samego początku.

Jego żona, widząc to, usiadła obok i oparła mu głowę na ramieniu.

– Mnie też zbiera się na płacz. Dzień tak pięknie się zaczął i tak pięknie się kończy.

– Tak.

– Może pójdziemy na górę? Zrozumieją przecież, gdy zobaczą, że już poszliśmy.

12

Potem nadszedł półmetek. Wiedział, że druga połowa wspólnego lata minie szybciej niż pierwsza – a pierwsza zleciała w mgnieniu oka. Zastanawiał się, co chciałby powiedzieć jeszcze swoim dzieciom. Dagmar – żeby się tak nie martwiła o swoje dzieci? Że jest dobrym biologiem, żeby nie marnowała zdolności i wróciła do pracy? Że rozpieszcza męża, a to nie jest dobre ani dla niego, ani dla niej? Helmuta spytałby, czy naprawdę tak bardzo interesuje się fuzjami firm i tym, która którą przejmuje? Czy rzeczywiście tak ważne jest dla niego gromadzenie pieniędzy? Czy nie chciałby pójść za przykładem starego przyjaciela i zostać zupełnie innym adwokatem?

Nie, to niemożliwe. Dagmar z własnej woli wyszła za nadętego głupca, pozostawała tylko nadzieja, że tego nie zauważy i że będzie nadal żyć zaślepiona jego bogactwem

i dobrymi manierami. Helmut zasmakował w pieniądzach i uzależnił się od nich, a jego żona z tego korzystała. Czy to brak pewności siebie sprawił, że jego dzieci wybrały to powierzchowne życie, może dał im jej za mało. Teraz już nie może tego naprawić. Ale może im powiedzieć, że je kocha. To, co z taką łatwością mówili rodzice i dzieci w amerykańskich filmach, przejdzie przez gardło i jemu.

Cokolwiek było nie w porządku z jego dziećmi – tego lata zachowywały się skromnie, zgodnie i kochająco. Nie cieszyłyby się tak bardzo wnukami, gdyby ich rodzice także nie dostarczali mu powodów do radości. Nie, nie mógł dać dzieciom żadnych wskazówek na dalsze życie. Mógł im tylko powiedzieć, że je kocha.

Pewnego dnia poczuł tak silny ból, że wybrał się pociągiem do miasta i poprosił lekarza o morfinę. Lekarz z ociąganiem wypisał mu receptę, udzielając wszelkich pouczeń co do jej dozowania i działania. Aptekarka, u której zaopatrywał się od dziesięcioleci, była bardziej ludzka. Ze smutnym uśmiechem podała mu opakowanie i szklankę wody. – A więc to już – powiedziała.

Nie zdążył na popołudniowy pociąg i wrócił do domu dopiero późnym wieczorem. Zostawił samochód przy dworcu, nie był pewien, czy da radę prowadzić, lecz nie miał innego wyjścia. Ulice były puste i bezpiecznie dotarł do domu. Willa tonęła w ciemności. Wszyscy spali, nie musiał się więc z niczym spieszyć. Mógł usiąść na ławce nad jeziorem. Mógł rozkoszować się pewnością, że tego wieczora ból nie tylko wycofał się do najdalszego pokoju,

lecz także zamknął za sobą drzwi.

13

Usłyszał kroki i poznał, że zbliża się żona. Przesunął się na drugi koniec ławki, robiąc jej miejsce.

– Słyszałaś samochód?

Usiadła, nie odpowiedziawszy na pytanie. Gdy chciał ją otoczyć ramieniem, pochyliła się do przodu i jego ręka zawisała w powietrzu. Podniosła do góry butelkę z koktajlem i spytała:

– Czy to jest to, co myślę?

– A co myślisz?

– Thomasie Wellmer, nie graj ze mną w żadne gierki. Co to jest?

– To wyjątkowo silny środek przeciwbólowy, który trzeba przechowywać w chłodnym miejscu i który nie może dostać się w ręce wnuków.

– Dlatego schowałeś go w lodówce do wina za butelką szampana?

– Tak. Nie rozumiem, o co...

– Mam wyjątkowo silne bóle. Odkąd znalazłam tę butelkę, gdy pewnego dnia chciałam zrobić dla nas obojga kolację i podać do niej szampana, dręczą mnie wyjątkowo silne bóle. Najlepiej więc będzie, gdy od razu wypiję całą jej zawartość. – Odkręciła zakrętkę i podniosła butelkę do ust.

– Nie rób tego.

Skinęła głową.

– Pewnego wieczora, gdy będziemy siedzieć sobie miło wszyscy razem, wyjdiesz, wypijesz zawartość butelki, wrócisz do nas i zaśniesz. Może wcześniej powiesz jeszcze, że jesteś wyjątkowo zmęczony, że pewnie zaraz zaśniesz i żebyśmy pozwolili ci spać?

– Nie planowałem tego tak dokładnie.

– Ale chciałeś to zrobić, nic mi nie mówiąc, o nic mnie nie pytając, nie rozmawiając ze mną. Na tyle dokładnie już to zaplanowałeś. Mam rację?

Wzruszył ramionami.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi. Chciałem odejść, gdy ból stanie się nieznośny. Chciałem odejść i nie stwarzać nikomu problemów.

– Pamiętasz nasze wesele? Póki śmierć nas nie rozłączy? Nie: póki ty nie wkradniesz się w jej łaski i mi z nią nie uciekniesz. Przypominasz sobie, że nie chciałam dać się zwieść szczęściem jednego lata, które minie po kilku tygodniach? Myślałeś, że nie dowiem się prawdy? Albo że gdy się dowiem, będziesz już martwy i nie będę mogła się z tobą rozmówić? Nie miałeś kochanki, ale to, jak mnie teraz oszukałeś, wcale nie jest lepsze, nie, to jeszcze gorsze.

– Liczyłem na to, że nic się nie wyda. Myślałem, że to piękne pożegnanie. Co ty byś...

– Piękne pożegnanie? Ty odchodzisz, a ja o tym nie wiem? To ma być piękne pożegnanie? To nie jest żadne

pożegnanie. W każdym razie ja nie biorę w nim udziału. I nie żegnasz się ze mną, lecz ze sobą, chcesz, bym była obok w roli statystki.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego tak się oburzasz...

Wstała.

– Tak, sam nie rozumiesz, co robisz. Jutro rano powiem dzieciom i wyjadę. Rób sobie tutaj, co chcesz. Nie zostanę z tobą jako statystka i zdziwiłabym się, gdyby dzieci zostały. – Postawiła butelkę na ławce i poszła.

Pokręcił głową. Coś zrobił nie tak. Nie wiedział dokładnie, co. Ale bez wątpienia wydarzenia wzięły inny obrót, niż planował. Następnego dnia będzie musiał porozmawiać z żoną. Już dawno nie widział jej tak wzburzonej.

14

Nie leżała we wspólnym łóżku, gdy kładł się spać, i nie było jej obok, gdy wstawał. Przygotował z dziećmi śniadanie i obudził wnuki. Weszła, gdy wszyscy siedzieli przy stole. Nie usiadła.

– Wyjeżdżam do miasta. Wasz ojciec chce jednego z nadchodzących wieczorów zabić się w gronie najbliższych. Dowiedziałam się o tym tylko przez przypadek, nie zamierzał mi o niczym mówić, chciał po prostu wypić swój koktajl, zasnąć i umrzeć. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Niech sam przeprowadzi do końca

to, co sobie wymyślił.

Dagmar powiedziała do swojego męża:

– Zabierz dzieci i zrób coś z nimi. Nie tylko nasze, wszystkie. – Powiedziała to tak stanowczo, że jej mąż wstał i wyszedł, zabierając ze sobą wnuki. – Potem zwróciła się do swojego ojca: – Chcesz się zabić? Tak jak mówi mama?

– Myślałem, że nie wszyscy muszą o tym wiedzieć. Właściwie nikt nie musiał o tym wiedzieć. Ból jest coraz silniejszy i chciałbym odejść, gdy stanie się nie do zniesienia. Co w tym niewłaściwego?

– To, że nic nam nie powiedziałeś i nie miałeś nawet takiego zamiaru. A jeśli nie nam, dzieciom, to przynajmniej mamie. Przecież to, w którym momencie ból stanie się nie do zniesienia, zależy też od tego, ile pomoże ci znieść mama. Myślałam, że i my... – Dagmar posłała ojcu rozczarowane spojrzenie.

Helmut wstał.

– Daj spokój, Dagmar. To sprawa między matką a ojcem. Ja w każdym razie nie mam zamiaru się wtrącać i ty też lepiej się w to nie mieszaj.

– Kiedy to właśnie nie jest sprawa między matką a ojcem. Przecież mama powiedziała, że nie chce mieć z tym nic wspólnego. – Dagmar spojrzała na brata zdezorientowana.

– To też jest jakiś sposób na rozprawienie się z ojcem. Wstawaj, pakujemy się i wyjeżdżamy – zakomenderował.

Poszli. Dagmar wstała z ociąganiem, spojrzała pytająco na rodziców, nie otrzymała odpowiedzi i wyszła za bratem. Dom nappełnił się odgłosami gorączkowego opróżniania szaf i komód, zbierania książek i zabawek, zdejmowania poszewek, pakowania. Rodzice przypominali dzieciom, by przyniosły to i nie zapomniały tamtego, a dzieci były posłuszne ich poleceniom, bo czuły, że cały ich świat drży w posadach.

Żona spakowała się już w nocy. Stała jeszcze przez chwilę w kuchni i patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem. Potem spojrzała na niego.

– Jadę.

– Nie musisz nigdzie jechać.

– Muszę.

– Jedziesz do miasta?

– Nie wiem. Mam jeszcze prawie trzy tygodnie wakacji.

Poszła. Usłyszał, jak żegna się z dziećmi i wnukami, otwiera i zamyka drzwi wejściowe, odpala samochód i rusza. Wkrótce również reszta rodziny skończyła pakowanie. Przyszli do kuchni i pożegnali się z nim, dzieci z zakłopotaniem, wnuki z przerażeniem. Usłyszał, jak i oni wychodzą z domu, zatrzaszczają drzwiczki samochodów i ruszają. Potem zapadła cisza.

Nie wstawał. Nie mógł pojąć, jak dom szybko opustoszał. Nie wiedział, co ma robić. Co począć z porankiem i dniem, następnym dniem i następnym tygodniem, czy ma się zabić od razu, czy dopiero później. Wreszcie wstał i sprzątnął ze stołu, włożył do zmywarki brudne naczynia i sztućce, poszedł na górę, zebrał pościel i ręczniki i zaniósł do piwnicy. Przeciwnie niż w przypadku zmywarki jeszcze nigdy nie obsługiwał pralki, ale na półce ze środkami do prania znalazł instrukcję obsługi i zastosował się do jej zaleceń. W pralce mieściła się pościel z dwóch łóżek, będzie musiał nastawić pranie ze cztery czy pięć razy.

Poszedł nad jezioro i usiadł na ławce. Wcześniej odgłosy bawiących się i kąpiących wnuków sprawiały, że traktował to miejsce niczym biurko w bibliotece, stół w kawiarni czy kanapę w salonie – był z innymi, lecz zajęty własnymi myślami. Bez nich czuł się tylko samotny. Chciał zastanowić się, co ma zrobić, ale nic jakoś nie przychodziło mu do głowy. Po chwili pomyślał, że może zastanowi się nad jakimś filozoficznym problemem, nie wiedział jednak, nad jakim. W myślach powracały do niego sceny minionego tygodnia: David i Meike w łódce, Matthias i Ferdinand przy budowaniu wyspy, Ariane z książką na kolanie, Ariane i on u malarza, gotowanie z dziećmi, przycinanie żywopłotu, herbata i lemoniada, które przynosił żonie, ich rosnąca bliskość, poranek, kiedy się kochali. Poczuł cień tęsknoty, ledwie cień, bo jeszcze nie docierało do niego, że wszyscy wyjechali. Wiedział,

że tak jest, słyszał to na własne uszy i widział na własne oczy. Ale jeszcze tego do końca nie ogarniał.

Gdy pojawił się ból, przywitał go niemal z radością. Cieszył się jak człowiek, który znalazł się w obcym miejscu, czuje się opuszczony i nagle spotyka kogoś, kogo nie lubi, lecz z kim łączy go przeszłość w szkolnej ławce, na uniwersytecie, w zakładzie czy biurze. Spotkanie odwraca uwagę od samotności. Poza tym ból przypomniiał mu, dlaczego tu był: nie żeby realizować się wśród rodziny, lecz żeby się z nią pożegnać. Tyle że przyszło im pożegnać się trochę wcześniej i trochę inaczej.

Tak, tak właśnie było. Ale czy na pewno? Wstał, chcąc rozwiesić bieliznę po pierwszym praniu i nastawić kolejną partię. Jeszcze nim dotarł do domu, wiedział, że pożegnanie, które miał za sobą, nie tylko przyszło trochę wcześniej, ale i odbyło się inaczej, niż zamierzał. To rozstanie nie miało nic wspólnego z tym, które go czekało. Pożegnanie, które ma się za sobą, już się wydarzyło. W przypadku tego, które ma dopiero nadejść, istnieje szansa, że coś je opóźni, że coś mu przeszkodzi, że stanie się cud. Nie wierzył w cuda. Teraz jednak zrozumiał, że przez cały czas się oszukiwał. Wyobrażał sobie, że ból będzie coraz silniejszy, coraz bardziej nieznośny i wreszcie stanie się nie do wytrzymania, a decyzja o tym, by odejść, zapadnie sama z siebie. Jednak jak dotąd w miarę nasilania się bólu zwiększał po prostu dawkę środka przeciwbólowego. Decyzja, by wypić koktajl i się pożegnać, nie mogła zapaść sama z siebie.

Musiał ją podjąć, a że miał jeszcze czas, nie przyznawał się przed sobą, jakie to trudne. Gdyby złamał rękę lub nogę – może wtedy uznałby, że to już?

Czasami przyglądał się żonie, jak rozwiesza pranie. Wycierała rozpięty w ogrodzie sznur do bielizny, przynosiła z piwnicy kosz, wyciągała z niego mokre ubrania i wieszała na sznurze, przypinając klamrami, które wyjmowała z woreczka przewiązanego w pasie jak fartuch. Robił teraz wszystko tak samo jak ona. Schylał się, wyjmował z kosza pranie, a z woreczka klamry na bieliznę, stawał na palcach, by zawiesić rzeczy na sznurze, i przypinał, a przy każdym ruchu miał przed oczami żonę, nie, czuł ją całym sobą, jakby to ona wykonywała wszystkie te czynności. Ogarnęło go współczucie na myśl o jej ciele, które znosiło trudy pracy, prowadzenia domu, wychowywania dzieci, bóle porodowe i bóle poronienia, częste zapalenie pęcherza i napady migreny, współczucie tak silne, że zaczął płakać. Nie chciał płakać, ale nie mógł przestać. Usiadł na schodach werandy i patrzył przez łzy, jak wiatr wydyma rozwieszane pranie, które zaraz opadało, by wznieść się z nowym podmuchem wiatru.

Nic nie zostanie z tego ostatniego lata, które tak starannie zaaranżował. Znów zgromadził wszystkie składniki, ale szczęście zawiodło. Inaczej niż kiedyś, tym razem przez chwilę naprawdę był szczęśliwy. Ale szczęście nie chciało z nim zostać.

16

Tego samego dnia zaczął nasłuchiwać. W ogrodzie lub nad jeziorem wyteżał słuch za każdym razem, gdy wydawało mu się, że usłyszał samochód żony. Gdy był na pierwszym piętrze i złowił uchem jakiś dźwięk na parterze, nadstawiał uszu w oczekiwaniu kroków. Gdy był na parterze, bywało, że zastygał w bezruchu i nasłuchiwał, czy zaraz nie rozlegną się głosy.

W ciągu kolejnych dni ogarniała go czasami pewność, że żona podjeżdża pod dom albo wchodzi po schodach, że biegnie do niego Matthias lub że woła go Ariane. Wychodził przed dom lub wchodził na schody i rozglądał się, lecz nikogo nie było. Pewnego dnia raz po raz schodził nad jezioro, bo był przekonany, że żona przyplynie motorówką, usiądzie na ławce i będzie tam na niego czekać. Przy ławce nad jeziorem wydawało mu się to absurdalne. Lecz gdy tylko znalazł się z powrotem w domu, po krótkiej chwili znów zaczęło mu się zdawać, że słyszy słabnący warkot silnika przybijającej do brzegu motorówki.

Gdy nie słyszał już niczego prócz pustki domu i ogrodu, przestał o siebie dbać. Rytuał porannego prysznicza, golenia się i ubierania był ponad jego siły. Gdy jechał na zakupy, wciągał spodnie na dół od pizamy, a na górę zarzucał kurtkę, nie troszcząc się, co pomyślą inni. Po południu zaczynał pić, wczesnym wieczorem był już

pijany łub, gdy wziął jeszcze tabletki, niemal nieprzytomny. Tylko wtedy nie czuł żadnego bólu. Gdy był przytomny, zawsze coś go bolało, zazwyczaj całe ciało.

Pewnego wieczora przewrócił się na schodach do piwnicy i upadł, lecz był zbyt pijany, by wstać i pójść na górę. Usiadł na stopniu, oparł się o ścianę i zasnął. W nocy obudził się, czując ból w prawym ramieniu. Było spuchnięte. To nie był ten ból, który znał, lecz młody, świeży ból, który przy każdym ruchu ręki przeszywał go od stawu po palce. Mówił mu, że ma złamaną rękę. Mówił mu też, że to już.

Nie poszedł jednak po koktajl, lecz do kuchni po kawę. Zrobił sobie okład z kostek lodu, które zawinął w ręcznik, usiadł przy stole, chłodził rękę i pił kawę. Nie da rady prowadzić. Będzie musiał zadzwonić po taksówkę. Wstydził się, jak wygląda i tego, że cuchnie, zmusił się, by wejść pod prysznic, włożyć świeżą bieliznę i garnitur. Zadzwonił do przedsiębiorstwa taksówkowego i wyciągnął z łóżka starego szefa, z którym znali się od lat; obiecał przyjechać po niego osobiście. Po telefonie usiadł na tarasie i czekał. Nocne powietrze było ciepłe.

Potem wszystko działo się jak za naciśnięciem guzika. Taksówka zawiozła go do szpitala, lekarz dał mu zastrzyk i wysłał go na rentgen, pielęgniarka zrobiła zdjęcia i kazała wrócić do poczekalni. Był jedynym pacjentem, siedział w białym świetle jarzeniówek na białym plastikowym krześle i patrzył na pusty parking.

Czekał i pisał w myślach list do żony.

Nim go wywołano, minęła godzina. Do lekarza, który go przyjął, dołączył jeszcze jeden i teraz głównie on mówił. Ile jest kości ręki, jakie jest ich położenie, że złamał dwie, i które, że nie wygląda na to, by istniała konieczność operacji, wystarczy stabilny opatrunek i że wszystko będzie dobrze. Założył mu opatrunek i nakazał, by za trzy dni zjawiał się na kontrolę. Recepcja wezwie mu taksówkę.

Odwiózł go do domu stary taksówkarz, ten sam, który przywiózł go do szpitala. Rozmawiali o dzieciach. Zrobiło się jasno i gdy wysiadł, ptaki śpiewały tak samo jak tamtego poranka, gdy smażył naleśniki. Ile czasu minęło od tamtej pory? Trzy tygodnie?

17

Poszedł do swojego gabinetu i usiadł przy maszynie do pisania. Pisał na niej listy, artykuły i książki, a później przydzielono mu sekretarkę, której mógł dyktować. Na emeryturze powinien właściwie przyzwyczać się do komputera. Ale wołał albo poprosić swoją starą sekretarkę, albo w ogóle zrezygnować z pisania.

Odwykł od pisania na maszynie, a lewą ręką szło mu wyjątkowo niezdarnie. Wystukiwał palcem wskazującym litera po literze:

Nie potrafię bez Ciebie. Nie chodzi o pranie – sam wszystko piorę, suszę i składam. Nie chodzi o jedzenie – sam je kupuję i przyrządzam. Sprzątam dom i podlewam ogród.

Nie potrafię bez Ciebie, bo bez Ciebie wszystko jest niczym. Wszystko, co w życiu osiągnąłem, osiągnąłem dlatego, że miałem Ciebie. Gdyby nie Ty, nic by mi się nie udało. Odkąd Cię zabrakło, popadam w coraz większą ruinę i w końcu całkiem stracę grunt pod nogami. Na szczęście miałem wypadek i to mnie otrzeźwiło.

Przykro mi, że nie powiedziałem Ci wszystkiego o moim stanie. Że sam zaplanowałem, jak zakończę swoje życie. Że sam chciałem zdecydować o tym, w którym momencie jest już dla mnie nie do wytrzymania.

Pamiętasz tę kasetę, którą odziedziczyłem po ojcu? Zamknę w niej butelkę i schowam ją w lodówce. Klucz znajdziesz w tej kopercie – w ten sposób nie będę mógł podjąć bez Ciebie żadnej decyzji. Jeśli się okaże, że już dłużej się nie da, zdecydujemy o tym razem. Kocham Cię.

Zamknął butelkę w kasecie, wstawił kasetę do lodówki, klucz z listem włożył do koperty i zaadresował na ich wspólne mieszkanie w mieście. Poczekał na listonosza i dał mu kopertę.

Zaraz po jego odejściu opadły go wątpliwości. Jego życie, śmierć – w jej rękach? Co się stanie, jeśli list do niej nie dotrze, jeśli go nie otworzy, nie zechce? Najchętniej jeszcze raz przeczytałby, co napisał, ale nie

miał kopii. Tak czy owak, była jeszcze prawie gotowa wersja, którą wyrzucił, bo zrobił zbyt wiele błędów. Znajdzie ją pewnie w koszu na śmieci.

Gdy stanął przed biurkiem, w otwartej szufladzie zobaczył klucz. Wyjął go. Zapomniał, że ma jeszcze drugi klucz do kasety. Roześmiał się i schował go do kieszeni.

Położył się na kanapie, która stała w gabinecie, i nadrobił sen, który nie przyszedł w nocy. Gdy po dwóch godzinach obudził go ból ręki, poszedł nad jezioro i usiadł na ławce. Jeśli nie wyjechała, dostanie list jutro. Jeśli wyjechała, może to potrwać wiele dni.

Wstał, wyjął z kieszeni klucz i rzucił go lewą ręką w kierunku jeziora, najdalej jak potrafił. Klucz zalśnił w świetle słońca i błyszczał jeszcze, gdy znalazł się pod wodą. Miejsce, w którym wpadł, zmąciło kilka drobnych fal. Minęła chwila i jezioro znowu zrobiło się gładkie.

Jan Sebastian Bach na Rugii

1

Pod koniec seansu zebrało mu się na płacz. A przecież film wcale nie kończył się happy endem ani obietnicą szczęśliwej przyszłości, lecz tylko nieokreśloną nadzieją. Tych dwoje, którzy byli sobie przeznaczeni, nie spotkało się, lecz widzowi pozostawała wiara, że ich drogi jeszcze kiedyś się przetną. Główna bohaterka straciła swoją firmę, lecz odważyła się zacząć wszystko od nowa.

Straciła firmę przez siostrę, która pozbawiła ją pieniędzy. Mogła jednak spróbować jeszcze raz, bo ojciec, mrukliwy i nieco zdziwaczały staruszek, który czasami pomagał jej w opiece nad synkiem, choć mizerna to była pomoc, ni z tego, ni z owego sprzedał swój dom i kupił córce wóz dostawczy, którego potrzebowała. W jednej ze scen ojciec z córką stali na ulicy i patrzyli na samochód. Ona oparła się o niego, a on otoczył ją ramieniem. Jej firma zajmowała się sprzątnięciem na miejscach zbrodni. W ostatniej scenie filmu oboje właśnie zabierali się do pracy, w niebieskich kombinezonach i białych maskach ochronnych, związani tym rodzajem bliskości, który nie potrzebuje słów.

Szczęśliwe zakończenia coraz częściej sprawiały, że zbierało mu się na płacz. Zaczynało go gnieść w piersi, oczy mu wilgotniały i musiał odchrząknąć, zanim się

odezwał. Ale łzy nie przychodziły. A przecież tak bardzo chciałby sobie popłakać, nie tylko na filmie kończącym się happy endem, lecz także wtedy, gdy ogarniał go żal – za swoim małżeństwem, zmarłym przyjacielem albo po prostu za straconymi nadziejami i marzeniami. W dzieciństwie zasypiał czasem, tonąc we łzach – teraz już mu się to nie zdarzało.

Ostatnim razem, kiedy naprawdę chciało mu się płakać, zawzięcie dyskutowali z ojcem o polityce. Była to jedna z tych dyskusji, jakie w owych czasach młodzi toczyli ze starymi – rodzice dopatrywali się w nich zagrożenia wszystkich wartości, dla których poświęcili życie, dzieci zaś były przekonane, że chcą robić wszystko lepiej i inaczej, lecz nie daje im się do tego prawa. Rozumiał i szanował ból ojca, wywołany utratą znanego i kochanego świata, lecz chciał też, by ojciec tak samo zrozumiał i uszanował jego życzenie, by nastąpiło nowe. Lecz ojciec nawymyślał mu tylko, nazwał go naiwnym lekkoduchem i mędrkiem, zarzucił mu brak szacunku i poczucia odpowiedzialności. Wtedy poczuł, że zbiera mu się na płacz. Lecz nie chciał, by ojciec triumfował. Połykał łzy i chociaż nie był w stanie nic powiedzieć, to przecież pokazał, że ma inne zdanie.

Czy ojciec sprzedałby dom i podarował synowi samochód dostawczy, gdyby się okazało, że jest mu potrzebny? Czy włożyłby niebieski kombinezon i białą maskę ochronną i pomógł mu sprzątać miejsca zbrodni? Nie miał pojęcia. W ich życiu nie było samochodów

dostawczych, kombinezonów roboczych ani masek ochronnych. Czy ojciec udzieliłby mu wsparcia, gdyby stracił pracę ze względu na przekonania polityczne? Czy mógłby liczyć na jego pomoc, gdyby zaczął nową pracę lub życie za granicą? A może ojciec byłby zdania, że ma, czego sam chciał, i nie zasługuje na żadne wsparcie z jego strony?

Nawet gdyby przyszedł mu z pomocą – nigdy nie było między nimi takiej bezsłownej więzi, jaka łączyła w filmie ojca i córkę. To ona stanowiła happy end w pięknym zakończeniu filmu, które niczego nie przesądza. Była małym cudem. Nic dziwnego, że wzruszyła go do łez.

2

Miał zamiar wziąć taksówkę, a w domu usiąść do pisania artykułu, który redakcja chciała opublikować na początku następnego tygodnia. Ale gdy wyszedł z kina i poczuł łagodne powietrze letniej nocy, postanowił pójść piechotą. Przeciął plac, minął muzeum i ruszył wzdłuż rzeki – zdumiał się, widząc, że miasto mimo późnej pory tętni jeszcze życiem. Mijał grupy turystów. Starzy spacerowali często w towarzystwie młodych. Szczególnie wzruszyła go pewna grupa Włochów. Dziadek, babcia, ojciec, matka, synowie i córki, i chyba jeszcze ich przyjaciele minęli go, szli z naprzeciwka, pod rękę,

lekkim krokiem, cicho śpiewając. Spojrzeli na niego życzliwie i zaczepnie zarazem, lecz ta zaczepka kryła w sobie zaproszenie. Minęli go, nim zdążył się zastanowić, na czym miałyby polegać owa zaczepka, owo zaproszenie w ich wzroku, i jak mógłby na nie zareagować. Staję się sentymentalny na widok szczęśliwych rodzin, pomyślał.

Myślał o tym także później, nad lampką wina, którą zamówił we włoskiej restauracji w swojej dzielnicy. Dwa stoliki dalej siedzieli ojciec z synem, pogrążeni w ożywionej, przyjacielskiej rozmowie. Jego nastrój uległ raptownej zmianie. Poczł zazdrość, złość, gorycz. Nie mógł sobie przypomnieć ani jednej podobnej rozmowy z własnym ojcem. Jeśli ich rozmowy były ożywione, to wyłącznie wtedy, gdy kłócili się o politykę, prawo czy kwestie społeczne. Jeśli byli dla siebie życzliwi, to tylko wtedy, gdy wymieniali zdawkowe uwagi.

Nazajutrz rano jego nastrój znów zmienił się o sto osiemdziesiąt stopni. Była niedziela, jadł śniadanie na balkonie, świeciło słońce, śpiewał kos i biły kościelne dzwony. Nie chciał czuć goryczy. Nie chciał też, by po śmierci ojca pozostały mu tylko nic nieznaczące lub złe wspomnienia. W porze, gdy rodzice zwykle wracali z kościoła, zadzwonił do nich. Jak zwykle odebrała matka i jak zwykle rozmowa utknęła po wymianie kilku pytań: o to, co u nich słyszać, o zdrowie i pogodę.

– Myślisz, że tato dałby się namówić na krótką podróż?

Matka nie odpowiedziała od razu. Wiedział, że

niczego nie pragnie bardziej jak tego, by dzieci łączyły z ojcem lepsze stosunki. Czy jej wahanie miał przypisać radości, której nie potrafiła wyrazić słowami? A może obawiała się, że relacje między synem a ojcem są już i tak dostatecznie zagmatwane? Wreszcie spytała:

– Co masz na myśli?

– Podróż łączącą w sobie dwie rzeczy, które obaj lubimy: morze i muzykę – roześmiał się. – Czy poza tym przychodzi ci do głowy coś jeszcze, co obaj lubimy? Bo mnie nie. We wrześniu odbywa się na Rugii kameralny festiwal muzyki Bacha. Pomyślałem, że moglibyśmy spędzić tam dwa, trzy dni, posłuchać kilku koncertów i pospacerować po plaży.

– Beze mnie.

– Tak, bez ciebie.

Znów zwlekała z odpowiedzią. W końcu, jakby przywołując się do porządku, zawołała:

– To świetny pomysł! Może napiszesz do taty list? Obawiam się, że w rozmowie telefonicznej pomyśli, że stroisz sobie z niego żarty, i odmówi. Oczywiście zaraz potem będzie mu przykro. Ale po co naprawiać po fakcie to, co od początku i tak lepiej uzgodnić listownie?

3

W pewien wrześniowy czwartek pojechał po ojca do miasteczka, w którym mieszkali rodzice i gdzie spędził

dzieciństwo. Już zarezerwował pokoje w hotelu i bilety na koncerty. Zdecydował, że nie zatrzymają się w żadnym z większych kurortów z okazałymi willami z przełomu wieków. Ojciec ceni sobie skromność, zamieszkają więc w bezpretensjonalnym hotelu w małej wiosce, gdzie plaża ciągnie się kilometrami. W piątek po południu wysłuchają *Suit francuskich*, w sobotni wieczór dwóch *Koncertów brandenburskich* i *Koncertu włoskiego*, a w niedzielne popołudnie – motetów. Wydrukował program festiwalu i gdy byli już na autostradzie, dał ojcu do przeczytania. Wcześniej przygotował sobie w myślach pytania, jakie miał zamiar zadać mu podczas jazdy – o dzieciństwo, młodość, studia i początki pracy w zawodzie. Chciał, żeby obeszło się bez kłótni.

– Świetnie – powiedział ojciec, zapoznawszy się z programem, i umilkł. Założył nogę na nogę, siedział prosto z rękami wspartymi na bocznych oparciach i zwieszonymi swobodnie dłońmi. Tak samo siadywał w swoim fotelu w domu i takim zapamiętał go syn, gdy jako maturzysta przyszedł do sądu, żeby zobaczyć go na rozprawie. Teraz ojciec wyglądał na odprężonego, a lekko przechylona na bok głowa i cień uśmiechu na twarzy sygnalizowały, że ma się przed sobą baczного i uważnego słuchacza. Jednocześnie jego postawa wyrażała dystans – tak odpręża się człowiek, który nie wchodzi w kontakt z otoczeniem, tak uśmiecha się ktoś, kto chowa się za swoim uśmiechem i który wprawdzie słucha, lecz pozostaje sceptyczny. Wiedział o tym od czasu, gdy kilka

razy z przerażeniem przyłapał się na tym, że siedzi tak samo jak ojciec.

Spytał o jego pierwsze wspomnienie – ojcu przypomniało się marynarskie ubranko, które dostał na Gwiazdkę w wieku trzech lat. Na pytanie o radości i smutki szkolnych lat ożywił się, opowiadał o drylu na lekcjach gimnastyki, patriotycznych lekcjach historii, o tym, że miał problemy z pisaniem rozprawek, i o tym, że się skończyły, gdy zaczął pisać swoje prace na podobieństwo artykułów z książki znalezionej w ojcowskiej szafie. Opowiadał o lekcjach tańca i spotkaniach uczniów najwyższych klas – alkohol lał się wtedy strumieniami niczym na popijawach korporacji studenckich – które dla tych uważających się za wyjątkowo dorosłych kończyły się wizytą w burdelu. Nie, on nigdy im nie towarzyszył, a w pijaństwie też uczestniczył bez większego entuzjazmu. Na uniwersytecie nie bardzo palił się do tego, by przystąpić do którejś z korporacji akademickich, lecz taka była wola jego ojca. Chciał studiować i liczył na to, że na uczelni znajdzie bogactwo ducha, którego próżno szukał w swojej starej budzie. Opowiadał o profesorach, których wykładów słuchał, o studenckich imprezach. Zmęczyło go to.

– Możesz przechylić siedzenie do tyłu i trochę pospać.

Ojciec przechylił oparcie do tyłu.

– Tylko chwilę odpocznę. – Ale po krótkiej chwili już spał, chrapiąc i od czasu do czasu mlaskając.

Pomyślał, że do tej pory nigdy nie widział ojca śpiącego. Nie pamiętał, by w dzieciństwie zdarzało mu się dokazywać w łóżku rodziców, zasypiać razem z nimi czy budzić się obok nich. Rodzice spędzali urlopy sami. Dzieci wysyłali do dziadków, ciotek i wujów. Podobało mu się to. Wakacje oznaczały dla niego wolność nie tylko od szkoły, lecz także od rodziców. Spojrzał na ojca. Jego brodę i policzki pokrywał jednodniowy zarost, z nosa i uszu wystawały włoski, w kącikach ust miał ślinę, a na nosie popękane żyłki. Zapach ojca był trochę zastały i nieco kwaśny. Syn cieszył się, że poza rytualnymi pocałunkami na powitanie i pożegnanie, których najczęściej udawało mu się uniknąć, między nim a rodzicami nigdy nie dochodziło do wymiany czułości. Zastanawiał się, czy gdyby było inaczej, znalazłby w sobie więcej pobłażliwości dla ojcowskiego ciała.

Gdy tankował, ojciec odwrócił się na bok, na ile pozwalało mu samochodowe siedzenie, i spał dalej. Potem stali w korku, karetka pogotowia na sygnale torowała sobie drogę wśród pojazdów na autostradzie, ojciec wymamrotał coś przez sen, lecz się nie obudził. Ten głęboki sen złościł syna, był dla niego wyrazem spokojnego sumienia, z jakim ojciec, przekonany o własnej nieomyślności, kroczył przez życie, osądzał jego samego i potępiał. Lecz po jakimś czasie samochody ruszyły, minęli Berlin, przejechali przez Brandenburgię i dotarli do Meklemburgii. Monotonny krajobraz nastrojał syna melancholijnie, a zapadający zmierzch łagodnie.

– *Jak spokojny jest świat i jaki łaskawy w objęciach zmierzchu.* – Ojciec obudził się i zacytował Matthiasa Claudiusa. Uśmiechnął się do niego, a ojciec odpowiedział mu uśmiechem. – Śniła mi się twoja siostra, gdy była mała. Wchodziła na drzewo, wysoko, coraz wyżej, a potem spadła i poszybowała prosto w moje ramiona lekka jak piórko.

Jego siostra była dzieckiem pierwszej żony ojca, która umarła w połogu i w rodzinnej tradycji nazywana była mamą, co poszła do nieba, w odróżnieniu do drugiej żony ojca, obecnej na ziemi po prostu jako mama. Druga żona urodziła ojcu dwóch synów i została mamą dla ich przyrodniej siostry. Dzieci zawsze traktowały siebie jak prawdziwe rodzeństwo. Ale czasem zastanawiał się, czy szczególna miłość, jaką ojciec obdarzał siostrę, nie była rodzajem dalszego ciągu jego miłości do pierwszej żony. Zmierzch, to, że ojciec się uśmiechnął i opowiedział swój sen, przyznając się do tęsknoty i okazując mu zaufanie... – pomyślał, że teraz może go spytać.

– Jaka była twoja pierwsza żona?

Ojciec nie odpowiedział. Zmierzch niepostrzeżenie przeszedł w ciemność. Nie widział twarzy ojca, nie wiedział, co wyraża. Słyszał tylko, że odchrząknął, lecz nic nie powiedział. Gdy porzucił już nadzieję, że otrzyma odpowiedź, ojciec odparł:

– Ach, wcale nie różniła się tak bardzo od mamy.

4

Następnego dnia obudził się wcześnie. Leżał w łóżku i zastanawiał się, czy ojciec dał mu po prostu wymijającą odpowiedź, czy też na temat pierwszej żony nic więcej nie przychodziło mu do głowy. Może obie kobiety, które kochał, stopiły się w jego myślach w jedną, bo nie mógł znieść napięcia związanego ze wspomnieniami, tęsknotą, odchodzeniem w niepamięć?

To nie były pytania, które mógł zadać ojcu przy śniadaniu. Siedzieli na tarasie z widokiem na morze. Ojciec przekazał mu pozdrowienia od mamy, bo właśnie rozmawiał z nią przez telefon, ściał nożem czubek jajka, na jedną połowę bułki położył szynkę, na drugą ser i jadł w milczeniu, skupiony. Gdy skończył, zaczął czytać gazetę.

Ciekawe, o czym rozmawiali? Czy dzielili się tylko informacjami o tym, jak minęła im noc, jaka była pogoda tu, a jaka tam? Dlaczego mówił na nią „mama”, skoro żadne z dzieci tak się do niej nie zwracało? Czy interesowało go, co piszą w gazecie, czy raczej się za nią chował? A może towarzystwo syna było dla niego krępujące?

– Ty pewnie uznasz za dobre to, że rząd...

Słowa te zabrzmiały, jakby ojciec chciał właśnie otworzyć jedną z ich tradycyjnych dyskusji o polityce. Nie pozwolił mu dokończyć.

– Nie pamiętam, kiedy ostatni raz czytałem gazetę. Może pójdziemy na plażę?

Ojciec chciał doczytać gazetę, lecz już nie próbował wciągnąć go w dyskusję. Wreszcie złożył gazetę i położył ją na stole.

– Idziemy?

Poszli na plażę, ojciec w garniturze, krawacie i czarnych butach, on w koszuli i dżinsach. Przez ramię przewiesił sportowe buty, które związał sznurówkami.

– Podczas jazdy opowiadałeś o studiach, co było potem? Dlaczego nie musiałeś iść na wojnę? Jaki był konkretny powód, dla którego straciłeś posadę sędziego? Podobała ci się praca adwokata?

– Cztery pytania naraz! Już wtedy miałem arytmie serca i to ona uratowała mnie od wojska. Posadę sędziego straciłem dlatego, że doradzałem Kościołowi Wyznającemu [(niem. *Bekennende Kirche*) – nazwa ruchu w niemieckim Kościele ewangelickim, sprzeciwiającego się narodowemu socjalizmowi, a działającego w latach 1934-1945.] w kwestiach prawnych. Nie podobało się to prezesowi Sądu Krajowego ani Gestapo. Zostałem więc adwokatem i dalej doradzałem Kościołowi Wyznającemu jako adwokat. Moi partnerzy w kancelarii dali mi wolną rękę. Miałem niewiele wspólnego z prawdziwymi interesami, sprawami umów, spółek, hipotek czy testamentów i tylko z rzadka byłem obecny na rozprawach.

– Czytałem artykuł, który napisałeś w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym dla „Tageblatt”. Ani

śladu nienawiści do nazistów, resentymentu, chęci zemsty, tylko wspólne dźwiganie się z ruin, wspólna odbudowa zniszczonych miast i wsi, solidarna pomoc uchodźcom – dlaczego tak ugodowo? Wiem, że naziści robili jeszcze gorsze rzeczy, ale jakkolwiek patrzeć, pozbawili cię stanowiska.

Wolno posuwali się naprzód po piasku plaży. Ojciec nie ściągnął butów ani skarpetek, nie podwinął też spodni i chyba nie miał nawet takiego zamiaru, stawiał z trudem krok za krokiem. Syn nie przywiązywał wagi do tego, że nie zdążą przejść całej tej długiej, jasnej plaży i dotrzeć do przylądka Arkona, lecz był pewien, że irytowało to ojca. Zawsze wyznaczał sobie cele i układał plany, a dziś przy śniadaniu dowiadywał się przecież, jak dojść do przylądka. Za trzy godziny muszą być z powrotem w hotelu.

I znowu już prawie porzucił nadzieję, że otrzyma odpowiedź, gdy nagle usłyszał głos ojca:

– Nie wyobrażasz sobie, jak to jest, gdy twoje życie wali się w gruzy. Wtedy bardziej niż wszystko inne liczy się to, by znów złożyć je w całość.

– Prezes Sądu Krajowego...

– ... jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego przywitał mnie przyjaźnie, jakbym wracał z dłuższego urlopu. Nie był złym sędzią ani złym prezesem. Jego życie też legło w gruzach, jak wszystkich innych, i tak jak inni też się cieszył, że zło minęło.

Na czoło i skronie ojca wystąpiły kropelki potu.

– Czy twoje życie doznałoby uszczerbku, gdybyś zaczął iść na bosaka i zdjął wreszcie marynarkę i krawat?

– Nie – roześmiał się. – Może spróbuję jutro. Dzisiaj chciałbym usiąść na piasku i popatrzeć na fale. Może tutaj? – Nie powiedział, że już nie może czy nie chce iść dalej. Podciągnął nogawki, żeby nie wypchały się na kolanach, i usiadł po turecku na piasku. Patrzył na morze i milczał.

Usiadł obok ojca. Gdy wreszcie udało mu się pozbyć wewnętrznego przekonania, że muszą ze sobą rozmawiać, zaczął cieszyć się widokiem spokojnego morza i białych chmur, grą słońca i cienia, słonym powietrzem, lekką bryzą. Nie było ani za ciepło, ani za zimno. Idealny dzień.

– Dlaczego czytałeś mój artykuł z czterdziestego piątego? – To było pierwsze pytanie, które skierował do niego ojciec, odkąd wyszli z hotelu, trudno było jednak powiedzieć, czy pytał ze zwykłej ciekawości, czy raczej nieufnie.

– Wyświadczyłem kiedyś przysługę znajomemu, który pracuje w „Tageblatt”, a on przysłał mi kopię twojego artykułu. Myślę, że specjalnie wyszukał w archiwum coś, co mogło mnie zainteresować.

Ojciec skinął głową.

– Bałeś się, gdy doradzałeś Kościołowi Wyznającemu?

Ojciec wyprostował nogi i wsparł się na łokciach. Pozycja nie wyglądała na wygodną i chyba rzeczywiście taka nie była, bo po chwili znów usiadł prosto i

skrzyżował nogi.

– Długo nosiłem się z zamiarem napisania czegoś o strachu. Lecz gdy przyszła emerytura i miałem wreszcie dużo czasu, nie zrobiłem tego.

5

Koncert zaczynał się o piątej. Gdy pół godziny wcześniej zatrzymali się na niemal pustym parkingu przed zamkiem, syn zaproponował, by przed koncertem pospacerowali jeszcze po zamkowym ogrodzie. Ojciec jednak nalegał, by już zajęli miejsca, weszli więc do pustej sali, usiedli w pierwszym rzędzie i czekali.

– To pierwszy festiwal Bachowski na Rugii.

– Ludzie muszą się do wszystkiego przyzwyczaić. Do muzyki Bacha też przyzwyczaili się dopiero z czasem. Wiesz, że odkrył go i zagrał dopiero Mendelssohn w dziewiętnastym wieku?

Ojciec opowiadał o Bachu i Mendelssohnie, o powstaniu suity w XVI wieku jako szeregu tańców, o tym, że w XVII stuleciu równolegle funkcjonowało również pojęcie partity, o tym, że suity i partity Bacha należą do tych jego dzieł, które odznaczają się szczególną lekkością, o wcześniejszych wersjach niektórych suit w *Noteribüchlein dla Anny Magdaleny Bach*, o powstaniu *Suit francuskich*, *Suit angielskich* i partit w latach 1720 i 1730, o trzech *Suitach francuskich* w moll i trzech w dur i

ich poszczególnych częściach. Opowiadał żywo, smakując swoją wiedzę i ciesząc się uwagą syna. Oświadczył też, że nie może doczekać się koncertu.

Młody pianista, o którym ani ojciec, ani syn wcześniej nie słyszeli, grał z zimną precyzją. Jakby dźwięki były liczbami, a suity rachunkami matematycznymi. Po koncercie równie chłodno uklonił się swojej nielicznej publiczności.

– Ciekawe, czy grałby z większą pasją, gdyby przyszło więcej słuchaczy?

– Nie, on jest przekonany, że tak należy grać Bacha. Te interpretacje, które są bliskie nam, jemu wydają się sentymentalne. Ale czyż to nie wspaniałe? Tej muzyce nie może zaszkodzić żadne wykonanie, nawet takie. Nawet użycie jej jako dzwonka w telefonie... Siedzę w tramwaju, słyszę, że dzwoni czyjaś komórka, to Bach, i okazuje się, że jest dobry nawet w tym wydaniu – powiedział ojciec ciepło.

W drodze powrotnej porównywał interpretacje *Suit francuskich* w wykonaniu Richtera, Schiffa, Fellnera, Gouldsa i Jarretta. Synowi imponowała wiedza ojca, lecz jednocześnie irytowało go, że mówił bez ustanku, płynnie, nie upewniwszy się, czy jego wywody spotykają się z zainteresowaniem słuchacza, nie zapraszając go nawet, by zadał pytanie czy sformułował własny komentarz. Miał wrażenie, jakby słuchał monologu.

Nie inaczej było przy kolacji. Z interpretacji *Suit francuskich* ojciec przerzucił się na msze, oratoria i pasje.

Gdy syn wrócił do stolika po dłuższej wizycie w toalecie, potok ojcowskich słów wysechł, a wraz z nim znikły cała jego witalność, radość, ciepło. Syn zamówił drugą butelkę czerwonego wina, w duchu szykując się na krytyczną uwagę na temat niepotrzebnej rozrzutności i nieumiarkowania. Lecz ojciec z widocznym zadowoleniem pozwolił napełnić sobie kieliszek.

– Skąd twoja miłość do Bacha?

– Co za pytanie!

Syn nie dawał za wygraną.

– Jeden kocha Mozarta, drugi Beethovena, jeszcze inny Brahmsa. Każdy z jakiegoś powodu. Mnie interesują powody, dla których ty kochasz Bacha.

Ojciec znów siedział prosto, założywszy nogę na nogę, z rękami opartymi na bocznych oparciach i zwieszonymi luźno dłońmi. Głowę przechylił na bok, a po jego twarzy błąkał się cień uśmiechu. Spojrzał przed siebie niewidzącym wzrokiem. Syn przyglądał się twarzy ojca, patrzył na jego wysokie czoło, siwe, wciąż jeszcze bujne włosy, głębokie bruzdy wokół nosa i w kącikach ust, mocne kości policzkowe i obwisłe policzki, wąskie, zmęczone usta i wyrazisty podbródek. Syn widział, że była to dobra twarz, lecz jego spojrzenie zatrzymywało się na powierzchni. Nie mógł zobaczyć, jakie troski wyrzeźbiły na czole ojca głębokie bruzdy, dlaczego miał takie zmęczone usta, dlaczego uciekał od niego wzrokiem?

– Bach mnie... – Pokręcił głową i zaczął jeszcze raz. –

Twoja babka była kapryśną, pełną życia kobietą, a dziadek sumiennym urzędnikiem, niewolnym od...

Znów urwał. W dzieciństwie odwiedzili babkę kilka razy w domu opieki. Siedziała na wózku inwalidzkim i nie odzywała się, a z rozmowy między ojcem a lekarzem syn zapamiętał sformułowanie „depresja wieku podeszłego”. Dziadka nie pamiętał. Dlaczego ojcu tak trudno było mówić o swoich rodzicach?

– Bach godzi przeciwieństwa. Jasność i ciemność, siłę i słabość, przeszłość... – Wzruszył ramionami. – A może to po prostu dlatego, że ucząc się gry na fortepianie, grałem właśnie muzykę Bacha. Przez dwa lata wolno mi było ćwiczyć tylko etiudy. Po nich *Notenbuchlein* był dla mnie prawdziwym darem niebios.

– Grałeś na fortepianie? Dlaczego już nie grasz? Kiedy przestałeś?

– Gdy przeszedłem na emeryturę, chciałem znów brać lekcje. Ale jakoś nic z tego nie wyszło. – Wstał. – Może pójdziemy jutro po śniadaniu na spacer po plaży? Mama zapakowała mi chyba odpowiednie spodnie. – Na krótką chwilę położył dłoń na ramieniu syna. – Dobranoc, mój chłopcze.

6

W jego wspomnieniach z podróży ta sobota zapisała się jako symfonia błękitu nieba, lazuru morza, piasku,

skął, lasów, to bukowych, to znów sosnowych, pól i muzyki.

Wyruszyli po śniadaniu, on znów w dżinsach, koszuli i z butami sportowymi przewieszonymi przez ramię, ojciec w jasnych lnianych spodniach i przewiązonym na biodrach swetrze. Sandały niósł w rękach. Szło im się dobrze i po kilku godzinach dotarli do przylądka. Nie rozmawiali. Gdy co jakiś czas pytał ojca, czy chce iść dalej, czy woli zawrócić, ten w odpowiedzi tylko kręcił głową.

Na przylądku odsapnęli po wędrówce. Nie rozmawiali. Zamówili taksówkę, która zawiozła ich do hotelu, a w samochodzie milczeli i patrzyli przez okno. W hotelu odpoczęli, aż nadszedł czas, by jechać na koncert do miasta. Aula gimnazjum była pełna i obaj bez słów rozkoszowali się radosnym rozmachem, z jakim grano Bacha.

– Bardzo się cieszę, że zagrali *Czwarty brandenburski* z fletami poprzecznymi, a nie prostymi. – To był jedyny komentarz ojca.

W hotelu zamówili lekką późną przekąskę, zgodnie wyrazili nadzieję, że nazajutrz będzie ładna pogoda, zaplanowali, że po śniadaniu wybiorą się na wycieczkę do kredowych skał, i życzyli sobie dobrej nocy.

Syn zabrał ze sobą do pokoju pół butelki wina i usiadł na balkonie. Ich bycie razem było pozbawione słów tak samo jak wspólna praca córki i ojca pod koniec filmu. Ale miał poczucie, że to nie tyle bliskość, która nie potrzebuje

słów, ile raczej ciche zawieszenie broni. Ojcu nie podobały się jego pytania, wolał, by zostawił go w spokoju, co zresztą zrobił. Dlaczego te pytania były dla ojca nieprzyjemne? Dlaczego nie chciał dać się naprawdę poznać nawet własnemu synowi? Czy dlatego, że w jego wnętrzu, którego drzwi i okien nigdy nie otwierał, wszystko już uszło i obumarło, i nie rozumiał, czego syn od niego chce? A może dlatego, że dorastał w czasach, w których psychoanalityczne i psychoterapeutyczne obnażanie się nie było jeszcze taką oczywistością jak dziś i brakowało mu słów na wyrażenie tego, co dzieje się w jego wnętrzu? A może dlatego, że wszystko, co robił, i wszystko, co mu się przytrafiało, od obydwu małżeństw poczynając, a na pracy zawodowej przed rokiem czterdziestym piątym i po nim kończąc, stanowiło dla niego kontinuum, tak że na dobrą sprawę nie było o czym mówić?

Jutro znów porozmawia z ojcem. Przeliczył się ze swoją nadzieją na milczącą bliskość. Trudno było się także spodziewać bliskości pełnej słów. Ale chciał jakoś do niego dotrzeć. Po jego śmierci chciał mieć coś więcej niż fotografię nad biurkiem i wspomnienia, z których równie dobrze mógłby zrezygnować.

Przypomniał sobie jego nieudolne, niecierpliwe próby, by nauczyć go pływania, nudne, pozbawione radości spaceru, na które on i brat chodzili z ojcem dwa razy w roku po niedzielnej mszy, przesłuchania w sprawie wyników w szkole i na uniwersytecie, męczące dyskusje o

polityce, złość ojca, gdy dowiedział się o rozwodzie syna, pierwszym w rodzinie. Nie doszukał się ani jednego szczęśliwego wydarzenia, które mógłby przywoływać później we wspomnieniach.

Między nim a ojcem nie było nic, nic. To nic sprawiło, że zalała go fala smutku, poczuł ucisk w piersi i chciało mu się płakać. Ale łzy się nie pojawiły.

7

Dopiero w pobliżu kredowych skał ojciec powiedział, że był na Rugii już wcześniej. Po raz pierwszy w podróży poślubnej ze swoją pierwszą żoną, a drugi z obecną. Celem obu wycieczek było Hiddensee; żeby dotrzeć do kredowych skał, trzeba było nadłożyć drogi i ani za pierwszym, ani za drugim razem nic z tego nie wyszło. Cieszył się, że udało mu się je wreszcie zobaczyć.

Podczas obiadu spytał:

– Które motety będą śpiewać dziś po południu?

Syn wstał i przyniósł program: *Furchte dich nicht, ich bin bei dir; Der Geist hilft unser Schwachheit auf; Jesu, meine Freude; Singet dem Herm ein neues Lied.*

– Znasz teksty?

– Teksty motetów? A ty je znasz?

– Tak.

– Wszystkie motety? Wszystkie kantaty?

– Kantat są setki, a motetów niewiele. Śpiewaliśmy je

w studenckim chórze. *Furchte dich nicht, ich bin bei dir, ich starke dich, ich helfe dir, ich erhalte dich durch die Hand meiner Gerechtigkeit...* (Nie lękaj się, jestem przy tobie, umocnię cię, pomogę ci, zachowa cię ręka mojej sprawiedliwości...). Ładny tekst dla studenta prawa.

– Wiem, że co niedziela chodzisz do kościoła. Z przyzwyczajenia czy dlatego, że naprawdę wierzysz?

Zdawał sobie sprawę, że to delikatna kwestia. Ojciec z żalem przyjął do wiadomości, że jego troje dzieci wcześniej rozstało się z Kościołem, lecz wiedzieliśmy to po jego nieszczęśliwej minie, z którą w niedzielne poranki wstawał od śniadania i wychodził na nabożeństwo. Nigdy nie rozmawiał z nimi o religii.

Ojciec odchylił się do tyłu...

– Wiara to rodzaj przyzwyczajenia.

– Staje się nim, lecz nie rodzi się jako przyzwyczajenie. Jak zacząłeś wierzyć?

To była jeszcze delikatniejsza kwestia. Mama opowiadała kiedyś, że ojciec dorastał bez religii i jako student przeżył nawrócenie. Ale nie powiedziała nic o jego przebiegu, a ojciec też nigdy nie wspominał o tym, że się nawrócił.

Odchylił się jeszcze bardziej do tyłu i mocno zacisnął dłonie na bocznych oparciach krzesła.

– Ja... zawsze miałem nadzieję... – Popatrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. Potem powoli pokręcił głową. – Musicie tego sami doświadczyć. Jeśli sami nie...

– Rozmawiaj ze mną. Mama wspomniała kiedyś, że

jako student przeżyłeś nawrócenie. To musiało być najważniejsze wydarzenie w twoim życiu. Jak możesz przemilczać je wobec swoich dzieci? Nie chcesz, byśmy cię znali? Byśmy wiedzieli, co jest dla ciebie ważne i dlaczego? Nie widzisz, jak bardzo się od ciebie oddaliliśmy? Czy naprawdę myślisz, że praca była jedynym powodem, dla którego twoja najstarsza córka przeniosła się do San Francisco, a starszy syn wyjechał do Genewy? Jak długo chcesz jeszcze czekać na rozmowę z nami? – mówił ze wzrastającym wzburzeniem. – Nie rozumiesz, że dzieciom należy się od ojca więcej niż tylko uprzejmy dystans i pełne rezerwy milczenie, a od czasu do czasu dyskusja o jakiejś kwestii politycznej, o której następnego ranka i tak wszyscy zapomną? Masz osiemdziesiąt dwa lata, pewnego dnia umrzesz, a wszystko, co mi po tobie zostanie, to twoje biurko, bo od dziecka je lubiłem i brat z siostrą już w dzieciństwie powtarzali, że kiedyś będzie należało do mnie. Może jeszcze będę się czasem łapał na tym, że siedzę tak samo jak ty teraz, bo chcę mieć do czynienia z rozmówcą równie niewiele co ty. – Chciał wstać i wyjść.

Stała mu przed oczami scena z dzieciństwa. Miał może dziesięć lat, gdy przyniósł do domu małego czarnego kotka, którego brat jego kolegi z podwórka chciał utopić w rzece wraz z całym miotem. Troszczył się o kotka, bawił się z nim, kochał go. Ojciec tolerował zwierzę, choć go nie lubił. Lecz pewnego wieczora, gdy cała rodzina siedziała przy kolacji, kotek wskoczył na

fortepian, a ojciec wstał i zgonił go niemal bezwiednym ruchem ręki, jakby zmiatał kurz. Poczul się tak, jakby ojciec zmiotł jego samego, i tak go to dotknęło, tak pograżyło, że wstał, wziął kotka i wyszedł z mieszkania. Tylko dokąd miał pójść? Po trzech godzinach na zimnie wrócił do domu, ojciec w milczeniu otworzył mu drzwi. Stanać z nim w progu oko w oko było równie straszne jak zostać przez niego zmiecionym niczym kłębek kurzu. Po kilku tygodniach nabawił się astmy, okazało się, że to przez kota, i musiał zwierzę oddać.

Ojciec spojrział na niego.

– Myślę, że mnie znacie. To nie było tak jak w przypadku młodego Marcina Lutra, który dostąpił nawrócenia, gdy tuż obok niego piorun uderzył w drzewo. Nie myśl, że ukrywam przed tobą coś dramatycznego. – Spojrział na zegarek. – Powinienem trochę odpocząć. O której wyruszamy?

8

Dzielił z ojcem miłość do muzyki Bacha, lecz interesowały go tylko jego utwory świeckie. Jego Bach był Bachem *Wariacji Goldbergowskich*, *suit* i *partit*, *Muzycznej ofiary* i koncertów. Gdy był mały, rodzice zabrali go na *Pasję św. Mateusza* i *Oratorium na Boże Narodzenie* – nudziło mu się i uznał, że religijna muzyka Bacha jest nie dla niego. Gdyby motety nie pasowały do

programu podróży, nie przyszłoby mu nawet do głowy, by wybrać się na koncert.

Lecz gdy znalazł się w kościele i usłyszał muzykę, chwyciła go za serce. Nie rozumiał dobrze tekstów, lecz nie zaglądał do programu, by nie psuć sobie przyjemności słuchania. Wolał napawać się słodyczą muzyki. „Słodycz” to nie było słowo, które kiedykolwiek przyszłoby mu na myśl w odniesieniu do Bacha i które, był o tym przekonany, w ogóle pasowało do jego muzyki. Lecz poczuł słodycz, nic innego, czasem bolesną, czasem uskrzydlającą, a w chorałach pełną głębokiego pojednania. Przypomniawszy sobie odpowiedź ojca na pytanie, dlaczego kocha Bacha.

Podczas przerwy wyszli przed kościół witani wrzawą letniego niedzielnego popołudnia. Turyści przechadzali się po placu, siedzieli przy stolikach przed kawiarniami i restauracjami, dzieci biegały wokół fontanny, w powietrzu unosił się gwar głosów i zapach smażonych kiełbasek. Te dwa światy – w kościele i przed kościołem – nie mogły się bardziej różnić. Lecz nie irytowało go to. Pogodził się i z tą sprzecznością.

Znów milczeli, i podczas przerwy, i podczas jazdy do hotelu. Przy kolacji ojciec się ożywił i rozprawiał o motetach Bacha, ich roli podczas ślubów i pogrzebów, o tym, że pierwotnie wykonywano je z towarzyszeniem orkiestry, lecz tylko do XIX wieku, o ich miejscu w repertuarze lipskiego chóru chłopięcego świętego Tomasza. Po kolacji zaproponował, by przeszli się po

plaży. Gdy wyruszyli, zapadał zmierzch, wracali już w całkowitej ciemności.

– Nie – powiedział nagle syn. – Nie wiem, kim jesteś.

Ojciec zaśmiał się cicho.

– Albo nie podoba ci się to, co o mnie wiesz.

W hotelu spytał:

– O której musimy jutro wyjechać?

– Jutro wieczorem muszę być w domu, o ósmej chciałbym wyjechać. Możemy zjeść śniadanie o wpół do ósmej?

– Tak. Śpij dobrze.

Znów usiadł na balkonie swego pokoju. I tyle. W drodze powrotnej mógłby dalej wypytywać ojca o studia i pracę. Tylko po co? I tak nie dowie się tego, czego chciał się dowiedzieć.

Nie miał ochoty o nic pytać. Po wielu godzinach wspólnego milczenia myśl o tym, że droga powrotna minie im bez słów, nie wzbudzała już w nim lęku.

9

Nie jechali w całkowitym milczeniu. Na widok stojących przy autostradzie znaków informujących o atrakcjach turystycznych ojciec wygłaszał czasem jakąś uwagę czy pouczenie. W radiu podawano wiadomości o sytuacji na drogach, informacje o korkach, o ruchu pojazdów i o tym, że na autostradzie pojawił się koń, lecz

ojciec stwierdził, że to nie na ich trasie. Gdy przed zjazdem na stację benzynową syn zwolnił, ojciec spytał, czy muszą tankować, a syn wyjaśnił, że zastanawia się, czy zatankować na tej stacji, czy dopiero na następnej. Spytał ojca, czy chciałby wypić kawę i zjeść obiad, czy też woli odsunąć oparcie do tyłu i spać.

Był wobec niego uważny, uprzejmy, układny. Robił to, co robiłby i wówczas, gdyby była między nimi prawdziwa bliskość. Ale nie czuł żadnej więzi, ojciec był zimny i daleki. Myślał o tym, co czeka go następnego dnia w redakcji, o kolumnie, o serii z portretami i dużym artykule o reformie przepisów dotyczących alimentów, który powinien oddać w przyszłym tygodniu. Czy wspomnienia, dobre rady, stwierdzenia i pytania, które z rzadka formułował ojciec, wynikały stąd, że starał się podtrzymać rozmowę? Było mu wszystko jedno i odpowiadał półsłówkami.

Godzinę drogi od domu rodziców rozszalała się burza. Włączył wycieraczki i raz po raz zwiększał ich tempo, lecz i tak nie radziły sobie z ulewą. Gdy znaleźli się pod wiaduktem, zjechał na pas awaryjny i zatrzymał samochód. Bębnienie deszczu o karoserię ucichło w okamgnieniu. Słyszać było tylko syczenie, które wydawały opony mijających ich aut w kontakcie z mokrym asfaltem.

– Mógłbym... – Miał w samochodzie odtwarzacz CD, ale ani jednej płyty. Gdy jeździł sam, pracował, rozmawiał przez komórkę i dyktował. Gdy był zmęczony

i nie chciał zasnąć, w zupełności wystarczało mu radio. Lecz teraz miał przy sobie nagranie chóru z motetami Bacha, które kupił po koncercie poprzedniego dnia. Wsunął płytę do odtwarzacza.

I znów słodycz muzyki chwyciła go za serce. Ty™TM razem rozumiał też fragmenty tekstów. *Du bist mein, weil ich dich fasse und dich nicht, oh mein Licht, aus dem Herzen lasse* (Jesteś moim światłem, bo cię ogarniam i chowam w moim sercu). Sam nigdy by tak nie powiedział, lecz tak właśnie czuł, kochając swoją żonę i wiedząc, że ona go kocha. *Wir sind wie das Gras, eine Blume, fallend Laub, so der Wind druber weht, ist es nicht mehr da.* (Jesteśmy niczym trawa, kwiat, spadające liście, znikamy, gdy powieje wiatr). Jak dobrze znał to uczucie, jakże często towarzyszyło mu w jego zabieganiu, od zlecenia do zlecenia, od terminu do terminu. *Unter deinem Schirmen bin ich von den Sturmen aller Feinde frei* (Pod twoją osłoną bezpiecznym od szalejących burz i wrogów moich). Tak właśnie się czuł pod osłoną wiaduktu, bezpieczny od szalejącej burzy, tej i wszystkich, które miały jeszcze po niej nadejść.

Spojrzał na ojca, bo chciał mu powiedzieć, jak wielką radość sprawiają mu teksty motetów. Ojciec siedział jak zawsze, prosto, założywszy nogę na nogę, z rękami na oparciach i swobodnie zwieszonymi dłońmi. Po policzkach płynęły mu łzy.

Z początku nie mógł oderwać oczu od płaczącego ojca. Potem zreflektował się i odwrócił wzrok, nie chcąc

być niedyskretny. Patrzył na deszcz. Czy ojciec też patrzył na deszcz? Na ulewę, autostradę, obmywane strugami deszczu samochody, które wzbijały fontanny wody, przejeżdżając przez kałużę za mostem? A może wszystko zniknęło za zasłoną jego łez? Nie tylko deszcz, droga i samochody, lecz także wszystko, co nie mieściło się w schemacie jego przewidywalnego, ułożonego życia? Czyjego dzieci, ich przemiany, ich błędzenie i bunt były dla niego źródłem takiego smutku, że nie chciał już ich widzieć?

– Szkoda, że muszą dorosnąć – powiedział do swojej córki w dniu, gdy zobaczył jej dwuletnie bliźnięta na siedemdziesiątych urodzinach swojej żony.

Stali pod mostem, do czasu aż minęła burza i skończyła się muzyka. Ojciec otarł twarz chustką do nosa i porządnie ją złożył. Potem uśmiechnął się do syna i powiedział:

– Chyba możemy jechać.

Podróż na południe

1

Dzień, w którym przestała kochać swoje dzieci, nie różnił się od innych. Gdy nazajutrz rano zadała sobie pytanie, co mogło spowodować utratę miłości, nie znalazła odpowiedzi. Czy to bóle pleców dały jej się szczególnie we znaki? Czy czuła się upokorzona, bo nie potrafiła uporać się z jakąś prostą domową czynnością? Czyżby wyprowadził ją z równowagi drobny zatarg z personelem? To musiała być podobna bagatela. W jej życiu od dawna nie działo się nic wielkiego.

Tak czy owak, to, że przestała je kochać, było faktem. Podniosła słuchawkę, by zadzwonić do córki i omówić przebieg swojego przyjęcia urodzinowego, listę gości, miejsce, menu, lecz zaraz ją odłożyła. Nie chciała rozmawiać z córką. Ani z żadnym z pozostałych dzieci. Nie chciała ich widzieć ani w swoje urodziny, ani przedtem, ani potem. Siedziała obok telefonu i czekała, aż przyjdzie jej ochota, by zadzwonić. Ale nie przychodziła. Gdy wieczorem rozległ się dzwonek telefonu, odebrała tylko dlatego, że w przeciwnym razie dzieci zaczęłyby się martwić, zadzwoniły na portiernię i nasłały na nią personel. Wolą więc od razu skłamać, że ma gości i nie może rozmawiać.

Nie miała swoim dzieciom nic do zarzucenia. Były

dla niej dobre. Inne pensjonariuszki domu seniora również bez przerwy powtarzały, jak ma z nimi dobrze i jak jej się udały: jeden syn został szanowanym sędzią, drugi dyrektorem muzeum, jedna córka wyszła za profesora, a druga za słynnego dyrygenta! A ile uwagi jej poświęcają! Składają jej wizyty, pilnują, by między odwiedzinami każdego z nich nigdy nie upłynęło zbyt dużo czasu, zostają na noc lub dwie, czasem zabierają ją do siebie na dzień lub dwa, a na jej urodziny przychodzą ze swoimi rodzinami. Pomagają jej wypełniać deklaracje podatkowe, podania o zapomogę, wnioski o ubezpieczenia, wożą ją do lekarza i asystują przy zakupie okularów czy aparatu słuchowego. Mają własne rodziny, zawody, własne życie. Ale pozwalają matce, by była jego częścią.

Czasem człowiek kładzie się do łóżka z rozstrojem żołądka, ssąc pastylki Rennie, albo, przeczuwając przeziębienie, bierze aspirynę z nadzieją, że rano wszystko minie, jak ręką odjął. Ona nie miała żadnego środka na rozstrój uczuć, ale przed snem zaparzyła sobie rumianek z miętą i była pewna, że nazajutrz rano wszystko wróci do normy. Ale następnego dnia myśl o tym, że miałyby widzieć się wkrótce z dziećmi czy rozmawiać z nimi przez telefon, była dla niej równie przykra jak poprzedniego wieczora.

Jak co dzień wyruszyła na poranny spacer, minęła szkołę, budynek poczty, aptekę i warzywniak, przecięła osiedle i skierowała się do lasu. Trasa prowadziła po zboczu aż do zajazdu Bierer Hof i z powrotem, raz po raz odsłaniając jej ukochany widok na równinę. Droga była równa i do pokonania w godzinę. Lekarz zalecił jej, by codziennie przynajmniej przez godzinę spacerowała.

Deszcz, który padał przez kilka ostatnich dni, w nocy ustał, niebo zrobiło się błękitne, a powietrze rześkie. Zapowiadał się upalny dzień. Nasłuchiwała odgłosów lasu: wiatru w koronach drzew, dzięciołów, kukulek, trzasku gałęzi i szelestu liści. Wypatrywała saren i zajęcy – biegało ich tu mnóstwo i nie bały się ludzi. Bardzo chciała poczuć zapach lasu; jeszcze mokry od deszczu, a już rozgrzany słońcem pachniał najpiękniej. Lecz od kilku lat nie czuła żadnych zapachów. Zmysł powonienia któregoś dnia odmówił jej posłuszeństwa, zanikł. Tak jak miłość do dzieci. Wirus, zdiagnozował lekarz.

Wraz ze zmysłem powonienia straciła także zmysł smaku. Nigdy nie przywiązywała dużej wagi do jedzenia i to, że już nie czuła smaków, wcale nie wydawało jej się takie straszne. Straszniejsze było to, że nie mogła poczuć, jak pachnie natura, las, kwitnące drzewa owocowe, kwiaty na balkonie i w mieszkaniu czy ciepły, suchy kurz ulicy, obmywanej pierwszymi kroplami deszczu.

Poza tym utratę powonienia odczuwała jako osobisty afront. Węch to przecież najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem. Jak wzrok, słuch, umiejętność chodzenia,

czytania, pisania i liczenia. Zawsze działał i nagle ni stąd, ni zowąd odmówił posłuszeństwa nawet nie dlatego, że coś jej się przytrafiło, lecz po prostu dlatego, że zawiódł system. W dodatku bała się, że może od niej śmierdzieć. Przypomniała sobie odwiedziny u matki w domu starców. – Stracili węch – wyjaśniła matka w odpowiedzi na jej uwagę o przykrym zapachu mieszkańców. Może teraz cuchnie od niej tak samo jak od nich? Niemal przesadnie dbała o higienę osobistą i używała wody toaletowej, którą lubiły wnuczki. – Jak ładnie pachniesz, babciu! – Ale czy to wiadomo? Gdy człowiek za mocno skropi się wodą toaletową, też może od niego śmierdzieć.

Nikt poza lekarzem nie wiedział, że straciła węch i smak. Gdy dzieci zabierały ją do restauracji, chwaliła zamówione potrawy i wachała kwiaty, które jej przynosiły. Gdy pokazywała im swoje kwiaty na balkonie, mówiła: – Powąchajcie, jak pięknie pachną!

Coś podobnego musiało stać się z miłością. Miłość do dzieci i wnuków jest równie naturalna jak wzrok, słuch, węch, chód, umiejętność pisania i liczenia. Żeby wzbraniać się przed rozmową telefoniczną, tak jak wczoraj – nie, już sobie na to nie pozwoli. Przyjęcie odbędzie się jak co roku, a dzieci nadal będą ją odwiedzać jak zwykle. Ożyło w pamięci kolejne wspomnienie. Gdy była małą dziewczynką, spytała matkę, która wyszła za wdowca – wdowiec miał dwójkę dzieci i trudnych, wymagających teściów i szwagrów, o których matka musiała się troszczyć – czy właściwie kocha krewnych

swojej poprzedniczki.

– Tak, skarbie. – Matka uśmiechnęła się.

– Ale...

– Miłość nie jest kwestią uczucia, lecz woli.

Starła się przez całe lata, lecz teraz najwyraźniej przestało jej się chcieć. Dzięki silnej woli można zmienić obowiązek w skłonność, a poczucie odpowiedzialności w miłość. Tylko że ona nie była już odpowiedzialna za swoje dzieci i nie miała obowiązków wobec wnucząt. Nie było już nic, co mogłoby jej nakazać miłość. Ale nie istniał też powód, dla którego miałyby sprawiać przykrość swoim udanym dzieciom, irytować pozostałe pensjonariuszki, a siebie kompromitować.

Ruszyła różnym krokiem. Pustka, która pojawiła się tam, gdzie dawniej mieszkała miłość do dzieci, przstraszyła ją, lecz zarazem napełniła uczuciem ulgi. Było jej lekko, jak czasem podczas wysokiej gorączki lub po długim okresie postu – stan wprawdzie niepożądany, a jednak dobroczynny. Potem usiadła na ławce przed zajazdem i lekkość znikła. Poczwała, jak zmęczenie ściągając ją z powrotem na ziemię.

Czy powinna świętować urodziny w Bierer Hof? Przed rozwodem przyjeżdżali tu czasem z mężem na kawę. Dla niego były to godziny wolne od pracy, dla niej od dzieci, godziny potrzebne im, by rozmawiać o rzeczach, na które na co dzień brakowało czasu. Do tamtego dnia, kiedy przyjechał tu z nią, by zakomunikować, że od dwóch lat sypia ze swoją

asystentką.

Od tego czasu restaurację wciąż rozbudowywano, przerabiano, upiększano. Lokal, dawniej raczej niepozorny, nabrał reprezentacyjnego wyglądu, sala z pewnością też w niczym nie przypominała dawnego pomieszczenia, gdzie swego czasu jej mąż, siedzący po przeciwnej stronie stolika, płatał się w zeznaniach i dopraszał współczucia za to, że ma takie wielkie serce, w którym znalazło się miejsce na miłość do dwóch kobiet. To wspomnienie długo sprawiało jej ból, lecz teraz już nie bolało. Nie czuła też współczucia, którego szukał u niej mąż, a raczej smutną obojętność. Zawsze urządzał się tak, by to jemu było wygodnie, trwając na stanowisku, że jego życie jest pasmem poświęceń, walk i zmagania. Ostatnich lat małżeństwa najchętniej by sobie oszczędziła. Lecz mąż nalegał, by zostali razem, dopóki najmłodsze z dzieci nie skończy szkoły. Ostatniego roku zerwał nawet romans z asystentką. Niedostatecznie nagrodzony przez żonę za obie te ofiary wdał się w kolejną aferę z kolejną asystentką.

Wstała i ruszyła w drogę powrotną. Tak, życie toczy się dalej, jakby nigdy nic. Gdyby tylko mogła przestać żyć dla innych i wreszcie zaczęła żyć własnym życiem! Ale na to nie pozwalał jej nie tylko wiek. Nie miała pojęcia, czym było jej własne życie. Robić wreszcie to, co sprawia jej radość? Jediną znaną radością, której się nauczyła, była radość, jaką dawała jej podyktowana poczuciem odpowiedzialności miłość i wypełnianie obowiązków. No

tak, pozostawała jeszcze przyroda. Ale już nie czuła jej zapachu.

3

Rankiem w dniu urodzin ładnie się ubrała. Włożyła lila kostium z dzianiny, buty w tym samym kolorze i białą bluzkę z haftem i szarfą. Fryzjerka, do której zawsze chodziła, tym razem przyszła do niej i nakręciła jej włosy na wałki. – Gdybym była starszym panem, robiłabym pani awanse. A gdybym była pani wnuczką, z dumą prezentowałabym panią swoim przyjaciółkom.

Nikogo nie zabrakło. Czworo dzieci z małżonkami i trzynaścioro wnucząt. Po drodze do Bierer Hof synowie utworzyli grupkę z zięciami, a córki z synowymi. Starsze wnuki rozmawiały o maturze i studiach, młodsze – o muzyce pop i grach komputerowych. Dołączała na chwilę do każdej z grupek, wszędzie życzliwie ją witano, a potem równie życzliwie ignorowano, by wrócić do przerwanego wątku. Nie przeszkadzało jej to. Dawniej byłaby pewnie szczęśliwa, że jej bliscy tak dobrze się rozumieją, mimo to, że pożenili się i pozakładali własne rodziny, lecz teraz dziwiły ją tematy, które poruszali. Muzyka pop i gry komputerowe? Jakie studia są gwarancją dużych pieniędzy? Czy spróbować botoksu? Jak można tanio spędzić wczasy na Sesselach?

Aperitif podano na tarasie, a posiłek w sali przy

długim stole. Gdy skończyli zupę, najstarszy syn wygłosił przemowę. Wspomnienia z czasów, gdy on i rodzeństwo byli mali, wyrazy uznania dla energii, z jaką angażowała się na rzecz lokalnej społeczności, gdy dzieci wyfrunęły już z gniazda, podziękowania za miłość, jaką okazywała i okazuje dzieciom i wnukom – mowa, choć cokolwiek sucha, została wygłoszona ze swadą i w dobrej intencji. Patrząc na syna, wyobrażała sobie, jak wygląda, przewodnicząc zebraniom lub naradzie. O jej mężu, małżeństwie i rozwodzie nie wspomniał ani słowem. Przypomniały jej się fotografie z rewolucji październikowej, które Stalin kazał wyretuszować i usunąć z nich Trockiego. Jakby nigdy nie istniał.

– Myślicie, że nie zniosę, gdy choć słowem wspomnicie ojca? Wydaje wam się, że nie wiem, że spotykacie się z nim i jego nową żoną? Że razem obchodziliście jego osiemdziesiąte urodziny? Widziałam w gazecie wasze zdjęcie!

– Gdy się wyprowadził, przestałaś o nim mówić. Myśleliśmy...

– Myśleliście? Nie mogliście spytać? – Badawczo spojrzała na dzieci, na każde z osobna. Odwracały wzrok z irytacją. – Zamiast spytać, myśleliście. Myśleliście, że skoro o nim nie mówię, to znaczy, że nie zniosę, gdy wy będziecie o nim mówić. Wydawało wam się, że się załamie? Że będę płakać, krzyczeć, że wpadnę w szal? Zabronię wam spotkań z ojcem? Każę wam wybierać: ja albo on? – Pokręciła głową.

I znowu jako pierwsza głos zabrała najmłodsza córka.

– Baliśmy się, że...

– Baliście się? Mnie się baliście? Taka jestem silna, że się mnie boicie, i taka słaba, że nie zniosłabym, gdybyście zaczęli mówić o ojcu? To przecież nie ma sensu! – Dotarło do niej, że mówi podniesionym, ostrym głosem. Teraz także wnuki patrzyły na nią zirytowane.

Wtrącił się najstarszy syn.

– Wszystko w swoim czasie. Każdego z nas coś z ojcem łączy, każdy ucieszy się, jeśli będzie mógł z tobą spokojnie o nim porozmawiać. Ale nie dajmy kelnerkom dłużej czekać z drugim daniem. Inaczej będą miały opóźnienie w programie...

– Program kelnerek... – zaczęła, lecz urwała, widząc błagalny wzrok najmłodszej córki. Podano sałatę, pieczeń, mousse au chocolat. Milczenie nie sprawiało jej trudności. Wszyscy gadali jeden przez drugiego, a ona na próżno starała się zrozumieć, co mówi sąsiad z boku czy z naprzeciwka. Zawsze miała ten problem, gdy rozmawiało naraz wiele osób. Lekarz miał na to nawet osobną nazwę – efekt koktajlowy, oznajmił jej też, że nie można temu zaradzić. Przyjęła taktykę uprzejmego zwracania się do swego sąsiada, od czasu do czasu uśmiechała się lub potakiwała ze zrozumieniem, lecz przez cały czas była zajęta własnymi myślami. Rozmówcy najczęściej niczego nie zauważali.

Nim podano kawę, wstała Charlotte, najmłodsza wnuczka, i tak długo uderzała łyżeczką o szklanekę, póki

rozmowy nie ucichły. Wujek wygłosił przemowę na cześć swojej mamy, a ona chciałaby wygłosić przemowę na cześć swojej babci, oznajmiła. Wszystkich, którzy siedzą przy tym stole, wszystkich wnuków i wszystkie wnuczki babcia nauczyła czytać. Nie słowa i zdania, tego nauczyli się w szkole, ale całe książki. Babcia czytała im zawsze, gdy spędzali u niej wakacje. Nigdy nie kończyła książki przed końcem lata, ale tak już byli jej ciekawi, że musieli doczytać ją w domu, sami. Tuż po rozpoczęciu roku szkolnego babcia przysyłała im paczkę z inną książką tego samego autora i ją też czytali od deski do deski. – Tak nam się to spodobało, że dziadzia i Anni też do tego namówiliśmy. Dziękujemy ci, babciu, że zrobiłaś z nas czytelników i nauczyłaś nas cieszyć się książkami!

Rozległy się brawa, Charlotte wzięła swoją szklankę, okrążyła stół i podeszła do niej. – Sto lat, babciu! – Stuknęła się z nią i dała jej całusa.

W ciszy, która zapadła, gdy Charlotte wracała na swoje miejsce przy stole i nim wrócono do przerwanych rozmów, spytała:

– Kto to jest Anni? – Domyślała się, że Anni to druga żona jej byłego męża, i wiedziała, że jej pytanie wprawi bliskich w zakłopotanie.

– Anna to żona taty. Dzieci mówią na dziadka „dziadzio”, a na Annę „Anni” – odparł rzeczowo i spokojnie najstarszy syn.

– Żona taty? Nie masz na myśli mnie, chcesz powiedzieć: druga żona taty? A może jest już trzecia? –

Zdawała sobie sprawę, że zachowuje się okropnie. Nie chciała tego, ale nie mogła przestać.

– Tak, Anna jest drugą żoną taty.

– Anni – powtórzyła po wnuczce, przesadnie akcentując końcowe „i”. – Anni. Może jeszcze powinnam być wdzięczna, że nie wołacie na nią „babunia” i nie robicie z niej drugiej babci. A może czasem mówicie do niej „babuniu”? – Gdy nikt nie odpowiadał, spytała:

– Charlotte, powiedz no, mówisz czasem do Anni „babuniu”?

– Nie, babciu, do Anni mówimy tylko „Anni”.

– Jaka jest ta Anni, do której nie mówicie „babuniu”?

– Czy nie moglibyśmy przestać? – nie wytrzymała najmłodsza córka.

– My? Nie, to nie my zaczęliśmy, więc „my” nie możemy przestać. To ja zaczęłam. – Wstała. – I ja mogę przestać. Położę się na chwilę. Przyjedziecie po mnie za dwie godziny, gdy podadzą herbatę?

4

Nie chciała towarzystwa i wróciła do domu seniora sama. Gdzie się podziały jej uroczyste postanowienia? No, przynajmniej udało jej się wstać i wyjść. Chociaż miałyby wielką ochotę posunąć się jeszcze dalej. Ciekawe, czy udałoby jej się sprowokować dzieci i doprowadzić do wybuchu wściekłości? Syna, sędziego,

zmusić, by podniósł głos i tupnął nogą? Dyrektora muzeum, by rzucił talerzem o podłogę albo o ścianę? Córki do tego, by patrzyły na nią już nie błagalnie, lecz z nienawiścią?

Gdy przyjechał po nią najstarszy wnuk, postanowiła, że nikogo nie będzie już złościć ani prowokować. Podczas krótkiej przejażdżki Ferdinand opowiadał o egzaminie, do którego miał przystąpić za kilka tygodni. Do tej pory uważała go za wyjątkowo rozsądnego młodzieńca. Teraz, jeśli miała być wobec siebie szczerą, wydał jej się raczej wyjątkowo nudny. Czowała zmęczenie.

Następnego dnia zachorowała. Nie miała kataru ani kaszlu, nie bolał jej żołądek, nie nabawiła się niestrawności. Miała po prostu wysoką gorączkę, na którą nie pomagały ani środki na zabicie temperatury, ani antybiotyki. – Wirus – zawyrokował lekarz, wzruszając bezradnie ramionami. Ale zadzwonił do najstarszego syna, a ten przysłał do niej jedną ze swych córek. Emilia miała osiemnaście lat i chciała studiować medycynę.

Wnuczka zmieniała pościel, nacierała jej plecy i ramiona francówką [(niem. *Franzbrannwein*) – rozgrzewający roztwór spirytusowy do stosowania zewnętrznego w przypadkach bólu stawów i mięśni.] i robiła zimne kompresy na łydki. Co rano przynosiła świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy, w południe – świeżo starte jabłko, wieczorem – czerwone wino, do którego wbijała żółtko, i raz po raz miętę lub rumianek. W ciągu dnia często wietrzyła pokój i kilkakrotnie zmuszała ją do przejścia paru kroków po pokoju i korytarzu. Raz

dziennie przygotowywała kąpiel, brała ją na ręce i zanosila do wanny. Emilia była silną dziewczyną.

Po pięciu dniach gorączka zaczęła spadać. Nie chciała umierać. Ale odczuwała takie zmęczenie, że było jej wszystko jedno, życie czy śmierć, zdrowie czy dalszy ciąg choroby. Może nawet wołałaby dalej chorować. Lubiła te gorączkowe mroczki, które otaczały ją, gdy się budziła i gdy obsuwała się w sen, podobało jej się, że wszystko, co widziała i słyszała, wydawało się dalekie, przytłumione. Więcej nawet, kołysanie drzewa za oknem przemieniało się w taniec wróżki, a śpiew kosa w wołanie czarodziejki. Lubiła intensywność doznań, gorącą wodę w wannie i chłód francówki na skórze. Lubiła nawet dreszcze, które wstrząsały nią kilkakrotnie w pierwszych dniach gorączki. Sprawiały, że tęskniła tylko za ciepłem, nie czuła niczego poza tą tęsknotą i o niczym innym nie mogła myśleć. I ogarniała ją cudowna rozkosz, gdy wreszcie robiło jej się naprawdę ciepło!

Znowu była młoda. Obrazy i sny towarzyszące jej w gorączce były gorączkowymi obrazami i snami jej dzieciństwa. Wraz z wróżką i czarodziejką powróciły urywki bajek, które kochała: *Śnieżyczka i Różyczka*, *Braciszek i siostrzyczka*, *Ośła skórka*, *Kopciuszek*, *Księżniczka na ziarnku grochu*. Gdy przez otwarte okno do pokoju wpadł wiatr, przypomniała jej się królewna, która w bajce nakazywała wiatrowi: *Wietrzyku, co studzisz słoneczko gorące, zrzuć czapkę Konradka, niech goni po łące* – więcej nie pamiętała. W młodości dobrze jeździła

na nartach. Przyśniło jej się, że zjeżdża po białym zboczu, podrywa się do lotu i szybuje ponad lasami, dolinami, wsiami. W innym śnie musiała koniecznie się z kimś spotkać, nie wiedziała, z kim i gdzie, wiedziała tylko, że spotkają się przy pełni księżyca i poznają po piosence. Gdy się zbudziła, ogarnęło ją poczucie, jakby to samo przyśniło się jej, gdy po raz pierwszy była zakochana, i przypomniała sobie pierwsze takty starego przeboju, a jego melodia towarzyszyła jej potem przez cały dzień. W innym śnie tańczyła na balu z mężczyzną, który nie miał jednej ręki, za to drugą prowadził ją tak pewnie i lekko, że unosiła się w powietrzu. Mieli tańczyć aż do rana, lecz nim we śnie zaczęło świtać, obudziła się, a za oknem wstawał już prawdziwy świt.

Emilia często siedziała przy łóżku i trzymała ją za rękę. Jak bezpiecznie, jak lekko spoczywała jej ręka w silnych dłoniach wnuczki! Wdzięczność za to, że ktoś ją tak trzyma, pielęgnuje, troszczy się o nią, że wolno jej być słabą, że nie musi nic mówić ani robić, doprowadzała ją do łez. Gdy zaczynała płakać, długo nie mogła przestać. Łzy wdzięczności zamieniały się w łzy żalu za tym, co nie wyszło w życiu tak, jak powinno, i w łzy samotności. Dotyk wnuczki dobrze jej robił, lecz mimo to czuła się taka samotna, jakby Emilii w ogóle nie było.

Gdy jej stan się poprawił i zaczęły ją odwiedzać dzieci, uczucie opuszczenia nadal jej nie odstępowało. Dzieci były przy niej, ale doskwierała jej taka samotność, jakby ich wcale nie było. To koniec miłości, myślała. Być

z kimś i czuć taką samotność, jakby obok nie było nikogo.

Emilia została, chodziła z nią na spacer, najpierw krótkie, potem coraz dłuższe, jadła z nią obiady w restauracji domu seniora, a wieczorami oglądały razem telewizję. Była przy niej przez cały czas.

– Nie musisz iść na studia? Albo zarabiać pieniędzy?

– Miałam pracę. Ale twoje dzieci postanowiły, że mam złożyć wypowiedzenie i zająć się tobą. Płacą mi tyle samo, ile zarobiłabym gdzie indziej. Tamta praca nie była najlepsza, nie żałuję jej.

– Jak długo będziesz pracować dla mnie?

Emilia się roześmiała.

– Aż twoje dzieci uznają, że czujesz się lepiej.

– A jeśli wcześniej sama uznam, że mi się polepszyło?

– Myślałam, że cieszysz się z mojej obecności.

– Nie lubię, gdy inni twierdzą, że lepiej ode mnie wiedzą, jak się czuję i czego mi potrzeba.

– Rozumiem. – Emilia skinęła głową.

5

A gdyby tak zraziła do siebie wnuczkę? Dzieci uznałyby to za niewątpliwą oznakę choroby, podobnie jak pierwszymi objawami choroby tłumaczyły sobie jej zachowanie w dniu urodzin. A może Emilia dałaby się przekupić, by przekonać rodziców, że babcia

wyzdrowiała?

– Nie – roześmiała się wnuczka. – Ciekawe, jak miałabym im wytłumaczyć, skąd nagle wzięłam pieniądze? Jeśli to przed nimi zataję i udam, że ich nie mam, znów będę musiała iść do pracy.

Wieczorem. spróbowała jeszcze raz.

– A jeśli im powiesz, że po prostu ci je dałam?

– Nigdy żadnemu z nas nie podarowałaś niczego, czego nie dałaś również innym. Gdy byliśmy mali, ani razu nie zabrałaś żadnego z wnuków na wycieczkę, której w ciągu następnych dwóch, trzech lat nie zafundowałybyś również pozostałym.

– Chyba trochę przesadzasz.

– Tato zawsze powtarza, że to dzięki tobie został sędzią.

– Mimo to uważam, że jednak trochę przesadzasz. Czy wolno ci wyjechać ze mną w podróż? Żeby mi się poprawiło?

– Masz na myśli sanatorium? – Emilia spojrzała na nią sceptycznie.

– Muszę stąd wyjechać. To mieszkanie jest jak więzienie, a ty jak strażniczka. Przykro mi, ale tak jest i byłoby tak, nawet gdybyś była aniołem. – Uśmiechnęła się. – Nie, tak jest, chociaż jesteś aniołem. Bez ciebie nie dałabym sobie rady.

– Dokąd chcesz pojechać?

– Na południe.

– Przecież nie mogę tak po prostu oświadczyć mamie

i tacie, że jedziemy na południe! Musimy wyznaczyć sobie cel, trasę, etapy podróży, powinni przecież wiedzieć, gdzie nas szukać, gdzie wezwać policję, na wypadek gdyby stracili z nami kontakt. Jak właściwie chcesz podróżować? Samochodem? Rodzice nigdy się na to nie zgodzą. Może zgodziliby się, gdybym to ja prowadziła, ale na pewno nie na to, żebyś to ty siedziała za kierownicą. Jeszcze gdy byłaś zdrowa, zastanawiali się, czy nie zadzwonić na policję, żeby cię wezwali i poddali ponownym testom, których byś nie zdała i nie mogła już więcej jeździć. Co dopiero teraz, kiedy jesteś chora...

Słuchała wnuczki ze zdumieniem. Jaka bojaźliwa była ta skądinąd silna dziewczyna, jak wielką wagę przywiązywała do tego, co powiedzą rodzice. Cel, trasa, etapy podróży – co miała powiedzieć?

– Może wystarczy, jeśli rano damy im znać, gdzie będziemy wieczorem? Jeśli jutro rano powiemy, że pod wieczór będziemy w Zurychu?

Nie chciała jechać do Zurychu. Ani na południe. Chciała odwiedzić miasto, w którym studiowała pod koniec lat czterdziestych. Tak, miasto leżało na południu. Ale nie na prawdziwym południu. Pamiętała, że wiosną i jesienią sporo tam padało, a w zimie sypał śnieg. Tylko latem było upajająco pięknie.

Przynajmniej tak widziała to miasto oczyma duszy. Od czasu studiów nigdy więcej go nie odwiedziła. Czy dlatego, że nie nadarzyła się okazja? A może sama się przed tym wzbraniała? Nie chciała odczarować

wspomnień ostatniego lata, spędzonego z pewnym jednorękim młodzieńcem, z którym tańczyła na balu studentów medycyny, a przed paroma dniami w rozpalonym gorączką śnie. Miał na sobie ciemny garnitur, lewy rękaw schował do kieszeni marynarki, prawą ręką prowadził ją pewnie i lekko i był najlepszym tancerzem, z którym tańczyła tamtego wieczora. Poza tym był zajmujący – o tym, jak w wieku piętnastu lat stracił rękę od wybuchu bomby, opowiadał tak, jakby ktoś mu spletał niezłego figla, a o filozofach, których dzieła studiował, jakby byli jego lekko zdziwaczałymi przyjaciółmi.

A może nie odwiedziła już tego miasta, bo nie chciała, by powróciło wspomnienie bolesnego pożegnania? Po balu odprowadził ją do domu, pod drzwiami pocałował, spotkali się nazajutrz i odtąd widywali się codziennie, aż do dnia, w którym nagle wyjechał. Był wrzesień, większość studentów opuściła miasto, lecz ona została ze względu na niego, a rodzicom, którzy czekali w domu, skłamała, że dostała praktykę. Odprowadziła go na pociąg, a on obiecał, że napisze, zadzwoni i że niedługo wróci. Ale nie odezwał się nigdy więcej.

Na balkonie Emilia rozmawiała przez telefon z rodzicami. Po rozmowie oznajmiła, że zgodzili się pod warunkiem, że będą codziennie dzwoniły – rano, w południe i wieczorem.

– Odpowiadam za ciebie, babciu. Mam nadzieję, że nie będziesz mi utrudniać zadania.

– Chodzi ci o to, że mam nie próbować ucieczki? Nie upijać się? Nie zadawać się z obcymi mężczyznami?

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi, babciu.

Nie, nie wiem – ale nic nie powiedziała.

6

Nazajutrz rano Emilia podźwignęła ciężar odpowiedzialności z większą swobodą niż poprzedniego dnia i cieszyła się podróżą. Fascynowało ją, że jadą do miasta, w którym babcia była kiedyś młoda, jak teraz ona. Podczas jazdy bez przerwy pytała: o miasto, uniwersytet, o organizację studiów, życie studenckie, o to, jak babcia mieszkała, co jadła, jak się bawiła, o to, czy po wojnie młodzi ludzie chcieli dobrze się bawić, czy raczej woleli szybko się dorobić, czy dużo flirtowali i jak się zabezpieczali.

– Poznałaś dziadka na studiach?

– Znaliśmy się już jako dzieci, nasi rodzice byli przyjaciółmi.

– To chyba mało ekscytujące. Dla mnie musi być ekscytująco. Zerwałam z Felixem, bo nie chciałam ciągnąć ze sobą na studia historii jeszcze ze szkoły. Felix był okay, ale ja chcę czegoś więcej. Czytałam, że aranżowane małżeństwa czasem nawet się sprawdzają. Ale to nie dla mnie... Ja...

– To nie tak. Nasi rodzice nie zaaranżowali naszego

małżeństwa, przyjaźnili się tylko. W dzieciństwie widzieliśmy się kilka razy, to wszystko.

– Czy ja wiem? Rodzice wysyłają dzieciom sygnały, których te nie są nawet świadome. Sami rodzice też nie muszą ich sobie uświadamiać. Myślą po prostu, że ich dzieci pasują do siebie ze względu na pochodzenie, klasę społeczną i stan zamożności, i że byłoby dobrze, gdyby kiedyś założyły rodzinę. Myślą o tym zawsze, gdy widzą swoje dzieci razem. Dyskretnie komentują, robią aluzje, wysyłają zachęty, a dzieci, same o tym nie wiedząc, połykają haczyk.

I tak przez całą drogę. Emilia wyczytała gdzieś, że w latach pięćdziesiątych dziewczęta wierzyły, że można zajść w ciążę od pocałunku. Że mężczyźni nazajutrz po ślubie występowali o rozwód, jeśli w noc poślubną okazało się, że żona nie była już dziewicą. Że aktywność fizyczna cieszyła się wśród dziewcząt popularnością, bo dzięki niej mogły mówić, że błona dziewicza przerwała im się podczas uprawiania sportu. Że po stosunku młode kobiety, żeby nie zajść w ciążę, płukały pochwę octem i by wywołać poronienie, kłuły macicę drutami od robótek.

– Jak ja się cieszę, że żyję w innych czasach! Dziewice na pewno strasznie bały się nocy poślubnej. Czy dziadek był jedynym mężczyzną w twoim życiu? Nie masz poczucia, że coś straciłaś?

Patrzyła na rozprawiającą wnuczkę, jej ładną twarz, gładką cerę, żywe oczy, energiczny podbródek i niezamykające się usta, z których płynęło jedno głupstwo

za drugim. Nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy złościć. Czy całe pokolenie jest takie? Czy tak bardzo żyją terażniejszością, że przeszłość widzą tylko w krzywym zwierciadle? Spróbowała opowiedzieć jej o pokoleniu wojennym i powojennym, o marzeniach ówczesnych dziewcząt i kobiet, o chłopcach i mężczyznach, z którymi się spotykały, o tym, jak wyglądały relacje między płciami. Lecz zauważyła, że to, co opowiada, wypada blado, bezbarwnie. Zaczęła więc mówić o sobie. Gdy doszła do pocałunku po balu, była na siebie zła – opowieść o jednorękim studencie powinna zachować dla siebie. Ale było już za późno.

– Jak się nazywał?

– Adalbert.

Emilia przestała jej przerywać. Słuchała z uwagą, a gdy babcia doszła do sceny pożegnania na peronie, wnuczka uścisnęła jej rękę. Przeczynała, że to historia, która nie skończy się dobrze.

– Co powiedzieliby twoi rodzice, gdyby zobaczyli, że odrywasz rękę od kierownicy? – spytała, wyswobadzając dłoń z uścisku wnuczki.

– Nie odezwał się nigdy więcej?

– Po kilku tygodniach pojawił się u nas w Hamburgu. Ale nie rozmawiałam z nim. Nie chciałam go widzieć.

– Wiesz, jak potoczyło się jego życie?

– Kiedyś widziałam w księgarni jego książkę. Nie mam pojęcia, czy został dziennikarzem, profesorem, czy kim tam jeszcze. Nie zaglądałam do niej.

– Jak miał na nazwisko?

– To nie twoja sprawa.

– Daj spokój, babciu. Chcę się tylko dowiedzieć, co pisze mężczyzna, który kochał się w mojej babci – a ona w nim. Jestem pewna, że kochał cię równie mocno jak ty jego. Znasz to powiedzenie: *Now, if not forever, is sometimes better than never?* To prawda. Z tego, co opowiadasz, wynika, że twoje wspomnienia nie są tylko gorzkie. Są też słodkie. Słodko-gorzkie.

– Paulsen – odpowiedziała po chwili wahania.

– Adalbert Paulsen – powtórzyła Emilia, żeby zapamiętać.

Zjechały z autostrady na wijącą się wzdłuż rzeki szosę. Czy chodzili wtedy nad rzekę? Po przeciwległej stronie nie biegła żadna droga ani tory kolejowe – czy to tam spacerowali? Czy odpoczywali w gospodzie, do której można było dopłynąć promem? Nie była pewna, czy poznała gospodę, zamek, wieś. Może nie zmieniła się sama tylko atmosfera. Lubili wędrować z butelką wina, chlebem i kiełbasą w plecaku. Pływali w rzece i wylegiwali się na słońcu.

Wkrótce będą na miejscu. Już nie opłaca się zasypiać, pomyślała, i zaraz zasnęła. Obudziła się dopiero, gdy Emilia parkowała przed hotelem, który tego samego ranka znalazła w internecie.

Czego się spodziewała? Domy nie były już szare, lecz białe, żółte, koloru ochry, a nawet zielone i niebieskie. Sklepy należały do wielkich sieci, a tam, gdzie we wspomnieniach widziała restauracje i knajpy, rozlokowały się fast foody. Nawet jej ukochana księgarnia była teraz filią większej, sieciowej, i sprzedawano w niej tylko bestsellery i czasopisma. Ale przez miasto nadal płynęła rzeka, uliczki pozostały wąskie, droga do zamku – stroma, a widok z góry – rozległy. Usiadła z Emilią na tarasie i patrzyła na miasto i okolicę.

– I co? Jest tak, jak sobie wyobrażałaś?

– Ach, dziecko, daj mi po prostu trochę posiedzieć i popatrzeć. Na szczęście zbyt wiele sobie nie wyobrażałam.

Była zmęczona i gdy po kolacji na zamkowym tarasie wróciły do hotelu, od razu położyła się spać, choć dopiero dochodziła ósma. Emilia spytała, czy może jeszcze pospacerować po mieście. Prośba wnuczki zdziwiła ją i wzruszyła zarazem. Czyż Emilia nie była dorosła?

Mimo zmęczenia nie mogła zasnąć. Na dworze było jeszcze jasno, wyraźnie rozpoznawała kontury trzydrzwiowej szafy, stojącego przy ścianie stołu i zawieszzonego nad nim lustro – stół w zależności od potrzeb mógł służyć za toaletkę lub biurko; dwa fotele obok komody, na której stała butelka z wodą, szklanka i koszyk z owocami, telewizor, drzwi do łazienki. Pomieszczenie przypominało jej pokoje, w których

nocowali z mężem w czasach, gdy jeszcze towarzyszyła mu w wyjazdach na konferencje. Był to typowy pokój w dobrym, w małej miejscowości nawet najlepszym hotelu, lecz urządzone tak funkcjonalnie, że brakowało mu charakteru.

Myślała o wiejskim zajeździe, w którym spędziła noc z Adalbertem. W pokoju stało łóżko, krzesło, stół z dzbankiem na wodę i miednicą. Nad stołem wisiało lustro, a na drzwiach – hak na ubrania. Pokój był funkcjonalny, a jednak miał swoją tajemnicę i czar. Świadomi surowego wzroku gospodyni wzięli dwa pokoje jednoosobowe. Po kolacji każde poszło do siebie i, choć niczego między sobą nie ustalili, wiedziała, że on przyjdzie. Wiedziała o tym od samego rana, dlatego zapakowała najładniejszą koszulę nocną. Wieczorem ją włożyła.

Czy i ten pokój nabrałby charakteru, gdyby był tu z nią Adalbert? Czy z nim także dużo by podróżowała i nocowała w hotelach? Jak potoczyłoby się ich życie? Czy byłoby to życie u boku mężczyzny dźwigającego na swych barkach dużą odpowiedzialność, mężczyzny, który dużo czasu spędzał w podróży, a mało w domu, mężczyzny, który miał romanse? Nie wyobrażała sobie podobnego scenariusza z Adalbertem, ale nie mogła też sobie wyobrazić żadnego innego. Na myśl o małżeństwie z Adalbertem ogarniał ją strach, osobliwe uczucie, jakby grunt usuwał jej się spod nóg. Może dlatego, że od niej odszedł.

Gdy zamknęła okno, odgłosy ulicy przycichły:

dźwięczny śmiech młodych kobiet, głośne rozmowy młodych mężczyzn, odgłos samochodu, powoli torującego sobie drogę między przechodniami, muzyka dobiegająca z otwartego okna, brzęk tłuczonej butelki. Może upuścił ją ktoś pijany. Bała się pijaków, choć potrafiła stanowczym głosem dać im do zrozumienia, żeby trzymali się od niej z daleka. Jakie to swoją drogą dziwne, że można napędzić stracha komuś, kogo człowiek sam się boi.

Im dłużej leżała i rozmyślała, tym bardziej sen się oddalał. Co też robi Emilia? Jakim będzie lekarzem? Dziarska i energiczna czy ostrożna i delikatna? Dlaczego o tym myśli? Może mimo wszystko ją kocha? A co z resztą wnuków i dzieci? Telefony, których dzieci domagały się codziennie w porze posiłków, pozostawiła Emilii i gdy rodzice chcieli z nią porozmawiać, machała tylko ręką. Chciała, by rodzina zostawiła ją w spokoju, co do tego nic się nie zmieniło. Byłoby najlepiej, gdyby i Emilia dała jej święty spokój.

Wstała i poszła do łazienki. Zdjęła koszulę nocną i przyjrzała się sobie w lustrze. Chude ramiona i nogi, obwisłe piersi, obwisły brzuch, przyciężka talia, zmarszczki na twarzy i szyi – nie, siebie też nie lubiła. Nie podobało jej się, jak wygląda, jak czuje, jak żyje. Włożyła z powrotem koszulę nocną, położyła się i włączyła telewizor. Jaka oczywista była miłość tych wszystkich mężczyzn i kobiet, rodziców i dzieci! Chyba że brali udział w grze, w której każdy tylko udaje przed innymi po to, by i oni dali mu żyć iluzjami? Może ona straciła po

prostu entuzjazm dla tej gry? A może zwyczajnie nie opłacało się brać w niej udziału, bo w ciągu tych lat, które jej jeszcze pozostały, nie potrzebowała już żadnych iluzji?

Podróży też już nie potrzebowała. I one były iluzjami, jeszcze bardziej nietrwałymi niż miłość. Jutro wrócą do domu.

8

Ale gdy rankiem zapukała do drzwi Emilii, nie usłyszała odpowiedzi. Nie zastała jej też przy żadnym ze stolików na tarasie. W recepcji powiedziano jej, że młoda dama wyszła pół godziny temu.

– Czy zostawiła wiadomość?

Nie, nie zostawiła wiadomości. Lecz po chwili do stołu, przy którym jadła śniadanie, podeszła miła dziewczyna z recepcji i powiedziała, że młoda dama właśnie dzwoniła i kazała jej przekazać, że wróci w południe i zabierze babcię na obiad.

Nie mogła w tej sytuacji nic zrobić i nie podobało jej się to. Chciała wyjechać o dziesiątej, o jedenastej być już na autostradzie, a o czwartej – w domu. Postanowiła jednak uzbroić się w cierpliwość. Promienie słońca oświetlały wewnętrzny dziedziniec i taras, personel nie był natarczywy i nie odsyłał jej do bufetu, lecz przynosił do stolika wszystko, o co poprosiła. Pomidory z mozzarellą, wędzonego pstrąga z sosem chrzanowym,

sałatkę owocową z jogurtem i miodem – mimo utraty smaku każdą z potraw gryzła i żuła inaczej. Podobnie z miłością – myślała. – Choć przestałam kochać dzieci i wnuki, nie umyka mojej uwagi to, że każde jest inne. I przecież mimo wszystko nawet trochę delektuję się miękką, zwartą konsystencją pstrąga z chrzanem, który przypomina watę. Tak właśnie powinnam podchodzić do kwestii dzieci i wnuków. Może Emilia poznała wczoraj w mieście jakiegoś chłopca i zajęła się nim z taką samą energią, z jaką zabierała się do opieki nade mną czy do spełniania życzeń swoich rodziców? Tak, dziewczyna jest energiczna, silna, sumienna. Ma też wielkie serce. Będzie z niej dobry lekarz.

Siedziała na tarasie, dopóki nie zaczęto nakrywać do obiadu. Palila ją twarz. Było ostre słońce i trochę spiekła sobie skórę. Wstała, wyszła na miękkich nogach do foyer i usiadła w fotelu. Zasnęła i zbudziła się, gdy Emilia, przysiadłszy na oparciu fotela, wycierała jej usta chusteczką.

– Śliniłam się?

– Tak, babciu, ale to nic. Znalazłam go.

– Znalazłaś...

– Znalazłam Adalberta Paulsena. Nic prostszego – jego nazwisko figuruje w książce telefonicznej. Wiem też, że był profesorem filozofii na tutejszym uniwersytecie, owdowiał i ma córkę, która mieszka w Ameryce. Bibliotekarka na wydziale filozofii pokazała mi książki, które napisał – cały regał.

– Wracajmy do domu.

– Nie chcesz go zobaczyć? Musisz się z nim spotkać!
Przecież po to tu przyjechałyśmy.

– Nie, nie po to...

– Może sobie tego nie uświadamiasz. Ale wierz mi, to twoja podświadomość kazała ci tu przyjechać, żebyś go zobaczyła i żebyście się pogodzili.

– Mamy się...

– Tak, macie się pogodzić. Musisz mu wybaczyć. Inaczej nie będzie ci to dawało spokoju, i jemu też nie. Jestem pewna, że też tego chce, tylko brakuje mu odwagi, bo wtedy w Hamburgu dałaś mu kosza.

– Dajżeż spokój, Emilio. Pakuj się. Obiad zjemy po drodze.

– Powiedziałam mu, że przyjdiesz o czwartej.

– Powiedziałaś...

– Byłam u niego, chciałam wiedzieć, gdzie mieszka, i skoro już stałam pod jego domem, pomyślałam sobie, że od razu zapowiem twoją wizytę. Z początku trochę się wahał, tak jak ty, ale zgodził się. Myślę, że się ucieszył. Jest ciebie ciekaw.

– To dwie różne rzeczy. Nie, dziecko, to nie był dobry pomysł. Albo zadzwonisz do niego i wszystko odwołasz, albo po prostu nie pójde. Nie chcę go widzieć.

Lecz Emilia nie dała się tak łatwo zbyć. Babcia nie ma nic do stracenia, może tylko zyskać, czy sama nie czuje, ile jest w niej goryczy, trzeba ją z siebie wyrzucić, czy nie rozumie, że skoro można jeszcze przebaczyć i

uczynić coś dobrego, to trzeba to zrobić, czy nie jest ani trochę ciekawa, to w końcu ostatnia przygoda w jej życiu. Emilia gadała jak nakręcona. Zmęczyła ją. Nie mogła dłużej znieść paplaniny tego dziecka, głęboko przekonanego co do swoich racji, pseudopsychologicznych mądrości i terapeutycznej misji, i w końcu dała za wygraną.

9

Wzięła taksówkę, chociaż Emilia zaoferowała się, że ją odwiezie. Nie miała ochoty wysłuchiwać w samochodzie jej dobrych rad. Gdy wysiadła i skierowała się w stronę niepozornego domku jednorodzinnego z lat sześćdziesiątych, poczuła spokój. To dla takiego domu ją zostawił? Może i dorobił się profesury, ale najwyraźniej został też nudnym mieszcuchem. A może zawsze nim był?

Otworzył jej drzwi. Poznała jego twarz, ciemne oczy, gęste brwi, bujne włosy, teraz siwe, ostry nos i szerokie usta. Był wyższy niż w jej wspomnieniach, wychudzony, garnitur wisiał na jego kościstej postaci jak na wieszaku. Lewy rękaw marynarki schował do lewej kieszeni. Uśmiechnął się.

– Nina!

– To nie był mój pomysł. Moja wnuczka Emilia wymyśliła sobie, że...

– Wejdz. Zaraz mi wytłumaczysz, dlaczego nie chciałaś przyjechać. – Poszedł przodem, a ona za nim przez korytarz i pełen książek pokój na taras. Rozpościerał się z niego widok na drzewa owocowe, łąki i porośnięte lasem góry. Widząc jej zaskoczenie, powiedział:

– Ja też nie lubiłem tego domu, póki nie zobaczyłem tarasu. – Podsunął jej fotel, nalał im herbaty i usiadł naprzeciwko. – Dlaczego nie chciałaś przyjechać?

Nie mogła rozszyfrować jego uśmiechu. Kpina? Zakłopotanie? Politowanie?

– Nie wiem. Myśl, że miałabym cię jeszcze kiedyś zobaczyć, była dla mnie nie do zniesienia. Zresztą może się do niej z czasem przyzwyczaiłam. Ale towarzyszyła mi.

– Jak twoja wnuczka wpadła na pomysł, że musimy się zobaczyć?

– Ach... – Machnęła ręką od niechcienia. – Opowiadałam jej o naszym lecie. Jej wyobrażenia o życiu i miłości w tamtych czasach są tak naiwne, że nie mogłam się powstrzymać.

– Co jej opowiadałaś o naszym lecie? – spytał już bez uśmiechu.

– Dlaczego pytasz? Przecież byłeś wtedy ze mną, na balu studentów medycyny, pod drzwiami, gdy się całowaliśmy, i w tamtym pokoju w zajeździe – odparła zirytowana. – Byłeś też ze mną na peronie, wsiadłeś do pociągu, odjechałeś i nigdy więcej o tobie nie słyszałam.

Skinął głową.

– Jak długo czekałaś?

– Nie wiem już, ile dni i tygodni. Całą wieczność, tyle pamiętam, to była wieczność.

Spojrzał na nią smutno.

– To było zaledwie dziesięć dni, Nino. Gdy po dziesięciu dniach wróciłem, twoja gospodyni powiedziała mi, że się wyprowadziłaś. Przyjechał po ciebie młody człowiek, załadował twoje rzeczy do samochodu i razem z tobą odjechał.

– Kłamiesz! – zaprotestowała.

– Nie, Nino, nie kłamię.

– Czy chcesz, bym straciła grunt pod nogami? Przestała ufać własnemu rozumowi i wspomnieniom? Chcesz, żebym oszalała? Jak możesz mówić takie rzeczy!

Odchylił się na oparcie fotela i przejechał ręką po twarzy i włosach.

– Pamiętasz, dokąd wówczas wyjechałem?

– Nie, nie przypominam sobie. Ale pamiętam, że nie pisałeś i nie dzwoniłeś i że...

– Wyjechałem na kongres filozoficzny do Budapesztu. Nie mogłem stamtąd ani dzwonić, ani pisać. Trwała zimna wojna, nie miałem pozwolenia na pobyt i nie mogłem się z nikim kontaktować. Wszystko ci wyjaśniłem przed wyjazdem.

– Wiem tylko, że wybrałeś się w podróż, z której równie dobrze mógłbyś zrezygnować. Ale taki już byłeś, na pierwszym miejscu stała twoja filozofia, po niej długo,

długo nic, potem koledzy i przyjaciele, a dopiero na końcu ja.

– To też nieprawda, Nino. Pracowałem wtedy nad doktoratem jak szalony, to dlatego, że chciałem go jak najszybciej skończyć, dostać pracę i się z tobą ożenić. Chciałaś znaleźć męża, to było oczywiste, a tamten chłopak z Hamburga miał nade mną zawsze minimalną przewagę. Zналиście się chyba od dziecka? Wasze rodziny się przyjaźniły, a on pracował jako asystent twojego ojca, prawda?

– To nieprawda, tak jak wszystko, co mówisz. Mój ojciec dał mu kilka rad podczas studiów i praktyki, bo go lubił, ale asystent? Nie, mój mąż nigdy nie był asystentem mojego ojca.

Posłał jej zmęczone spojrzenie.

– Bałaś się opuścić swój mieszczański świat i wejść do mojego, biednego? Bałaś się, że nie będę mógł dać ci tego, do czego przywykłaś i czego potrzebowałaś? Ja, stojący przed domem twoich rodziców w Hamburgu – czy o to chodziło?

– Wolnego, robisz ze mnie rozpieszczoną panienkę z bogatego domu? Kochałam cię, a ty wszystko popsuleś i zwyczajnie nie chcesz się do tego przyznać.

Odwrócił w milczeniu głowę, jego wzrok powędrował przez łąki ku góróm. Spojrzała w tym samym kierunku i zobaczyła owce na pastwisku.

– Owce!

– Właśnie je liczyłem. Pamiętasz moje ataki gniewu?

Pewnie i tym cię wystraszyłem. Nadal zdarza mi się wpadać w gniew. Liczenie owiec pomaga.

Na próżno próbowała przypomnieć sobie jego wybuchy gniewu. Jej mąż, o tak, lodowaty gniew jej męża potrafił zmrozić. Gdy utrzymywał się przez kilka dni, doprowadzał ją do kompletnej rozpacz.

– Krzyczałeś na mnie?

Zamiast odpowiedzieć, spytał:

– Opowiesz mi o sobie? Wiem, że jesteś rozwiedziona. Widziałem w gazecie zdjęcie z osiemdziesiątych urodzin twojego męża, był na nim z inną kobietą. Na fotografii były też jego dzieci – wasze?

– Chcesz usłyszeć, że mi w życiu nie wyszło? Że powinnam była wtedy poczekać na ciebie?

Roześmiał się. Przypomniała sobie, że lubiła ten przemożny, niepoohamowany śmiech, a zarazem bała się go. Zauważyła, że nie śmieje się tylko z jej pytania. Śmiał się także, by rozładować napięcie towarzyszące ich rozmowie. Lecz co w jej pytaniu było takiego śmiesznego?

– Pisałem kiedyś o tym, że wielkie życiowe decyzje nie są ani dobre, ani złe, lecz po prostu kierują nasze życie na inne tory. Nie, wcale nie uważam, że ci w życiu nie wyszło.

Opowiadała. O tym, jak zrezygnowała z dalszych studiów, bo była potrzebna mężowi. Dostał stanowisko ordynatora, chociaż nie miał habilitacji, i oczekiwano od niego, że szybko to nadrobi. Został też redaktorem prestiżowego medycznego periodyku. Pisała dla niego, redagowała teksty. – Byłam dobra. Następca Helmuta zaproponował mi posadę sekretarza redakcji. Lecz Helmut powiedział, że chyba dopiero wtedy, gdy zostanę wesołą wdówką.

Potem urodziły się dzieci. Przyszły na świat szybko, jedno po drugim, i gdyby przy czwartym nie pojawiły się komplikacje, mieliby jeszcze więcej.

– Sam jesteś ojcem. Nie wiem, jakie były wasze doświadczenia, ale gdy się wychowuje czwórkę dzieci, nie ma mowy o tym, by podjąć przerwane studia. Miałam pełne ręce roboty. Ale z radością przyglądałam się, jak dzieci rosną i do czegoś w życiu dochodzą. Starszy jest sędzią Sądu Federalnego, młodszy dyrektorem muzeum, a dziewczynki są gospodyniami domowymi i matkami; jedna wyszła za profesora, a druga za dyrygenta. Mam trzynaścioro wnucząt. Też masz wnuki?

Pokręcił głową.

– Moja córka nie wyszła za mąż i nie ma dzieci. Jest lekko autystyczna.

– Jaka była twoja żona?

– Prawie tak samo chuda i wysoka jak ja. Pisała wiersze, cudowne, szalone, pełne rozpaczy. Kocham wiersze, choć rzadko je rozumiem. Nie rozumiałem też

depresji, z którą Julia walczyła przez całe życie. Nie rozumiałem, co wywoływało jej nawroty ani co je kończyło, czy jej depresja miała związek z fazami księżyca, czy słońca, czy miało na nią wpływ to, jak się odżywialiśmy.

– Ale nie popełniła samobójstwa!

– Nie, umarła na raka.

Skinęła głową.

– Po mnie chciałeś mieć kobietę, która byłaby pod każdym względem inna. Żałuję, że nie czytałam w życiu więcej. Czytałam, co musiałam ze względu na redakcję, a potem to samo co dzieci, bo chciałam z nimi rozmawiać, o tym, co czytały, i z biegiem czasu zapomniałam, jak to jest czytać tylko dla siebie. Teraz miałabym dużo czasu na lekturę – ale co by mi z tego przyszło?

– Byłem w kuchni, gdy szłaś przez ogród do domu, i od razu poznałem twój chód. Jest równie zdecydowany jak dawniej. Klik-klak, klik-klak, klik-klak – nigdy nie spotkałem kobiety, która stapałaby równie zdecydowanie. Wtedy myślałem, że żyjesz równie zdecydowanie, jak chodzisz.

– A ja myślałam, że będziesz prowadził mnie przez życie równie lekko i pewnie, jak prowadziłeś mnie w tańcu.

– Też chciałbym żyć tak, jak tańczyłem. Julia wcale nie tańczyła.

– Byłeś z nią szczęśliwy? Jesteś zadowolony ze swojego życia?

Wziął głęboki oddech i odchylił się do tyłu.

– Trudno mi teraz wyobrazić sobie życie bez niej. Nie mogę wyobrazić sobie innego życia niż swoje. Oczywiście mogę fantazjować o tym i owym, ale to czysta abstrakcja.

– Ze mną jest zupełnie inaczej. Bez przerwy wyobrażam sobie, co by było, gdyby. Na przykład, gdybym skończyła studia i poszła do pracy? Gdybym mimo wszystko objęła stanowisko sekretarza redakcji? Gdybym rozwiodła się z Helmutem, gdy zaczął się jego pierwszy romans? Gdybym nie wychowywała dzieci tak surowo, lecz bardziej chaotycznie, z większą radością? Gdyby życie było dla mnie czymś więcej niż tylko kieratem, pasmem obowiązków i odpowiedzialności? Gdybyś mnie nie zostawił?

– Ja... – zaczął i urwał.

Powinna była to powtórzyć. Ale nie chciała się z nim kłócić ani go złościć i spytała:

– Czy zrozumiesz to, co piszesz? Chciałabym spróbować.

– Wyślę ci coś, co mogłoby cię zainteresować. Podasz mi swój adres?

Otworzyła torebkę i wyjęła z niej wizytówkę.

– Dziękuję. – Bawiąc się wizytówką, powiedział: – Jeszcze nigdy w życiu nie dorobiłem się własnych wizytówek.

Roześmiała się.

– Nigdy nie jest za późno. – Wstała. – Czy możesz

zadzwoić po taksówkę?

Poszła za nim do gabinetu, który znajdował się obok pokoju z tarasem. Stąd także roztaczał się widok na góry. Gdy dzwonił, rozglądała się po pokoju. Tu też regały z książkami wypełniały całe ściany. Z jednej strony biurka zavalonego książkami i papierami stał stolik z komputerem, z drugiej wisiała korkowa tablica pełna rachunków, kwitów, wycinków z gazet, skreślonych ręcznie notatek, fotografii. Wysoka, szczupła kobieta o smutnych oczach musiała być Julią, a ta młodsza o zamkniętej twarzy – ich córką. Na jednym ze zdjęć patrzył w obiektyw czarny pies o oczach równie smutnych jak oczy Julii. Na innym znów ubrany w czarny garnitur Adalbert stał obok innych panów w czarnych garniturach. Wyglądali jak zapóźnieni maturzyści. Mężczyzna w mundurze i kobieta w pielęgniarskim kitlu byli pewnie rodzicami Adalberta.

Potem zobaczyła małe, czarno-białe zdjęcie przedstawiające ich dwoje. Stali na peronie i obejmowali się. To nie mogło przecież... Pokręciła głową.

Odłożył słuchawkę i stanął obok niej.

– Nie, to nie jest zdjęcie z naszego pożegnania. Przyszliśmy kiedyś po ciebie na dworzec, twoja przyjaciółka Elena, mój przyjaciel Eberhard i ja. Było późne popołudnie, pojechaliśmy potem nad rzekę i urządziliśmy sobie piknik. Eberhard odziedziczył po dziadku gramofon na korbkę, a u handlarza starzyzną znalazł stare szelakowe płyty. Tańczyliśmy do tej muzyki

do późna w noc. Pamiętasz?

– Czy to zdjęcie zawsze wisiało przy twoim biurku?

– Nie w pierwszych latach. Ale potem tak. Taksówka zaraz będzie.

Wyszli na ulicę.

– Sam pielęgnujesz ogród?

– Nie, mam ogrodnika. Ja przycinam róże.

– Dziękuję – powiedziała i objęła go. Poczwała, jaki jest kościsty.

– Jesteś zdrowy? Sama skóra i kości.

Objął ją prawą ręką i przytrzymał.

– Powodzenia, Nino.

Nadjechała taksówka. Adalbert pomógł jej wsiąść do środka i zamknął za nią drzwi. Gdy się odwróciła, nadal stał na chodniku, a ona patrzyła, jak robi się coraz mniejszy.

11

Emilia, która czekała w foyer, na jej widok poderwała się z krzesła i podbiegła do niej.

– Jak było?

– Opowiem ci jutro podczas jazdy. Teraz chcę tylko zjeść kolację i pójść do kina.

Kolację zjadły na tarasie na wewnętrznym dziedzińcu. Było jeszcze wcześniej i były pierwszymi gośćmi. Domy otaczające dziedziniec tłumili odgłosy

ulicznego ruchu. Na dachu śpiewał kos. O siódmej zaczęły bić kościelne dzwony, poza tym panowała cisza. Emilia nie odzywała się, jakby trochę urażona, i kolacja upłynęła w milczeniu.

Nie przywiązywała wagi do tego, jaki film obejrzą. W swoim życiu rzadko bywała w kinie, nigdy też nie przyzwyczała się do oglądania telewizji. Ale ruchome, kolorowe obrazy na wielkim ekranie owładnęły nią bez reszty, a owego wieczora właśnie tego najbardziej potrzebowała. Film spełnił swoje zadanie, chociaż nie pomógł jej o niczym zapomnieć, więcej nawet, przywołał wspomnienia: marzeń z dzieciństwa, tęsknoty za czymś większym i piękniejszym od codzienności wypełnionej domem i szkołą, rozpaczliwych prób, by znaleźć to coś na lekcjach baletu i fortepianu. Oglądały historię o chłopcu z małej sycylijskiej wioski, którego fascynowało kino. Malec tak długo nie dawał spokoju operatorowi lokalnego kina, aż wreszcie ten pozwolił mu asystować podczas projekcji. Później chłopiec został reżyserem. Z marzeń jej dzieciństwa ocalało tylko jedno: znaleźć odpowiedniego mężczyznę, lecz i ono się nie spełniło.

Ale jeszcze nigdy nie litowała się nad sobą i dziś też sobie na to nie pozwoliła. Emilia wyszła z kina ze łzami w oczach, objęła ją i przytuliła się do niej. Poklepała wnuczkę uspokajająco po plecach, nie mogąc zdobyć się na to, by odwzajemnić jej uścisk. Emilia zresztą sama wkrótce się wycofała. Wracały przez miasto do hotelu, idąc obok siebie w gasnącym świetle letniego dnia.

– Naprawdę chcesz jutro rano ruszać w drogę powrotną?

– Nie muszę być w domu wcześniej i nie musimy zrywać się bladym świtem. Pasuje ci śniadanie o dziewiątej?

Emilia przytaknęła. Ale nie była zadowolona ze swojej babci i z przebiegu ostatnich dwóch dni.

– Idziesz teraz spać, jak gdyby nic się nie wydarzyło? Roześmiała się.

– Nigdy nie śpię spokojnie, nawet jeśli nie dzieje się nic wyjątkowego. Wiesz, gdy człowiek jest młody, to albo śpi, albo czuwa. Na starość pojawia się jeszcze coś pomiędzy – noce, podczas których ani nie śpisz, ani nie czuwasz. To osobny stan, i jedna z tajemnic starości polega na tym, by go zaakceptować. Jeśli masz ochotę, możesz jeszcze pospacerować po mieście, pozwalam ci.

Poszła do pokoju i położyła się, przygotowana na to, że przez całą noc będzie to zasypiać, to budzić się i rozmyślać, to znów zapadać w sen. Ale obudziła się dopiero rano.

Potem siedziały w samochodzie i jechały szosą wijącą się wzdłuż rzeki. Emilia zrozumiała, że jej pytania prowadzą donikąd, i zaniechała ich. Czekwała.

– To nie było tak, jak opowiadałam ci podczas jazdy w tamtą stronę. To nie on mnie zostawił. To ja go zostawiłam. – Te słowa właściwie wszystko tłumaczyły. Ale mówiła dalej ze względu na Emilię: – Gdy pożegnaliśmy się na dworcu, wiedziałam, że wkrótce

wróci. Wiedziałam też, że nie może do mnie pisać ani dzwonić. Mogłam na niego poczekać. Ale moi rodzice dowiedzieli się, że nie mam żadnej praktyki, i przysłali po mnie Helmuta. Miał mnie przywieźć do domu. I przywiózł. Bałam się życia z Adalbertem, bałam się biedy, w której się wychował i która zdawała się mu nie przeszkadzać, bałam się tego, że nie rozumiałam jego myśli, no i zerwania z rodzicami. Helmut był częścią mojego świata. To dlatego do niego uciekłam.

12

- Dlaczego opowiedziałaś mi wszystko inaczej?
- Myślałam, że tak było. Jeszcze podczas rozmowy z Adalbertem.
- Nie można przecież...
- Można, Emilio, można. Nie mogłam wytrzymać tego, że podjęłam złą decyzję. Adalbert mówi, że nie ma złych decyzji – jeśli to prawda, to nie mogłam wytrzymać tego, że zdecydowałam tak, a nie inaczej. Czy można to w ogóle nazwać decyzją? Miałam wtedy wrażenie, że coś mnie ciągnie, najpierw do Adalberta, a potem, mocniej, z powrotem do dawnego świata i do Helmuta. Gdy w moim dawnym świecie i u boku Helmuta nie czułam się szczęśliwa, nie mogłam przebaczyć Adalbertowi, że nie dostrzegł wtedy mojego strachu, że mi nie pomógł, że pozwolił mi odejść. Czułam się przez niego opuszczona, a

we wspomnieniu wszystko sprowadzało się do tamtej sceny pożegnania na peronie.

– Ale przecież to była twoja decyzja!

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Że to właściwie bez różnicy, bo przecież i tak musi przez całe życie znosić jej konsekwencje? Że nie wiedziała, co to właściwie znaczy decydować? Gdy Helmut przywiózł ją do domu, nagle było dla wszystkich jasne, że się pobiorą, zaraz potem pojawiły się dzieci. Romanse męża też. Musiała wypełniać obowiązki, dla których żyła – co tu było do decydowania?

– Może miałam postanowić, że nie będę się zajmować dziećmi? – spytała zirytowana. – Nie doglądać ich, gdy chorowały, nie rozmawiać z nimi o tym, co je zajmuje, nie zabierać ich na koncerty ani do teatru, nie szukać dla nich odpowiednich szkół, nie pomagać im w lekcjach? A obowiązki wobec wnuków – może miałam...

– Obowiązki? To jesteśmy dla ciebie tylko obowiązkami? Czy twoje dzieci też sprowadzały się dla ciebie do wypełniania obowiązków?

– Nie, kocham was, to przecież oczywiste. Ja...

– To brzmi tak, jakby miłość też była dla ciebie tylko obowiązkiem.

Emilia za często jej przerywała. Ale sama nie wiedziała już, co powiedzieć. Zjechały z szosy i włączyły się do gęstego ruchu na autostradzie. Emilia jechała szybko, szybciej niż w tamtą stronę, czasami lekkomyślnie, nie zwracając uwagi na inne samochody.

– Czy mogłabyś jechać wolniej? Boję się.

Emilia wykonała nagły, niepokojąco gwałtowny skręt kierownicą i zjechała na prawy pas między dwie ciężarówki.

– Zadowolona?

Była zmęczona i zapadła w sen, mimo że broniła się przed zaśnięciem. Śniło jej się, że jest małą dziewczynką i trzyma za rękę mamę. Spacerowały po mieście. Chociaż ulice i domy wyglądały znajomo, czuła się obco. To dlatego, pomyślała we śnie, że jestem jeszcze taka mała. Ale to nic nie pomagało. Im dłużej spacerowały, tym bardziej miasto przytłaczało ją i przerażało. Potem zobaczyła dużego czarnego psa z wielkimi czarnymi oczami i obudziła się z krzykiem.

– Babciu, co się stało?

– Coś mi się przyśniło. – Minęły znak drogowy, który oznajmiał, że zbliżają się do celu. Gdy spała, Emilia zjechała na lewy pas.

– Zawiozę cię do domu i ruszam w drogę.

– Do rodziców?

– Nie. Na miejsce na studiach wcale nie muszę czekać w domu. Mam trochę pieniędzy, odwiedzę przyjaciółkę w Kostaryce. Zawsze chciałam uczyć się hiszpańskiego.

– Ale dziś wieczorem...

– Dziś wieczorem pojedę do Frankfurtu i zatrzymam się u znajomej, dopóki nie kupię biletu.

Wydawało jej się, że powinna coś powiedzieć, dodać

wnuczce otuchy, ostrzec ją. Ale poczuła, że za nią nie nadaża. Czy jej decyzja była słuszna? Podziwiała ją, ale przecież nie mogła powiedzieć tego głośno, nie wiedząc, czy Emilia wybrała dobrze.

Wnuczka zawiozła ją do domu i spakowała swoje rzeczy. Odprowadziła ją na przystanek.

– Nie wyzdrowiałabym bez ciebie. Bez ciebie nie wybrałabym się w tę podróż.

– Nie ma sprawy. – Emilia wzruszyła ramionami.

– Rozczarowałam cię, prawda? – Szukała słów, które przywróciłyby dawny porządek, nie znajdowała ich jednak. – Tobie pójdzie lepiej.

– Nadjechał autobus i uścisnęła Emilię, a wnuczka odwzajemniła uścisk. Wsiadła przednimi drzwiami i przez dobrą chwilę przeciskała się do tyłu. Nim autobus zniknął za zakrętem, przyklękła na tylnym siedzeniu i pomachała jej na pożegnanie.

13

Piękna pogoda utrzymała się przez całe lato. Wieczorami często nadciągały burze. Siadała wtedy na zadaszonym balkonie, patrzyła na ciemniejące chmury, przechylane wiatrem drzewa, pierwsze krople, które z początku padały pojedynczo, a potem łączyły się, tworząc zwartą ścianę deszczu. Gdy robiło się chłodniej, owijała się kocem. Bywało, że zasypiała i budziła się dopiero po

zapadnięciu nocy. Następnego ranka po burzy powietrze było upajająco rześkie.

Zacząła wydłużać swoje spacerzy. Snuła plany podróży, lecz nie mogła się zdecydować, dokąd pojechać. Przyszła kartka z Kostaryki, od Emilii. Rodzice dziewczyny nie wybaczyli jej, że pozwoliła wnuczce wyjechać. Powinna była przynajmniej spytać o adres tej znajomej z Frankfurtu, żeby przed wylotem można było Emilię znaleźć i przemówić jej do rozsądku. Powiedziała im wreszcie, że nie chce o tym więcej słyszeć i jeśli nie przestaną na ten temat gadać, to lepiej, żeby w ogóle przestali ją odwiedzać.

Po kilku tygodniach przyszła paczka od Adalberta. Wąska, oprawiona w czarne płótno książka podobała jej się, chętnie na nią patrzyła i brała ją w dłonie. Podobał jej się też tytuł: *Nadzieja i decyzja*. Ale tak naprawdę nie chciała znać myśli Adalberta.

Chciała wiedzieć, czy wciąż tak dobrze tańczy. Zresztą dlaczego miałoby być inaczej. Powinna była zostać u niego trochę dłużej, włączyć radio i z nim zatańczyć, a on prowadziłby ją jedną ręką z pokoju na taras tak pewnie i lekko, jakby unosiła się w powietrzu.